

- Przepraszam pana - usłyszał czyjś
niezbyt uprzedmiotem brząający głos —
pozwoli pan, "e wszędzie do swego
samochodu. *

Doktor Michał odwrócił się szybko
i powiedział skruszonym tonem:

— Proszę o wybaczenie. Zamyśliłem
się. Czekam tu na pana... Na pań-
stwa — poprawił się dostrzegłszy za
plecami mężczyzny kobietę w ciem-
nym płaszczu i kapeluszu.

„Nie pomyliłem się — przemknęło mu
przez myśl — dobrze obliczyłem ich
wiek”.

— Czekają pan na nas? — powtórzył *

mężczyzna. - O co chodzi? Kim pan
jest?

- Nazywam się Werner, jestem lekarzem. Czekam na pana, jeśli... jeśli ma pan
szesnastoletniego syna - powiedział doktor i natychmiast zdał sobie sprawę z niewłaściwości
zwrotu. Trzeba było zacząć inaczej. Podobne wrażenie musiał odnieść właściciel trabanta,
bowiem zmierzył intruza nieprzychylnym spojrzeniem i powiedział szorstko:

- Mój panie, nie mam czasu na żarty. Proszę mnie przepuścić!

- To nie są żarty! Pyt' m, czy rr->»: pan szesnastoletniej-j syna? To sprawa poważna! —
Werner, nie uświadamiając sobie tego, podniósł głos.

TELEFON ZAUFANIA

2 i III J107

STANISŁAWA PLATÓWNA

TELEFON ZAUFANIA

ILUSTROWAŁ

KAZIMIERZ HAŁAJKIEWICZ

NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA 1979

«39-

•Л Ц

-ий л:.. .■•."

c;

ISBN 83-10-07-576-6

Акс

1%

19.

-

CZEŚĆ I

Dyżurny lekarz odłożył słuchawkę, sięgnął po zeszyt i długopis. Zanim zaczął notować treść odbytej przed chwilą rozmowy, zerknął na zegarek.

Tego wymagały przepisy, dyżurujący musiał podać dokładną godzinę, dane dotyczące osoby dzwoniącej, a więc: płeć, wiek, zawód, stan cywilny, krótko opisać poruszony problem, czasem — w przypadkach skomplikowanych — zanotować treść odpowiedzi czy udzielonej porady.

Tym razem sprawa była prosta i, niestety, dość pospolita. Dzwoniła żona nałogowego alkoholika, dławiąc się łzami opisywała pijackie awantury, swoją bezsilność, strach, biedę. Doktor słuchał uważnie, choć właściwie mógłby nie słuchając przewidzieć wszystko aż do końca. Prawie codziennie odbierano po kilka takich telefonów od zrozpaczonych żon lub matek, sytuacje powtarzały się z przerażającą dokładnością. Pijei, nie oddaje zarobków, awanturuje się, bije, najgorzej z dziećmi, są nerwowe, wystraszone, coraz gorzej się uczą. Doktor pytał wówczas o kilka szczegółów, by lepiej poznać sprawę, podawał adres Przychodni Antyalkoholowej, doradzał skierowanie na kurację, proponował

5

zwrócenie się do Rady Zakładowej z prośbą, by zarobki męża przekazywano wprost do rąk żony, czasem zalecał przebadanie dzieci.

I dziś postąpił podobnie. I podobnie jak zwykle w takich wypadkach poczuł niechęć do tego, co robił. Coż, że udzielił paru dobrych rad zrozpaczonej kobiecie? Czy odniosą one jakiś skutek? Zastraszona, zmaltretowana, prawdopodobnie będzie się bała pójść do Rady Zakładowej i prosić o przekazywanie zarobków męża. Zakład pracy daleko, a mężowskie pięści blisko. Czy będzie miała dość siły, by nakłonić pijaka do leczenia się? Wątpliwe. Doktor Rajewski wstał i szerzej otworzył uchylone okno. Do pokoju wtargnęło ostre, zimne powietrze, trochę za ostre i za zimne jak na koniec kwietnia. Od pobliskiej Odry dmuchnął lodowaty wiatr, ale doktor nie odchodził od okna. Mimo wszystko czuło się już wiosnę, drzewa rosnące wzdłuż chodnika zazieleniły się, drobne, nieśmiałe jeszcze pączki czekały tylko na cieplejsze dni, by rozwinąć się i zmienić kamienny, szary wąwóz ulicy w parkową aleję. Wiele było takich ulic w tym mieście, tu nie szukało się zieleni, wychodziła naprzeciw. Wystarczyło po dyżurze w szpitalu przejść kilkadziesiąt metrów, by znaleźć się na rozległych, nadodrzańskich łąkach lub usiąść na ławeczce nad kanałem.

Doktor cofnął się o krok, wiatr sychnął mu w oczy kropelkami drobnego deszczu.

„Znowu pada — pomyślał — trochę za dużo tej wilgoci”.

Wychylił się jeszcze raz, nie bacząc teraz na zacinające strugi, i spojrzął w dół, na podjazd. Tak, słuch go nie mylił, zawsze udawało mu się rozpoznać charakterystyczny warkot starej syreny, którą jeździł jego kolega i przyjaciel, Michał. Trzasnęły zamykane

6

drzwiczki, wysoka, lekko pochylona postać skierowała się ku wejściu.

Doktor Rajewski wychylił się jeszcze mocniej, prawie do połowy ciała, i krzyknął:

— Michaś, zajdź do mnie, mam dyżur!

Nie dosłyszał odpowiedzi, bo w tym samym momencie zadzwonił telefon.

Doktor przymknął okno i szybko sięgnął po słuchawkę.

— Dwieście siedemnaście siedemnaście, słucham — powiedział niezbyt głośno, lecz wyraźnie. Zawsze dbał o to, by dzwoniący już w pierwszej chwili odnosił wrażenie, że rozmawia z kimś miłym i życzliwym, z kimś, kto czeka przy telefonie właśnie na niego i postara się mu pomóc.

— Słucham — powtórzył, bo w pierwszej chwili nikt nie odezwał się w aparacie, do uszu doktora doszło tylko sapnięcie czy westchnienie.

— Czy pan jest od telefonu zaufania? — usłyszał wreszcie dziecinny głosik.

— Tak. Jestem dyżurnym lekarzem. W jakiej sprawie do mnie dzwonisz?

— Ja... ja kiedyś słyszałem o panu w telewizji i... ale pan nie będzie się gniewał? — upewnił się głosik.

— Oczywiście, że nie — odparł doktor — powiedz mi tylko, o co chodzi? Masz jakieś zmartwienie?

— Nie, nie mam zmartwienia, tylko... ja wiem... jestem już duży, mam prawie dziewięć lat, ale... Niech pan się nie śmieje, zadzwoniłem do pana, bo jestem sam w domu i tak jakoś mi straszno!

W pierwszej chwili doktor pomyślał, że telefon jest jednym z wielu dowcipów, które powtarzały się dość często. Jednak po roku praktyki nauczył się szybko odróżniać głupie kawały od prawdziwych problemów. Ten malec rzeczywiście się bał.

7

— A dlaczego jesteś sam w domu? — spytał. — Gdzie są rodzice?

— Poszli do cioci — odparł chłopiec. — Mamusia mnie umyła, położyła do łóżka i powiedziała, żebym spał, ale ja nie mogłem zasnąć. Więc wstałem i teraz... bardzo się boję. Wszystko jest takie duże i na ścianie coś się porusza... Więc pomyślałem, że najlepiej będzie porozmawiać z kimś. U cioci nie ma telefonu, więc zadzwoniłem do Maćka. Ale jego starsza siostra powiedziała, że on już śpi, i skrzyczała mnie.

— Dlaczego cię skrzyczała?

— Że już tak późno, a ja jeszcze nie śpię.

— Miała rację — uśmiechnął się doktor i zerknąwszy na zegarek, powiedział: — Jest dwadzieścia po dziewiątej; powinienes już spać.

— Ale ja nie mogę! — przerwał mu chłopiec,

— Posłuchaj, coś ci powiem. Czy w pokoju świeci się światło?

— Tak. Taka mała nocna lampka.

— Więc widzisz, dlatego wszystko wydaje ci się większe niż za dnia. Mała lampka daje mało światła, a za to przedłuża cienie przedmiotów. Mówiłeś, że coś się rusza na ścianie... jak myślisz, co to jest?

— Nie wiem. Coś błyska i gaśnie, i znowu błyska.

— Czy ta ściana jest blisko okna?

— Tak.

— Prawdopodobnie na ścianie odbija się światło ulicznej lampy. Jest wiatr, lampa się kołysze i dlatego wydaje ci się, że coś łązi po ścianie.

— Aha, aha, pan ma rację, teraz widzę... to lampa odbija się w lusterku, a ja myślałem, że to coś żywego.

— A więc wytłumaczyliśmy sobie te sprawy. Czy teraz mniej się boisz?

— Mniej. Ale niech pan jeszcze nie odkłada słuchawki! — powiedział szybko chłopiec.

8

— Nie, bój się, nie odłożę. Wiesz, co ci poradzę? Kiedy skończymy rozmowę, włącz do łóżka, przykryj się dobrze i staraj się przypomnieć sobie jakieś miłe, wer-sołe zdarzenie. Niedawno minęły święta, może byłeś gdzieś z wizytą? A może wyjeżdżałeś z rodzicami?

— Tak, wyjeżdżałem do babci, na wieś. Było bardzo przyjemnie. Malowałem razem z babcią pisanki. I tam był pies.

— Więc widzisz. Postaraj się wszystko sobie dokładnie przypomnieć, tak jakbyś komuś o tym opowiadał. O pisankach, o psiei, o domu babci, o szynce, o mazurkach... Jadłeś mazurki?

— Jadłem! Jeszcze jakie pyszne! Orzechowy i czekoladowy, i taki ze serem...

— Mmm, narobiłeś mi apetytu, bardzo lubię mazurek orzechowy. No, pójdiesz do łóżka?

— Pójdę. Już się nie boję i chce mi się spać.

— No to dobranoc.

— Dobranoc panu.

Doktor odłożył słuchawkę i uśmiechając się zanotował kilka uwag na temat rozmowy. Biedny dzieciak! Musi być nerwowy, wrażliwy i obdarzony nie lada wyobraźnią. A przy tym bystry i inteligentny, nie każdemu dziecku w jego wieku przysłoby na myśl skorzystać z telefonu zaufania. Dobrze, że się uspokoił. Na pewno włożył do łóżka i zasypia. Tak, to są te miłe strony męczących dwudziestoczworgodzinnych dyżurów, ta świadomość, że się komuś pomogło, choćby w takiej drobnej sprawie.

Doktor przeciągnął się i rzucił tęskne spojrzenie na tapczan. Miał za sobą blisko czternaście godzin dyżuru, a przed sobą jeszcze dziesięć. Potem normalne zajęcia szpitalne. Nie, jeszcze nie pora na odpoczynek. Do północy telefony są częste, a zresztą może wpadnie Michał?

Lepiej nastawić wodę na kawę.

9

Elektryczny czajnik zaczął właśnie cicho szumieć, gdy drzwi uchyliły się i do pokoju wszedł przyjaciel doktora, również lekarz psychiatra.

— Cześć, stary, można?

— Chodź, co za pytanie! Napijesz się kawy?

— Zawsze. Jak leci?

— Normalnie. Rano spokojniej, bo już po feriach, młodzież przed południem siedzi w szkole.

— Coś ciekawego?

— Owszem — doktor Rajewski rozmawiał i równocześnie przygotowywał szklanki, spodki, cukier. — Ile? — spytał i nie czekając na odpowiedź wyspał dwie czubate łyżeczki kawy.

Michał zawsze pijał mocną.

Usiedli przy stole, Michał odruchowo sięgnął do kieszeni po papierosy, ale zaraz cofnął rękę.

— Zapal, już mnie to nie drażni — powiedział doktor Rajewski, uśmiechając się pobłaźliwie

— a zresztą mogę otworzyć okno. — Od niedawna rzucił palenie, ale jeszcze nieraz ciągnęło go do papierosa, zwłaszcza gdy ktoś palił w jego obecności.

— Wytrzymam — burknął Michał. Był zły na siebie za nieopanowane odruchy, wiedział przecież, że nie powinien palić przy Wacku, że trzeba mu ułatwić wytrwanie w powziętej decyzji.

— Co cię przyniosło do szpitala o tej porze? — spytał Rajewski.

— Notatki w biurku. Zacząłem referat na zjazd i zorientowałem się, że materiały mam w klinice. Zebrałem ciekawe dane.

— W nocy będziesz pisał?

— Niekoniecznie. Mam trzy dni wolne. Zaległy urlop.

Doktor Rajewski podniósł do ust szklankę, by ukryć uśmiech. Notatki notatkami, a Michał z pewnością wpadł do szpitala, by zobaczyć, jak się czuje chora,

10

której zastosowano nową kurację. Nie wystarczył mu telefon, musiał wszystko sam sprawdzić, zobaczyć...

Kochany chłop z tego Michała, bliski jak brat. Nic dziwnego, kawał życia przeżyli wspólnie, zawsze w przyjaźni. Szkoła, uniwersytet, szpital, nie rozłączali się od 1946 roku. Ile to już lat?

W czterdziestym piątym wyjechał z rodzicami ze Lwowa, rok spędził w Gliwicach... no tak, zgadza się!

— Michaś, wiesz, że w maju minie dwadzieścia pięć lat naszej znajomości? — Celowo nie powiedział „przyjaźni”, choć poza Michałem nie miał nikogo, kogo mógłby nazwać przyjacielem. Obydwaj nie znosili wielkich słów.

— Kawał czasu, można powiedzieć: jubileusz! Trzeba to uczcić — rozjaśnił się Michał.

— Mam myśl — powiedział Wacek — urwiemy się w którąś niedzielę i pryśniemy w góry. Do Karpacza, jak wtedy, pamiętasz? Chyba twoja „złota strzała” pokona te pagórki... — zakpił dobrodusznie.

— Oczywiście, że pokona, jest po remoncie. A wtedy to nie był Karpacz, tylko Szklarska...

— Nieprawda. W Szklarskiej byliśmy dużo później, ze szkołą. Wtedy trafiła się nam wojskowa ciężarówka, nie pamiętasz?

— Racja! Ten sympatyczny sierżant z akordeonem! Dlaczego zawsze...

Nie dokończył zdania, przerwał mu dzwonek telefonu.

— Dwieście siedemnaście siedemnaście, słucham — powiedział Wacek.

Michał odsunął się ze swoją kawą na drugi koniec stołu i zaczął przeglądać jakieś medyczne czasopismo. Początkowo nie interesował się rozmową prowadzoną przez kolegę, tym bardziej że Wacek prawie przez cały czas milczał, wysłuchując w skupieniu długiego mono-

11

logu. Jednak po pewnej chwili uniósł głowę, widać zaciekawiły go skąpe pytania, które Wacek stawiał, a raczej usiłował stawiać, bo ten ktoś na drugim końcu przewodu mówił bez wytchnienia i nie pozwalał sobie przerywać.

Rozmowa przeciągała się, trwała już dobre kilka minut, a Michał wciąż nie mógł zorientować się, o co chodzi. Tyle tylko zrozumiał, że dzwoniącym był jakiś chłopiec, ponieważ Wacek zwracał się do niego przez

„ty”.

Nagle na twarzy prowadzącego rozmowę lekarza pojawił się wyraz niepokoju, potem popłochu, wreszcie paniki. Ścisnął słuchawkę tak silnie, że aż zbieleły mu kostki palców, panował jednak nad sobą i mówił spokojnie, dobitnie, przekonywająco:

— Zaczekaj, nie odkładaj słuchawki. Opowiedz mi coś więcej o sobie, może wspólnie znajdziemy jakieś wyjście. To, co zamierzasz zrobić, nie rozwiązuje niczego. Zastanów się... Słuchaj, pomogę ci! Nie rozłączaj się! Hallo! Hallo!

Teraz już Wacek nie panował nad sobą. Krzyczał do słuchawki, uderzał raz po raz w widełki aparatu, jeszcze nie tracił nadziei, że tamten odezwie się, podejmie przerwana rozmowę.

Wreszcie zrezygnowany usiadł i po chwili milczenia powiedział nieswoim głosem:

— Daj no mi papierosa.

Michał uniósł wysoko brwi na znak zdumienia, ale bez słowa podsunął przyjacielowi papierosy i zapalniczki.

Wacek zaciągnął się głęboko raz i drugi, zaczął kaszleć, ale nie odłożył papierosa. Palił szybko, zachłannie, aż do końca. Wreszcie zdusił niedopałek w popielniczce i wciąż kaszłąc zaklął:

— Psiakrew!

— Co to było? — spytał doktor Michał.

— Niesamowita historia! — wybuchnął Wacek. —

12

Chłopak absolutnie wykończony nerwowo, kompletnie załamany! Sam chyba nie wie, czego chce i o co mu chodzi! Obawiam się, że zadzwonił do nas nie po to, by uzyskać radę lub pomoc, lecz po prostu musiał wypluć z siebie żółć nagromadzoną w ciągu dłuższego czasu. To w nim narastało, to nie jest historia sprzed paru dni. A wszystko przez jedną podłą, pozbawioną skrupułów babę!

— Dalej nie rozumiem... — zaczął Michał, ale przyjaciel mu przerwał:

— Czekać, muszę zanotować. Później pogadamy. Lekarz podniósł się z krzesła i stanąwszy za plecami

kolegi patrzył mu przez ramię na równe rzędkie liter, wypełniające szybko kartkę kontrolnego zeszytu. Czytał:

godz. 22,10 — M. — lat 16 — załamanie psychiczne spowodowane ostrym wstrząsem. Od znajomej dowiedział się w bardzo brutalnej formie, że nie jest rodzonym dzieckiem swoich rodziców, lecz adoptowanym. Sam nic nie pamięta, musiał być bardzo mały. Twierdzi, że rodzice (użył słów: „ci ludzie”) nie mieli prawa go okłamywać. Jest skłonny przypisywać wszelkie konflikty i nieporozumienia, jakie zaistniały między nim a ojcem, faktowi adopcji. Mówi — „byłby inny, gdybym był jego rodzonym synem”. Jednak przyznaje, że miał bardzo dobre warunki, że rodzice kochali go. Zaraz poprawia — „przyzwyczaili się do mnie jak do psa”. Nie słucha żadnych argumentów, wciąż powtarza — „powinni mi powiedzieć całą prawdę”. Jednak główne zarzuty kieruje pod adresem ojca, o matce mówi z prawdziwym uczuciem. Jest w bardzo złym stanie nerwowym, zdolny do popełnienia nieprzemyślanych kroków. Na zakończenie rozmowy oświadcza: „odchodzę z domu, zaraz, natychmiast. Nie chcę tu być

15

dłużej, nie chcą w ogóle być nigdzie, mam dosyć!” Nie udzielono żadnej pora...

Doktor Wacek nie dokończył rozpoczętego zdania, ponieważ przyjaciel gwałtownym ruchem chwycił go za ramię. Długopis, szarpnięty silną dłońią, ześlizgnął się wzdłuż kartki, kreśląc na niej długą, nieregularną linię.

— Zwariowałeś?! — Rajewski spojrział z wyrzutem na pochyloną nad zeszytem twarz przyjaciela i nagle umilkł.

Michał był blady, wargi mu drżały, trzęsącą się ręką wskazywał jedno zdanie prawie na końcu notatki.

— Co on miał na myśli? — powiedział, a raczej wyjąkał z trudem; co to może znaczyć: „nie chcę w ogóle być nigdzie”? Wyraził się jaśniej? Wydobyłeś coś z niego? Mów! — oparł obie ręce na ramionach przyjaciela i potrząsnął nim silnie.

— Boję się, że... — zaczął cicho Wacek.

— Samobójstwo? — wyszeptał doktor Michał i pobladł jeszcze bardziej.

Doktor Rajewski skinął głową.

— Więc czemu siedzisz bezczynnie?! — podniósł głos Michał. — Dzwon na milicję, do pogotowia... Rób coś!!

— I co im powiem? — spytał doktor Wacek rozkładając bezradnie ręce. — Nic nie wiem o tym chłopcu, ponad to, co zapisałem. Był bardzo ostrożny, nie powiedział ani jednego zbędnego słowa. Próbowałem okrężną drogą dowiedzieć się, skąd dzwoni, gdzie mieszka, kim są jego rodzice, ale nie dał się złapać.

— Ale przecież... może jakiś szczegół... drobiazg... przypomnij sobie — nalegał Michał wpatrując się z napięciem w twarz przyjaciela — nie możemy tego tak zostawić... kto wie, co w tej chwili...

16

Umilkł, zgarbił się, zmałał, ukrył twarz w dłoniach.

Doktor Wacek spojrział z litością na ciemną głowę przyjaciela, na srebrne nitki wijące się w gęstej czuprynie, na prawie zupełnie białe skronie.

„Wciąż to samo — pomyślał — nie może się otrząsnąć”.

Sam był podenerwowany, a nawet przerażony przeprowadzoną rozmową, ale Michał reagował zbyt gorąco, by nie domyślać się za tą reakcją osobistego zaangażowania.

— Stary — powiedział serdecznie — uspokój się. Być może przesadziłem trochę, może chłopak miał na myśli tylko ucieczkę z domu. To się zdarza, po takim wstrząsie... Powłóczy się po mieście, zmarznie, zgłodnieje i wróci.

Michał podniósł głowę i wbił w przyjaciela oczy pełne takiej męki i niepokoju, że Wacek zaklął w duchu.

„Po diabła go tu zatrzymałem! — pomyślał. — Byłby zabrał swoje notatki i pojechał spokojnie do domu”.

— A jeśli nie wróci? — spytał cicho doktor Michał. Przez chwilę obaj milczeli, nagle Wacek odsunął

krzesło, wstał i zaczął spacerować tam i na powrót po pokoju.

— Czekaj... czekaj — mówił — coś sobie przypominam... powiedział tak: „wrócą niedługo z teatru i zastaną w domu ładny paszтет”.

— Z teatru? — powtórzył z namysłem Michał. — Przecież dziś poniedziałek, teatry nieczynne. A może... masz gazetę?

Doktor Wacek sięgnął do kieszeni płaszcza, rzucił na stół „Gazetę Robotniczą”. Obaj pochylili się nad rubryką „Teatry”. Doktor Michał czytał głośno:

— Opera — nieczynna, Operetka — nieczynna, Kameralny — nieczynny, Polski... — zgadza się! — prawie krzyknął. — Gościnny występ kabaretu „Dudek”

2 — Telefon zaufania/.4* _ x\

17

7J* FILIA III

p iz III

z Warszawy! Dwa spektakle, pierwszy o osiemnastej, drugi o dwudziestej pierwszej.

Przedstawienie trwa około dwóch godzin. Jeszcze zdążymy. Daj książkę ter lefoniczną!

— Co chcesz zrobić? — zaniepokoił się Wacek.

— Odszukać i wywołać rodziców szesnastoletnich jedynaków. Tylko w ten sposób dowiemy się, kim jest ten chłopiec, gdzie go szukać...

— Co powiesz rodzicom? Na pewno o niczym nie mają pojęcia. On nie przyznał się im, że wie, inaczej nie poszliby spokojnie do teatru.

— Nie wiem, coś wymyślę. Dzwon!

Doktor Wacek posłusznie nakręcił numer Teatru Polskiego. Niestety, nikt nie podnosił słuchawki.

— Psiakrew, posnęli czy co?! — irytował się Michał. — Tu jest numer kasy, spróbuj jeszcze tam.

Ale i w kasie nikt nie odpowiadał.

— Nic dziwnego — powiedział doktor Wacek odkładając słuchawkę — kasa zamknięta, w biurach nie ma nikogo o tej porze.

— Ładne porządki! — sarknął Michał, chodząc wielkimi krokami po pokoju — Powinien być telefon za kulisami, w garderobach, gdziekolwiek... A gdyby w mieszkaniu aktora wybuchł pożar? Albo zachorowało dziecko? — Nagle zatrzymał się. — Chyba pojedę pod teatr, jest za dwadzieścia jedenasta — powiedział — może zdążę.

— Zwariowałeś? Pojedziesz i co? Po czym poznasz tych ludzi? Będziesz zaczepiał każdą parę? To przecież nie ma sensu!

— Nie każdą. Tylko starszych. To muszą być ludzie po czterdziestce.

— Skąd wiesz?

— Proste. Skoro zdecydowali się na adoptowanie dziecka, musieli już dłuższy czas być małżeństwem.

18

•

Najpierw chcieli mieć własne, czekali. Potem jedno z nich leczyło się. Bez skutku. To musiało trwać jakieś osiem do dziesięciu lat. Jeśli przyjmiemy, że w momencie ślubu mieli około dwudziestu do dwudziestu dwu lat, mamy granicę dwudziestu ośmiu do trzydziestu lat. Chłopak ma szesnaście. Przypuszczam więc, że ro-d.zice są w wieku czterdziestu czterech do czterdziestu ośmiu lat. Zresztą pewno mają więcej. Będę szukał pary małżeńskiej około pięćdziesiątki.

— Absurd! — krzyknął doktor Wacek. — Takich może być kilkadziesiąt! Teatr jest z pewnością pełny, będzie wychodzić kilkaset osób, nie dasz rady przyjrzeć się wszystkim!

— Spróbuję. To jedyny sposób. Wiem, że mój plan jest prawie niemożliwy do przeprowadzenia, ale najczęściej udają się plany absurdalne. Zresztą chcę mieć pewność, że zrobiliśmy wszystko. Musimy przecież wiedzieć, kim jest ten chłopiec, i zaalarmować milicję. Rodzice też powinni wiedzieć, co zagraża ich dziecku. Idę.

Z tymi słowami skierował się ku drzwiom.

Doktor Wacek odprowadził spojrzeniem wysoką postać przyjaciela, znikającą za drzwiami. Nie oponował już, nie próbował go zatrzymać, choć ani przez chwilę nie wierzył w udany rezultat poszukiwań.

Teraz dopiero poczuł zmęczenie, ból głowy, rozbicie. Sięgnął do szuflady po proszek, podszedł do umywalni, by nalać wody do szklanki. Przez kilka sekund wpatrywał się bezmyślnie w jakiś przedmiot stojący na półce pod lustrem, potem w dzikim pośpiechu rzucił się w stronę okna, przewracając po drodze krzesło. Zdążył! Michał właśnie otwierał drzwiczki samochodu.

— Michaś! — krzyknął. — Poczekaj! Coś sobie przypomniałem. — On powiedział tak: „wróć tą swoją mydelniczką...” Czy ty rozumiesz, co to znaczy?

2*

19

ЩШЛ

ЯМ»

Poprzez szum wiatru usłyszał podniecony, uradowany głos przyjaciela:

— Wacek! To cholernie ważne! Jasne, że rozumiem! Będę szukał właściciela P-70 albo trabanta zaparkowanego przed teatrem.

Doktor Rajewski patrzył jeszcze przez chwilę na czerwone światła pozycyjne oddalającej się szybko syreny, potem zamknął okno i wrócił na swoje miejsce przy stole. Połknął proszek, wypił duszkiem prawie całą szklankę wody i dopiero wtedy wzruszył ramionami. „Dlaczego właśnie trabanta?” — zastanowił się.

Nim jednak znalazł odpowiedź, zadzwonił telefon. Doktor obiema rękoma przetarł twarz, jakby chcąc usunąć ślady tamtej rozmowy, i podniósł słuchawkę.

— Dwieście siedemnaście siedemnaście — powiedział miłym, spokojnym głosem.

Doktor Michał Werner wjeżdżając w ulicę Zapolskiej odetchnął z ulgą. Zdążył! Niewielki parking przed teatrem był pełny, samochody stały ciasno sfoczone, jeden przy drugim — znak, że przedstawienie jeszcze trwało. Zostawił swoją syrenę przy narożniku, lekceważąc zakaz i przepisy ruchu, i prawie biegiem ruszył w kierunku zaparkowanych samochodów, szukając wśród nich trabanta lub, co było mniej prawdopodobne, P-70.

Był w połowie parkingu, gdy dosłyszał stłumiony grzmot oklasków i trzask otwieranych drzwi. Zrozumiał, że zdążył dosłownie w ostatniej minucie. Za chwilę publiczność zacznie opuszczać teatr.

Zajął dogodne do obserwacji miejsce i nie spuszczał oka z dwóch stojących na parkingu trabantów. Był i trzeci, ale miał rejestrację opolską, nie wchodził więc w rachubę.

20

„Mydelniczka! Co za szczęście! — pomyślał — że my-delniczka!”

Wacek przypomniał sobie w ostatniej chwili tę mało pochlebną nazwę nadawaną trabantom, a ukutą przez dowcipnisiów z powodu plastikowej karoserii wozu.

Wahadłowe drzwi wejściowe rozwarły się z trzaskiem i na plac przed teatrem wysypali się pierwsi widzowie, ci, którzy chcieli zdążyć na ostatni tramwaj. Biegli klusem w kierunku przystanku, dopinając w biegu płaszcze i otwierając parasole^

Doktor Werner przetarł dłonią wilgotną twarz. W podnieceniu i pośpiechu nawet nie zauważył, że znów zaczęło mżyć.

Chodnikami i jezdnią szło coraz więcej ludzi, teatr pustoszał szybko, późna pora i zła pogoda nie sprzyjały pogawędkom i spacerom. Z parkingu raz po raz wyjeżdżał jakiś samochód i lawirując ostrożnie wśród uskakujących prawie spod kół ludzi, ruszał w kierunku ulicy Świerczewskiego.

Nagle doktor Werner drgnął. Do trabanta stojącego na samym końcu parkingu podszedł mężczyzna w skórzanej kurtce i wyjął z kieszeni kluczyki.

Werner wyteżył wzrok. Nie, to nie mógł być ojciec szesnastoletniego chłopca, w świetle ulicznej lampy zobaczył młodą, bardzo młodą twarz dwudziestoparoletniego człowieka. A dziewczyna, która podbiegła do wozu osłaniając torebką fryzurę, była jeszcze młodsza. Werner skupił całą uwagę na drugim trabancie, lśniącem nieskazitelnie białym lakierem, wypieszczonym, wydmuchanym mimo deszczu i błota.

„Facet ma pierwszy wóz w życiu — pomyślał. — ■ Niedzielny jeździec” — uśmiechnął się z pogardą właściwą rasowym automobilistom, dla których wygląd wozu nie świadczy o niczym.

21

Zerknął na drzwi. Już tylko pojedyncze pary opuszczały teatr, przeważnie ludzie starsi, tacy, którzy nie znoszą tłoku i kolejek do szatni, których w dodatku stać na taksówkę kilka dni przed pierwszym. I parking opustoszał. Oprócz trabanta, przy którym warował, stała tu jeszcze popielata warszawa, wiśniowy fiat i mikrobus nysa.

Doktor Werner poczuł nagły niepokój. Czyżby Wacek się przesłyszał? A może słowa chłopaka „wróć mydelniczką” oznaczały co innego? To byłaby klęska! To byłaby strata jedynej szansy odnalezienia w porę uciekiniera!

Podniecony, zdenerwowany zszedł z chodnika i stanął przy samochodzie. Odruchowo położył dłoń na klamce, pogładził lśniąca, niklowaną rączkę.

— Przepraszam pana — usłyszał czyjś niezbyt uprzejmie brzmiący głos — pozwoli pan, że wsiądę do swego samochodu.

Doktor Michał odwrócił się szybko i powiedział skruszonym tonem:

— Proszę o wybaczenie. Zamyśliłem się. Czekam tu na pana... Na państwa — poprawił się dostrzegłszy za plecami mężczyzny kobietę w ciemnym płaszczu i kapeluszu.

„Nie pomyliłem się — przemknęło mu przez myśl — dobrze obliczyłem ich wiek”.

. — Czekają pan na nas? — powtórzył mężczyzna. — O co chodzi? Kim pan jest?

— Nazywam się Werner, jestem lekarzem. Czekam na pana, jeśli... jeśli ma pan szesnastoletniego syna — powiedział doktor i natychmiast zdał sobie sprawę z niewłaściwego zwrotu. Trzeba było zacząć inaczej. Podobne wrażenie musiał odnieść właściciel trabanta, bowiem zmierzył intruza nieprzychylnym spojrzeniem i powiedział szorstko:

22

— Mój panie, nie mam czasu na żarty. Proszę mnie przepuścić!

— To nie są żarty! Pytam, czy ma pan szesnastoletniego syna? To sprawa poważna! —

Werner, nie-uświadamiając sobie tego, podniósł głos.

Kilka przechodzących osób obejrzało się z ciekawością.

Mężczyzna nie zdążył odpowiedzieć, bo stojąca zanim kobieta przycisnęła nagle do ust ręce i krzyknęła:

— Stefan! Coś się stało ze Stefanem! — Zachwiała się i chwyciła kurczowo ramię męża.

— A więc macie państwo syna... — zaczął Werner, ale kobieta przerwała mu, pytając gorączkowo:

— Co się stało? Miał wypadek? Jest chory? Widzisz — zwróciła się do męża — nie trzeba było iść do teatru, mówiłam ci, miałam jakieś złe przeczucia.

— Uspokój się, jeszcze nie wiemy, czy coś się stało — powiedział mąż podtrzymując ją troskliwie — może nareszcie wyjaśni nam pan, o co chodzi? Wsiądźmy do wozu — dodał — zaczyna porządnie padać.

Zajęli miejsca w samochodzie. Mężczyzna za kierownicą, doktor obok niego, kobieta na tylnym siedzeniu.

— Muszę zadać państwu jeszcze jedno pytanie — powiedział doktor Werner — muszę upewnić się, że jesteście tymi ludźmi, których szukam. To będzie pytanie drażliwe.

— Słucham — rzucił mężczyzna wyjmując papierosa i szukając zapalek.

— Czy syn państwa jest dzieckiem adoptowanym? — spytał cicho doktor.

Kobieta drgnęła i przez chwilę zdawało się, że chce wyskoczyć z samochodu. Jednak opadła z powrotem na siedzenie i mocno przywarła plecami do oparcia.

25

Mężczyzna syknął i rzucił na podłogę zapalną, która sparzyła mu palce.

— Dlaczego pan o to pyta? — rzekł zmienionym głosem.

Doktor Werner uznał, że najwyższy czas odkryć karty. Minuty płyną, a tymczasem...

— Powiem krótko. Jestem jednym z lekarzy dyżurujących stale przy telefonie zaufania.

Słyszeli państwo zapewne o tej instytucji... Byłem tam dziś. Przed niespełną godziną zadzwonił szesnastoletni chłopiec. Wie od niedawna, że jest adoptowany. Przeżył szok. Nie powiedział o sobie prawie nic. Tylko tyle: „rodzice są w teatrze, wrócą «mydelniczką»”. Mydelniczka to trabant, chyba zna pan to określenie. Tylko w Teatrze Polskim jest dzisiaj przedstawienie. W ten sposób was znalazłem. Ale potrzebna mi jest pewność. A więc?...

— Tak — powiedział jakoś niechętnie, opornie mężczyzna — Stefan nie jest naszym rodzonym dzieckiem. Adoptowaliśmy go, gdy miał cztery miesiące.

— Ależ on o niczym nie wiedział! — wybuchnęła nagle kobieta. — Nie mógł się dowiedzieć! Zatarliśmy wszystkie ślady, przenieśliśmy się do innego miasta! To niemożliwe, to jakaś pomyłka...

— I ja tak sądzę — poparł ją mąż — doceniam pańskie intencje, ale mam wrażenie, że zaszło nieporozumienie. Nasz syn...

— Wasz syn — przerwał mu szorstko doktor Werner — jest u progu załamania psychicznego. Przeżył straszliwy wstrząs. Być może w tej chwili opuszcza dom. Musimy się spieszyć.

Chciał podzielić się swymi podejrzeniami, powiedzieć, że chłopak w rozdrażnieniu jest skłonny do popełnienia najstraszniejszego głupstwa, ale wstrzymał się. Gdyby rozmawiał w cztery oczy z ojcem, może nie

26

byłby tak oględny, ale obecność matki kazała mu milczeć. To przecież tylko domysły.

— Trzeba się spieszyć — powtórzył z naciskiem. —

Może jeszcze zdążymy.

— Więc pan naprawdę sądzi?...

— Zbyteczne pytanie. Czy szukałbym państwa, gdyby sprawa nie była poważna? Mam tu swój wóz, pojedę za panem. Szybko!

Usłyszał cichy szloch kobiety i dodał miękko:

— Nie trzeba płakać. Wszystko można naprawić. Wysiadł z trabanta i idąc w stronę swojej syrenki

nagle uprzytomnił sobie, że powtarza szeptem: — wszystko można naprawić, wszystko można naprawić...

Wsiadł do samochodu, zapalił silnik i po chwili ruszył w ślad za trabantem.

Ulice były puste, światła lamp i kolorowe błyski neonów odbijały się na mokrych jezdniach i chodnikach. Deszcz padał bez przerwy, wycieraczki zostawiały na szybie samochodu suche półkola, które natychmiast pokrywały się kroplami wilgoci. Trabant jadący ulicą

Świerczewskiego zatoczył szeroki łuk, skręcił w Grabiszyńską i przyspieszył. Jechali teraz dzielnicą nowych domów, po lewej stronie ciemniały wysokie, proste bryły wieżowców, po

prawej jeszcze gdzieś kuliły się skromnie i jakby wstydliwie stare, odrapane czynszówki, czekające na remont lub rozbiórkę.

Minęli most kolejowy i skręcili w ulicę Pereca.

Doktor Werner mocniej zacisnął dłonie na kierownicy, poczuł zimny pot na skroniach, znów przeżywał wszystko od nowa.

Wtedy też pędził syreną pustymi ulicami gnany obłądnym strachem. Tylko wtedy nie padał deszcz, ulice były pokryte śniegiem, to był luty... I wtedy przecież chodziło o Leszka!

Leszek...

Potrząsnął głową jakby odganiając złe myśli, skupił

27

całą uwagę na prowadzeniu wozu. Nie jechał długo, po paru minutach trabant zatrzymał się na rogu Inżynierskiej, a syrena tuż za nim. Werner wysiadł z sa-Uiochodu i podszedł do zamykającego wóz mężczyzny.

— Czy mogę wejść z państwem do mieszkania? — spytał.

— Proszę.

Kobieta spojrzała w górę i teraz dopiero doktor Werner zauważył, że mimo niewątpliwie przekroczonej czterdziestki wciąż jeszcze była bardzo ładna. Miała ładny owal twarzy, ciemne, łagodne oczy i wspaniałe rzęsy, które nie znały henny ani tuszu. Uśmiechnęła się do doktora i powiedziała z ulgą:

•— Chyba nic się nie stało, jest światło w pokoju Stefana i...

— Zobaczmy — przerwał jej mąż — chodźmy. Idąc za postępującą przodem parą małżeńską, Werner poczuł nagły skurcz serca.

Wtedy też wstępował po nieznanym schodach, dzwonił do obcych drzwi i modlił się, tak modlił się w duchu, żeby nic się nie stało, żeby...

Zgrzytnął klucz przekręcany w zamku, zaskrzypiały otwierane drzwi. Kobieta wydała cichy okrzyk.

Przedpokój oświetlony piękną, kutą w metalu lampą, imitującą staroświeckie latarnie, wyglądał strasznie. Wzdłuż dużego lustra przebiegała wyraźna rysa, zrobiona widocznie ciśniętymi w pasji na ziemię parasolami, podłogę zalegały płaszcze, szaliki, pantofle...

Kobieta przeskoczyła zwał rozrzuconych rzeczy i pchnęła białe drzwi. Stała w progu pokoju, chwilę Patrzyła w ciemne wnętrze, potem odwróciła się i powiedziała cicho z widoczną ulgą:

"— Nic się nie stało. Spi.

boktor Werner oderwał wzrok od stosu walających S1^ rzeczy i prawie krzyknął:

28

r-f Spi?! Więc syn jest w domu?!

„*,„ Ciiicho — szepnęła kobieta — nie trzeba jej budzić. . — Jej?

— Mamy jeszcze córkę — wyjaśnił mężczyzna, nie patrząc na doktora — ma dopiero sześć lat, jej urodzenie graniczyło z cudem, żonie dawno powiedziano, że nie może mieć dzieci, dlatego adoptowaliśmy Stefana. Żona po powstaniu warszawskim trafiła do obozu, tam... — urwał, potarł czoło, wreszcie otworzył następne drzwi i powiedział: — proszę.

Teraz dopiero, po wejściu do dużego, jasno oświetlonego pokoju na jego twarzy odbił się popłoch. Pokój, do którego weszli obaj, wyglądał strasznie, przywodził na myśl huragan, tornado, trzęsienie ziemi lub inne niszczycielskie siły przyrody.

Szafy były otwarte, wszystkie rzeczy leżały na podłodze, stosy książek piętrzyły się przed biblioteką, doniczki z kwiatami poprzewracane i rozbite ukazywały obnażone korzenie roślin wśród rozsypanej ziemi. Szuflady biurka były wysunięte, jedna z nich nosiła ślady wyłamania. Stół zalegały rozsypane fotografie. Na wierzchu leżało ładne, pocztówkowe zdjęcie przekreślone na krzyż grubymi, czerwonymi krechami.

Doktor zbliżył się do stołu i spojrzął na zdjęcie. Dwoje dorosłych ludzi, a pośrodku mały, może dziesięcioletni chłopak. Szczęśliwa, uśmiechnięta rodzina. Czerwone, grube krechy krzyżowały się na twarzy dziecka...

„...nie chcę tu być, nie chcę w ogóle być nigdzie...” — przypomniał sobie Werner.

— Boże!

Usłyszał zmieniony, ochryply szept i odwrócił się szybko w stronę mężczyzny, który pochylony nad wyłamaną szufladą, gwałtownymi ruchami przerzucał

29

znajdujące się tam drobiazgi. Gdy podniósł głowę i spojrzął na doktora, jego twarz była blada, nieruchoma jak maska.

— Pistolet... Nie ma mojego pistoletu! — wykrztusił z trudem.

— Spokojnie. — Werner ścisnął za ramię ślaniającego się nad biurkiem mężczyznę. — Matka nie może o tym wiedzieć. Co to za pistolet? Nabity?

Mężczyzna z trudem rozkleił zaschnięte wargi.

— Pamiątka z partyzantki, parabellum, kaliber 9 nim. Nie był nabity, ale miałem kilka naboii.

— Są na miejscu?

— Nie.

— Szybko. Uprzątnąć szuflady — szepnął rozkazu»-jąco doktor Werner. — Ona tu idzie. Ani słowa... — ścisnął jeszcze silniej ramię mężczyzny.

Nie zdążyli. W ostatniej chwili Werner zasłonił rozbitą szufladę, stawiając przed biurkiem wysoki fotel z oparciem. Na progu pokoju stanęła kobieta wciąż jeszcze ubrana w płaszcz i kapelusz. Jedną rękę wyciągnęła przed siebie jak człowiek niewidomy, który szuka drogi, w drugiej trzymała kartkę papieru.

— Rzeczywiście... on... się... dowiedział — powiedziała głucho.

Mąż podbiegł, podtrzymał, posadził na kanapce. Wyjął ostrożnie z zaciśniętych kurczowo palców kartkę, rzucił na nią okiem i podał doktorowi.

Michał Werner jednym spojrzeniem ogarnął króciutki tekst.

Nienawidzę kłamców — Stejan N.N.

„Odrzucił wszystko — pomyślał — dom, rodziców,, nawet nazwisko. «N. N.» — nazwisko nieznane. Gest. Oczywiście, że gest. Ale wymowny”.

zwrócił się ku rodzicom siedzącym teraz razem na

30

kanapce. Trzymali się za ręce i to właśnie wzruszyło doktora bardziej niż błąd ich twarzy, niż łzy płynące z oczu kobiety.

— Trzeba działać — powiedział spokojnie — proszę o nazwisko. Zadzwoń do kolegi, który ma dyżur, to on rozmawiał z synem. Złóż oficjalny meldunek w milicji.

— Stefan Lewandowski, Inżynierska 7, urodzony 25 lutego 1955 roku w Lublinie, syn Tomasza i Anny z Buczyńskich. Uczeń I klasy liceum.

— Wystarczy — mruknął Werner notując. — Teraz rysopis.

— Jasny blondyn, oczy szare, szczupły, wzrost metr sześćdziesiąt pięć. Jest krótkowidzem, nosi okulary w ciemnej oprawce, minus trzy dioptrie.

— Jak był ubrany?

Pan Lewandowski spojrzął bezradnie na żonę.

— Może ty pamiętasz? Był, zdaje się, w dżinsach... Pani Anna oderwała wzrok od podłogi, w którą wpatrywała się tępo, i odpowiedziała z wysiłkiem:

— Granatowe dżinsy, wiśniowa wełniana koszula polo. Tak był ubrany w domu. Wychodząc włożył chyba kurtkę... granatowy ortalion z podpinką ze sztucznego futra, szalik w czerwono-czarną kratę, rękawiczki czarne, skórzane, czapka z popielatego misia.

Doktor Werner zamknął notes i powiedział do kobiety:

— Proszę sprawdzić, czy zabrał te właśnie rzeczy, to ważne. Gdzie jest telefon?

Pan Lewandowski wskazał aparat stojący na biurku. Jednak doktor ociągał się z nakręceniem numeru. Zrobił to dopiero wówczas, gdy kobieta zniknęła za drzwiami.

— Wacek — powiedział cicho do słuchawki, gdy odezwał się znajomy głos — znalazłem tych ludzi. Sy-

31

tuacja jest poważna. Chłopak zniknął i zabrał pistolet «ojca razem z nabojami. Dzwoni na milicję. Notuj.

Podyktował przyjacielowi wszystkie uzyskane przed chwilą dane, potem jeszcze przypomniał sobie o jednym szczególe:

— Czekaj chwilę. Czy pan pamięta numer broni? — zwrócił się do nieruchomo siedzącego mężczyzny.

— Co? Tak, oczywiście. Zresztą można sprawdzić, numer jest na pozwoleniu — odparł tamten i sięgnął po portfel.

Werner odetchnął z ulgą. A więc ma pozwolenie. ■Całe szczęście!

— Wacek, jesteś? Zanotuj numer broni: parabellum HW 283671. Powtórz. W porządku. Słuchaj, może mały odezwie się jeszcze raz... Daj znać tutaj. Telefon •66-28-67 — odczytał numer umieszczony na aparacie. Co? Pojeżdżę po okolicy, rozejrzę się. Tak. Zadzwoń przed ósmą.

Skrzypnęły drzwi, weszła pani Lewandowska wreszcie bez płaszcza i kapelusza trzymając w ręce granatową kurtkę i czerwony szalik.

— Wziął stary wyrośnięty i zniszczony płaszcz — powiedziała tłumiąc płacz. — Wyszedł bez szalika, bez rękawiczek, bez pieniędzy.

Rzuciła kurtkę na podłogę, a sama padła na fotel •nie usiłując już tamować rozdierających łkań.

„Teraz dopiero uprzytomniła sobie grozę sytuacji — pomyślał doktor Werner — dopiero ten stary płaszcz •uruchomił mechanizm wyobraźni”.

Mężczyzna zareagował inaczej. Zerwał się z miejsca i podszedł do lekarza. Odzyskał energię, ocknął się.

— Co pan mi radzi robić? — spytał.

Doktor Werner spojrział na zegarek. Minęła północ.

— Już bardzo późno... no cóż, trudno. Niech pan rozejrzy się wśród znajomych, kolegów syna. Może jest

32

u kogoś z rodziny, może u przyjaciela. Niech pan telefonuje, w takiej sprawie nie obowiązują przecież jakiegokolwiek konwenanse.

— Nie, nie. Nie mógłbym usiedzieć. Odłożę to do jutra. Zresztą przypuszczam, że Stefan wyszedł z domu bez określonego celu.

„nie chcę tu być, nie chcę w ogóle być nigdzie...” — znów Werner przypomniał sobie słowa chłopca. Głośno powiedział:

— Więc niech pan weźmie wóz i pojeździ po mieście. Niech pan zwraca szczególną uwagę na ustronne skwerki, parki, nadbrzeża Odry, domy przeznaczone do rozbiórki, nie wykończone budowy. Ja będę szukał na własną rękę. Aha, byłbym zapomniał! Poproszę o fotografię chłopca, możliwie aktualną.

— Pan też będzie szukał? Dlaczego? Z jakiej racji? — pytał ze zdumieniem pan Lewandowski grzebiąc równocześnie w stercie zdjęć. — Przecież... Prawda, nawet nie podziękowałem panu za trud... zarwał pan kawał nocy. Proszę, to ostatnie zdjęcie syna, robione do legitymacji. Dziękuję panu bardzo, sam nie wiem...

— Głupstwo. Pan pyta dlaczego... z jakiej racji? Przeżyłem coś podobnego... dawno... minęły już trzy lata. Mniejsza z tym. Mam telefon, w razie czego zadzwonię do państwa. A tu jest mój adres i telefon — podał panu Lewandowskiemu karteczkę i rzucił okiem na kobietę. Nie płakała już, twarz miała bladą, oczy zaczerwienione i rozrzucone włosy. Siedziała na fotelu ściskając w obu rękach podjętą z ziemi ortalionową kurtkę. Jej wargi poruszały się, szeptała coś, ale tak cicho, że,

s*

35

doktor Werner musiał pochylić się zupełnie nisko, by zrozumieć poszczególne słowa.

Szeptała:

— Dowiedział się... Skąd?... Kto?

Przeraziła go bladość jej twarzy i głębokie cienie wokół oczu. Ujął rękę w przegubie, wymacał puls. Był bardzo szybki i nieregularny.

— Niech pan da żonie jakiś środek uspokajający, elenium, paxii, w ostateczności trzydzieści kropli waleriany. I może niech pan nie wychodzi teraz, pani nie powinna być sama.

Kobieta potrząsnęła głową, nie patrząc na męża, powiedziała normalnym głosem:

— Jedź. Nic mi nie jest. To tylko nerwy. Jedź! — krzyknęła nagle. — Słyszysz? Szukaj go! On... Ty jesteś winien!

Wstała z fotela i wciąż trzymając oburącz granatową kurtkę przeszła obok mężczyzny nie patrząc na nich. Po chwili stuknęły drzwi pokoju, w którym spała córeczka. Doktor Werner dotknął ramienia mężczyzny.

— Chodźmy.

Wyszli stąpając ostrożnie wśród zalegających podłogę książek. Już na ulicy pan Lewandowski pociągnął doktora Wenera pod latarnię i pokazał mu niewielkie czerwone pudełko.

— Niech pan spojrzysz — powiedział — nie chciałem o tym mówić przy żonie, ale... może to ma jakieś znaczenie. W tym pudełku przechowywałem moje odznaczenia. Krzyż Partyzancki, Krzyż Walecznych, Medal za Odrę, Nysę i Bałtyk. Zniknęły. Został tylko Medal X-lecia PRL i Srebrny Krzyż Zasługi.

— ■ Jest pan pewien, że zniknęły teraz, dzisiaj" • — Tak. Kilka dni temu brałem udział w pewnej uroczystości. Spotkanie kombatantów... Przypiąłem wszystkie odznaczenia, a potem na pewno je schowa-

36

łem. Zresztą mogłem zgubić jedno, ale przecież nie wszystkie trzy! Czy to według pana coś znaczy?

— Sądzę, że tak, ale teraz nie dojdziemy prawdy. Nie traćmy czasu, jedźmy.

Rozeszli się, każdy podszedł do swojego wozu. Doktor Werner otworzył syrenę, zawahał się, potrząsnął głową i podbiegł do ruszającego już trabanta.

— Chwileczkę! — zawołał.

Pan Lewandowski wychylił się przez okno.

— O co chodzi?

— Dlaczego pańska żona powiedziała: „ty jesteś winien”?

— Nie wiem. Kobieca egzaltacja, nerwy...

— Nie wygląda na egzaltowaną.

— Nie wiem — powtórzył Lewandowski — może miała na myśli... — zawahał się — mój stosunek do córki. Bardzo ją kocham.

— Bardziej niż chłopca?

Mężczyzna zacisnął usta i Werner pomyślał, że nie powie mu prawdy. Jednak po dłuższej chwili usłyszał:

— Tak.

— On o tym wiedział?

— Chyba... tak!

— Niech pan jedzie.

Trabant ruszył ostro, opryskując doktora wodą zebraną przy chodniku.

Werner spojrział w górę na wciąż jeszcze oświetlone okna mieszkania Lewandowskich i mruknął:

— Nie wszystko można naprawić. W każdym razie nie zawsze...

Pani Anna raz jeszcze spojrzała na śpiącą spokojnie córeczkę i wyszła zamykając cicho drzwi. Schyliła się i machinalnie podniosła leżącą na podłodze kurtkę mę-

37

ża, schowała do szafki ranne pantofle, powiesiła na wieszaku ortalionowe płaszcze i czerwony skafander Moniki. Wkładając parasol w specjalną podstawkę, odruchowo spojrzała w lustro. Zobaczyła w nim własną postać w jakimś karykaturalnym skrzywieniu. Twarz odbita w popękanej tafli lustrzanej przypominała kubi-styczny rysunek: zniekształcona, nieforemna, groteskowa. Rozrzucone włosy, ślady łez, oczy zaczerwienione i podpuchnięte; w zestawieniu z wieczorową sukienką wyglądało to śmiesznie i żałośnie.

Kobieta ocknęła się. Szybko posprzątała przedpokój i weszła do łazienki. Umyła twarz zimną wodą, zdjęła suknię i eleganckie pantofle, włożyła szlafrok. Chwilę stała bez ruchu, patrząc tępo na rzucone byle jak ręczniki, potem powodowana wieloletnim przyzwyczajeniem rozwiesiła je porządnie na wieszaku, by przeschły do rana.

Weszła do pokoiku syna. Była tu już, na biurku chłopca znalazła przecież ów list czy raczej manifest. Ale dopiero teraz stanąwszy w progu rozejrzała się uważnie, jakby po raz pierwszy zobaczyła to małe, ciasne pomieszczenie, w którym żył jej syn i z którego uciekł.

Patrzyła bacznie na tapczan przykryty pledem w gra-natowo-białą kratę, na biurko zarzucone książkami i rulonami rysunków, na stojący na podłodze adapter i stopy płyt w kolorowych kopertach, na półkę pełną książek, zbieranych od najmłodszych lat, na ścianę przy oknie pokrytą szczelnie afiszami filmowymi i teatralnymi, wreszcie na ścianę nad tapczanem, na której Stefan zawiesił zdobytą podczas zeszłorocznych wakacji w Ustce sieć rybacką.

Gniewała się wówczas na niego, sieć była stara, brudna i ciężka, zajęła mnóstwo miejsca w bagażach i zdaniem pani Anny nadawała się wyłącznie do wy-

38

rzucenia. Jednak gdy Stefan oczyścił sieć, naprawił porozrywane oczka i zgrabnie zawiesił ją nad swoim tapczanem, musiała przyznać, że syn miał więcej wyobraźni od niej, bowiem niecodzienna dekoracja nadała pokoikowi wygląd egzotyczny, przywodziła na myśl dalekie podróże, bezmiar horyzontu, pisk mew i zapach morskich wodorostów.

Pani Anna stała wciąż w progu i przenosiła wzrok z jednego przedmiotu na drugi, jakby spodziewając się, że w ten sposób zrozumie, znajdzie odpowiedź, pojmie, co skłoniło Stefana do ucieczki, do napisania tych bezlitosnych, a równocześnie rozpaczliwych słów.

Instynktownie czuła, że za postępkami syna kryje się coś więcej niż wstrząs wywołany ujawnieniem starannie ukrywanej tajemnicy. To nie mogło być tylko to... Nic nie powiedziała mężowi ani nieznanemu lekarzowi, zachowała na razie dla siebie swoje odkrycia. Instynkt podsunął jej podejrzenia, że odpowiedź na pytanie, dlaczego chłopak to zrobił, wcale nie mogła być prosta i jednoznaczna.

Otóż Stefan cisnął na podłogę, zmiął i podeptał wszystkie otrzymane w ostatnich latach prezenty od ojca.

Natomiast upominki, które otrzymał od niej lub od Moniki, pozostały nietknięte, ułożone porządnie: sweter zrobiony przez nią na drutach, zabawna maskotka, którą przywiozła mu z wycieczki do Pragi, i niezdarna wycinanka Moniki, wykonana w przedszkolu i ofiarowana bratu na imieniny.

I książki stały równo na półkach, tych widać Stefan nie miał serca deptać i niszczyć. Kochał je, obchodził się z nimi jak z żywymi istotami, bolała go każda plamka, każde rozdarcie

kartki. Chociaż... Pani Anna schyliła się i podniosła gruby tom leżący na podłodze. Była to „Mała Encyklopedia Powszechna”, dostała ją w tym

39

roku na urodziny. Pamiętała, że na karcie tytułowej mąż wpisał kilka słów. Otworzyła książkę, strony z dedykacją nie było. Po chwili zauważyła pod stopami zmiętą kartkę papieru. Podniosła ją i rozprostowała starannie.

Kochanemu Stefkowi w dniu urodzin od ojca — głośno duże, energiczne litery. Odłożyła encyklopedię i sięgnęła po leżący na biurku „Przewodnik po Polsce” w białoczerwonej, lśniącej okładce. Doskonale pamiętała, kiedy go kupiła. To było podczas zeszłorocznego kiermaszu książek nad fosą. Poszli we trójkę w niedzielne słoneczne przedpołudnie (Tomasz został w domu, by obejrzeć mecz w telewizji), łazili między kolorowymi stoiskami, jedli lody Bambi-no, Monika upuściła swoją porcję i Stefan zafundował jej drugą. Kupili kilka książek, na kiermaszu zawsze można było dostać atrakcyjne, trudne do osiągnięcia tytuły, Moniczka zebrała wielką kolekcję barwnych katalogów. Było bardzo przyjemnie, mimo ścisku, ryczących bezustannie głośników i upału. Nagle zorientowała się, że Stefan zniknął. Odnalazła go po chwili przy stoisku z wydawnictwami turystycznymi. Trzymał w ręku białoczerwona książkę, gładził jej lśniąca okładkę, przerzucał kartki, wreszcie spojrzął na cenę i twarz mu zmierzchnęła. Powolnym, pełnym żalu ruchem odłożył książkę i odszedł kilka kroków, potem zatrzymał się i raz jeszcze spojrzął na nieosiągalne szczęście.

Miał tak zawiedzioną i nieszczęśliwą minę, że pani Anna bez namysłu podeszła do stoiska i kupiła „Przewodnik po Polsce”. Był drogi, kosztował przeszło sto złotych, ale wtedy nie zastanawiała się nad tym, choć błyskawicznie obliczyła, że do końca miesiąca nie będzie mogła pójść do fryzjera. Mniejsza

40

z tym, warto zrezygnować z uczesania, by zobaczyć radość w oczach dziecka.

Potem usiedli na ławce nad fosą i Stefan uroczyście wręczył matce długopis.

— Napisz mi coś — powiedział — to był fajny dzień trzeba go zapamiętać.

Napisała wówczas — fajną książką kupioną w fajnym dniu ofiaruje fajnemu synowi — mama.

Stefan parsknął śmiechem, wziął od niej długopis⁷ i dopisał drukowanymi literami przed słowem mama, słowo fajna.

— Teraz dopiero wszystko jest w porządku — oświadczył.

Odczytał głośno dedykację, bo Monika chciała koniecznie wiedzieć „co tam jest napisane”, a potem usiłował wytłumaczyć siostrze, co znaczy słowo „fajna”, Ale jakoś mu nie szło.

— Oj, nie nudź — zachnął się w końcu i dodał: — dobra, miła ładna... Nie wiesz, jaka jest nasza; mama?

Teraz matka patrzy na napisaną przed rokiem dedykację i czuje coraz większy lęk i rozpacz. Stefan! Gdzie jest, co się z nim dzieje? Mniejsza o to, dlaczego odszedł, nieważne, kto zawinił! Niech tylko wróci, niech wróci zdrowy i cały!

Matka pada na kolana, opiera czoło o posłanie syna. Nie umie się modlić, wyuczone w dzieciństwie słowa znikły z pamięci, nigdy dotąd, nawet w najcięższych chwilach życia, nie czuła potrzeby szukania pociechy w modlitwie. Teraz zgięta bólem, z twarzą zalaną łzami, prosi, błaga, żąda, powtarzając uparcie te same słowa:

— Niech wróci! Niech mu się nic nie stanie! Niech wróci!

Mijają minuty, kwadransy, wreszcie godziny, ona

«

-wciąż klęczy, nie czując bólu w ścierpiętych kolanach i pochylonym grzbiecie. Poderwał ją na nogi dzwonek "telefonu. W dzikim pośpiechu, potracając po drodze sprzęty, dopadła do aparatu, podniosła słuchawkę. Mo--że?... Nie, to nie Stefan. To dzwonił mąż. Niespokojny ■o

nią, prosił, by położyła się do łóżka, odpoczęła trochę. Nie, nie natrafił na żaden ślad, choć przemierzył miasto wzdłuż i wszerz kilkakrotnie.

— Połóż się, Aniu, musisz być straszliwie zmęczona. Jutro też czeka nas ciężki dzień — powiedział i odłożył słuchawkę.

Pani Anna opadła na fotel stojący obok biurka. Patrzyła na okropny bałagan, na rozrzucone sterty książek i papierów, na stos zdjęć zalegających stół i nie miała siły, by wstać, sprzątnąć, ułożyć, poskładać. Była bardzo zmęczona, do tego stopnia zmęczona i rozbita, że nie potrafiła już myśleć. W jej skołatanej głowie tłukły się jakieś strzępki zdań, obrazów... Widziała Stefana, jak siedzi przy biurku, zatopiony w książce, z palcami wsuniętymi w gęste, jasne włosy, jak pochylony nad adapterem, przymknąwszy oczy, słucha muzyki, jak rysuje coś na białym kartonie wysunąwszy nieświadomie język, jak cwałuje wokół stołu rżąc i kwicząc, bo małej Monice zachciało się, aby był Ikoniem, jak z poszarzałą twarzą i suchymi oczyma otula w kolorowe szmatki i układa w pudełku psa Miku-sia, który zdechł zjadłszy trutkę na szczury wyłożoną w piwnicy.

Jej syn, Stefan! Była pewna, że zna na wylot swoje «dziecko, że nic nie ukryje się przed jej okiem. Myliła się. Nosił w sobie odkrytą nie wiadomo kiedy i jak tajemnicę, a ona nie domyśliła się tego. Zmagał się ze swoim cierpieniem, samotnie, a ona o niczym nie wiedziała! Co musiał przeżywać, skoro zdecydował się na krok tak rozpaczliwy?

42

Prawda, ostatnio była bardzo zajęta Moniką. Chociaż dziewczynka czuła się już zupełnie dobrze, ale oboje z mężem ciągle lękali się, ciągle obserwowali dziecko w obawie, że zauważą jakieś niepożądane objawy.

Może właśnie wtedy Stefan, pozostawiony sam sobie, powziął decyzję? Ale dlaczego nie przyznał się, że wie, dlaczego nie zapytał, nie zwierzył się ze swojego odkrycia? Jak dotąd, mówił jej o wszystkim lub prawie o wszystkim...

Nagle pani Anna drgnęła. Przypomniała sobie z całą wyrazistością moment, gdy Stefan wszedł do kuchni i powiedział:

— Chciałbym z tobą pomówić, mam ważną sprawę... Zbagatelizowała wówczas jego słowa, prawie ich nie

dostyszała, cała pochłonięta myślami o Monice przebywającej w szpitalu. Odpowiedziała:

— Później, Stefku, teraz nie mam czasu — bo musiała jeszcze utrzeć marchewkę i zanieść Monice do szpitala wyciśnięty sok...

A jeżeli właśnie wtedy Stefan chciał powiedzieć matce o wszystkim, jeśli ona sama, wprawdzie nieświadomie, przeszkodziła mu w tym?

Pani Anna drżała jak w febrze. Machinalnie sięgnęła po leżącą na ziemi domową kurtkę męża i okryła nią plecy. Ale dreszcze nie minęły. Napisał: „nienawidzę kłamców!” To prawda, okłamali go, zataili przed nim mały fragment jego życiorysu, kilka miesięcy jego pobytu w domu dziecka. Ale przecież chcieli jak najlepiej, skłamali dla jego dobra. Wtedy zdawało się im, że tak właśnie powinni postąpić. Po co Stefan miał wiedzieć, że był dzieckiem niechcianym, że rodzona matka porzuciła go tak, jak porzuca się uciążliwy bagaż? Po co miał żyć z poczuciem krzywdy, ze świadomością, że różni się od innych dzieci?

Wprawdzie kierowniczką domu dziecka, która poma-

43

gała im w załatwianiu formalności, przestrzegająca przed taką decyzją.

— Co będzie, jeśli chłopiec kiedyś odkryje prawdę? — pytała i cytowała różne przykłady, zebrane przez lata doświadczenia.

Nie posłuchali jej, przeprowadzili sądownie adopcję, Stefan miał wszystkie dokumenty w porządku, w aktach figurował jako syn Tomasza i Anny. Przewidując wszelkie ewentualności, wcześniej już postarali się o przeniesienie z Lublina do Wrocławia. Na ulicy Inżynierskiej zjawili się z paromiesięcznym synkiem. Nikt niczego nie podejrzewał, nikt się

nie domyślał prawdy. Czasem tylko jakaś wścibska sąsiadka dziwiła się, że tak późno zdecydowali się na dziecko: według dokumentów Stefan urodził się siedem lat po ślubie. „Może rzeczywiście powinniśmy byli mu powiedzieć prawdę? — myśli kobieta. — Oczywiście wówczas, kiedy był już dość duży, żeby wszystko zrozumieć. Może urodzenie Moniki było okazją ku temu? Ale przecież nikt o niczym nie wiedział, nie mógł wiedzieć!” . Tak było. Oprócz najbliższej rodziny nikt nie miał pojęcia, że adoptowali Stefana. Wśród znajomych w Lublinie już kilka miesięcy przed wyjazdem ogłosili, że Anna spodziewa się dziecka. W stosownym czasie wysłali kilka listów do przyjaciół z wiadomością, że mają syna. Wszystko przewidzieli, obliczyli, obmyślili starannie, wydawało się im, że tajemniczy nikt nie może odkryć. A jednak...

Ktoś dowiedział się prawdy i był na tyle podły, że odsonił ją przed Stefanem. Dlaczego? W jakim celu? Czy to była głupia bezmyślność, czy wyrafinowana zemsta? Nonsens! Nie mieli przecież żadnych wrogów, żyli spokojnie, cicho, lubiani przez sąsiadów, przez kolegów w pracy. Ich poziom życia nie mógł budzić niczyjej zazdrości, zarabiali nieźle, ale oboje pracowali

44

ciężko, oszczędzali, nie wydawali pieniędzy na stroje, na wystawne przyjęcia. Zresztą w sąsiedztwie mieszkali przeważnie ludzie dużo lepiej sytuowani, posiadacze domków jednorodzinnych, fiatów, wartburgów, moskwiczów.

Kiedy Tomasz dostał niewielki spadek po ojcu, do-pożyczyli resztę i kupili trabanta. Sąsiedzi przyjęli ten fakt lekceważącymi uśmiezkami i protekcyjnymi uwagami w rodzaju: „To zupełnie niezły wóz, oczywiście na początek. Dobrze się go prowadzi, nie ma zrywu, bardzo ekonomiczny, zużywa mało benzyny, nie rozwinie pan dużej szybkości, przy osiemdziesięciu na godzinę zaczyna latać po szosie”.

I przechodzili do wyliczania zalet własnych pojazdów.

Tomasz śmiał się z tego, ona w ogóle nie zwracała uwagi na ludzkie gadanie, była podniecona perspektywą niedzielnych wycieczek nad wodę, do lasu. Stefan szalał z radości, gdy zobaczył samochód, było mu wszystko jedno, czy to trabant, czy mercedes, marzył o zrobieniu prawa jazdy i wściekał się, że nie może go otrzymać już, natychmiast!

Dopiero później... zapewne pod wpływem kolegów zaczął lekceważąco ruszać ramionami, a kiedyś powiedział z pretensją:

— Trabant? Co to za samochód? To mydelniczka na kółkach!

A zresztą gdyby ktoś nawet zazdrościł im spokojnego szczęścia i względnego dobrobytu, nie mógł wiedzieć o Stefanie!

Pani Anna przymknęła zmęczone oczy i raz jeszcze przebiegła myślą krótką listę osób > które znały ich tajemnicę:

Jej ojciec, staruszek dobiegający osiemdziesiątki, uwielbiający wnuka, starsza siostra, szwagier, matka

Tomasza, nieżyjący już ojciec, dwaj młodszy bracia, ukochana ciotka Wiktoria, siostra ojca, która pierwsza wiedziała o wszystkim i rozstrzygała ich wątpliwości — ci ludzie stali poza podejrzeniami, żadne z nich nie pisnęłyby ani słowa! Wszyscy przecież pochwalali decyzję Anny i jej męża, nie padło ani jedno krytyczne zdanie, gdy po latach daremnego wyczekiwania, po długich, kosztownych kuracjach, które nie zdały się na nic, wreszcie po stanowczej diagnozie lekarzy, zdecydowali się na adoptowanie dziecka.

— Nie ta matka, która urodzi, ale ta, która wychowa! — powtarzała ciotka Wiktoria.

Ona to właśnie doradziła Annie, by wzięli dziecko zupełnie malutkie, noworodka. Bowiem początkowo nie byli zdecydowani, trochę bali się pieluch, smoczków, „nocnych płaczów, ząbkowania i innych kłopotów związanych z chowaniem niemowlęcia. Myśleli raczej” o dziecku dwu-, trzyletnim, dość małym, by nie pamiętało niczego i dało się urobić i wychować

podług ich woli, a dość dużym, by oszczędzić przybranym rodzicom tych wszystkich trudów i wyrzeczeń, które tylko prawdziwa miłość rodzicielska może uczynić łatwymi i powabnymi. Nie byli już zupełnie młodzi, Anna dobiegała trzydziestki, Tomasz był starszy o cztery lata i oboje, marząc o posiadaniu dziecka, równocześnie trochę lękali się nowych, nieznanych obowiązków i odmiany trybu życia.

Ale ciotka Wiktoria przecięła ich wahania, mówiąc:-

—■ Nic tak nie wiąże rodziców z dzieckiem jak wstawanie w nocy, jak pranie pieluch, trwożne nadśluchiwanie, czy nie płacze, czy zasnęło spokojnie. Zobaczysz ■— zwracała się do Anny — jaka to radość patrzeć na malca, który z dnia na dzień rozwija się, śledzić przybieranie na wadze, obserwować pierwsze pró-

46

by podnoszenia główki, siadania, pełzania. Chcesz się tego wszystkiego pozbawić? A pierwsze słowo? Powinnaś usłyszeć z ust dziecka, które masz pokochać, słowo „mama”, pierwsze ludzkie słowo po gaworzeniu, po tych tam różnych niby-słowach... Tylko wówczas, kiedy przeżyjesz wszystkie radości i udręki wychowywania dziecka, od samego początku, poczujesz się jego prawdziwą matką.

Frzyznali raczej ciotce Wiktorii, wybrali parotygod-niowego chłopca, którego matka po urodzeniu zostawiła w szpitalu, uciekając przez ogród w dostarczonym, przez kogoś ubraniu. Nie wiedzieli, kim była matka, i nie chcieli wiedzieć. Wystarczyło im, że dziecko było zdrowe, miłe i wesołe. Jednak załatwianie formalności, przeciągnęło się nieco i Anna nieraz żałowała, że straciła te pierwsze miesiące kontaktu ze Stefanem.

Ciotka Wiktoria okazała się mądrą kobietą. Anna czuła, że nie mogłaby bardziej kochać Stefka, gdyby był jej rodzonym dzieckiem. I Tomasz... Jaki był szczęśliwy, jaki dumny pchając wózek z malutkim Stefkiem lub wnosząc go na rękach do pokoju i pokazując gościom.

— Wykapany ojciec! — wykrzykiwali znajomi, a Tomasz był po prostu wniebowzięty. Bo dziwnym zbiegiem okoliczności Stefan miał jasną czuprynkę jak tata, a jego granatowe ślepka niemowlęcia przybrały z czasem szary kolor i upodobniły się do oczu Tomasza.

Dla Tomasza nic nie było uciążliwe, niemiłe, trudne, jeśli chodziło o dziecko. Po prostu rwał się do zastępowania żony w codziennych czynnościach, z rozkoszą asystował przy kąpieli, bez szemrania pomagał prać pieluchy, zrywał się w nocy na pierwsze stęknienie małego. A potem gdy chłopak podrośł... znosił mu kosztowne zabawki, kupował ubranka, chętnie rezygnował ze wszystkiego, byle Stefan nie odczuł najmniejszego-

47

braku. Godzinami bawił się z synem, czytał mu książeczki, rysował, opowiadał...

Pani Anna przez kilka lat nie pracowała, bo mąż nawet słyszeć nie chciał o oddaniu dziecka do żłobka Zresztą i ona wołała zostać w domu i cieszyć się urokami macierzyństwa. Było im trochę ciężko, jedna pensja z trudem starczała na wszystko, zadłużyli się nawet, ale to nie miało znaczenia wobec faktu, że posiadali własne, śliczne, zdrowe i kochane dziecko.

Stefan miał dziesięć lat, gdy urodziła się Monika. Początkowo rodzice nie śmieli wierzyć w niespodziewane szczęście, przecież kilku wybitnych specjalistów orzekło, że Anna nigdy nie będzie mogła mieć dziecka, że pobyt w obozie pozostawił trwałe zmiany. Pomylili się. Może właśnie dlatego Tomasz... Nie, nie zmienił się w stosunku do Stefana, kochał go nadal, ale Monika zajęła pierwsze miejsce w jego sercu. Zresztą wszyscy łącznie ze Stefkiem tańczyli tak, jak im zagrała czarnowłosa, pyzata dziewczuszka. Kochali ją bardzo, była taka malutka, śmieszna i miła.

Pani Anna wspomina reakcję Stefana na wieść, że za kilka miesięcy będzie miał siostrę albo brata.

— Będę się nią opiekować! — wykrzyknął. — Będę jej bronił! — wypiął mężnie szczupłątką pierś i potoczył wokoło groźnym wzrokiem.

Nie przyjął do wiadomości, że równie dobrze może się urodzić chłopczyk, chciał mieć siostrę, i kropka! To on na długo przed urodzeniem Moniki wybrał dla niej imię.

— Może zostanie aktorką albo piosenkarką — mówił w zadumie — takie imię będzie ładnie wyglądać na afiszu: Monika Lewandowska.

Nie, Stefan nie był zazdrosny o siostrę, rozumiał, że malutkie dziecko w wielu sprawach musi mieć pierwszeństwo w domu. Był przecież mądry, skłonny do

48

tkliwości i czułości, pełen uczuć opiekuńczych w stosunku do Moniki.

A jednak ostatnimi czasy zmienił się bardzo, szczególnie w stosunku do ojca. Stał się chłodniejszy, oszczędniejszy w okazywaniu serdeczności, przywiązania, czasami odnosił się do niego wręcz niechętnie. Oboje rodzice kładli to na karb wieku dojrzewania, wpływu kolegów, lektury.

Pani Anna starała się jednak odnosić do syna ze zdwojoną serdecznością, by teraz gdy miała własną, przez siebie urodzoną córeczkę, nie wzbudzić w chłopcu nawet cienia podejrzeń, że jedno z nich posiada większą część jej serca. I Stefan tak to chyba rozumiał. Powiedział jej kiedyś:

— Ty jesteś prawdziwa mama. Gdybyś miała dziesięcioro dzieci, wszystkie kochałabyś jednakowo, prawda?

Przyznała mu rację i zainteresowała się, dlaczego zadaje takie pytania. Wciąż gnębił ją lęk, że Stefan może się czuć skrzywdzony, pominięty, mniej kochany. Ale jemu chodziło o co innego.

— Mam w klasie kolegę, jest najstarszy z rodzeństwa. On w ogóle się nie liczy, każą mu wszystko robić w domu, na gwiazdkę dostaje skarpety i nic więcej. Ojciec kocha tylko jego siostrę, a znowu matka przepada za najmłodszym synem. Więc ten Karol jest bardzo nieszczęśliwy, tamtym wszystko wolno, a on ma cicho siedzieć. On nawet myśli, że jego rodzice to nie są prawdziwi rodzice i dlatego tacy dziwni...

Długo, bardzo długo tłumaczyła mu wtedy, że ludzie są różni, że jego kolega nie powinien być taki podejrzliwy, że kto wie, może sam jest trochę winien tym nienormalnym stosunkom. Musiała mimo woli zapalić się ponad miarę, bo Stefan spojrzał zdziwiony i powiedział:

4 — Telefon zaufania

49

— Dlaczego tak się przejmujesz? Przecież ja wiem, że u nas jest zupełnie inaczej.

Pani Anna poruszyła się niespokojnie w fotelu. Czy naprawdę było zupełnie inaczej? Czy rzeczywiście umiała obdzielić oboje dzieci równą miłością? Czy nie zbliżała się do Moniki z tą cudowną świadomością, że bierze na ręce istotkę złożoną ze swojej krwi, ze swego ciała, część siebie samej? Przecież Stefan nigdy nie budził w niej takich uczuć. Czyżby to rozumiał, wyczuwał? Nie, to niemożliwe, absolutnie niemożliwe!

Ukrywała starannie swoje przeżycia związane z urodzeniem Moniki, nawet Tomasz nie wiedział o wszystkim.

A jednak... Kiedy przed paroma godzinami weszła do mieszkania i zobaczyła zrujnowany przedpokój, jej pierwszym odruchem było sprawdzić, czy nic nie stało się Monice! Nie Stefanowi, lecz właśnie Monice!

Jak mogła choć przez sekundę przypuszczać, że chłopiec byłby zdolny skrzywdzić Monikę! A jednak złękła się, podejrzewała go, przez chwilę potraktowała Stefka jak kogoś obcego, przypisała mu podłe intencje i czyny!

Pani Anna objęła skołataną głowę rękami. „Gdyby Stefan był moim rodzonym dzieckiem, czy i wówczas doznałabym podobnych uczuć?” — zadała sobie pytanie.

Jęknęła. Nie miała już sił, była u kresu wytrzymałości. Nie, niepotrzebnie się dręczy, to był odruch, nie kontrolowany impuls. Przecież teraz wcale nie myśli o Monice, jej umysł jest

zajęty wyłącznie synem; to o niego drży, to przez niego płacze i cierpi. Nie cierpiałaby chyba więcej, gdyby coś złego spotkało Monikę!

Zegar wybił jakąś godzinę. Podniosła głowę, spojrzała. Była piąta. Więc przesiedziała w tym fotelu

50

prawie całą noc? Nie czuła senności, dygotała tylko trochę, wstrząsana dreszczami, i powieki paliły jak ogniem. Przemogła się, wstała, ogarnęła uważnym spojrzeniem pokój. Trzeba koniecznie posprzątać, niedługo obudzi się Monika, dziecko nie może wiedzieć, co zaszło w domu. Odsunęła fotel, by dostać się do biurka, i nagle cała krew odpłynęła jej z twarzy.

Jak mogła wcześniej nie zauważyć? Gdzie miała oczy? No tak, Tomasz zasłonił biurko wysokim oparciem krzesła, nie chciał, by spostrzegła rozbitą, wyłamana szufladę.

Ciemna politura pękła na całej długości, zamek był porysowany, blat wyszczerbiony i nadłamany. Czy to w tej szufladzie Tomek trzymał ważne papiery i dokumenty? Owszem, ale zielona teczka z metrykami leżała na wierzchu nie tknięta... Czego więc Stefan szukał, co chciał zdobyć, czego pragnął tak silnie, że nie cofnął się przed włamaniem? Pieniądzy? Nigdy nie trzymali w domu większych sum, skromne oszczędności składali w PKO, Stefan wiedział o tym. Zresztą nie opróżnił nawet własnej skarbonki, nie o pieniądze mu chodziło.

A więc może szukał dowodów świadczących przeciwko odkrytej tajemnicy swego pochodzenia. Chciał się upewnić. Przecież nie mógł nic znaleźć, absolutnie nic!

Nagle pani Anna wydała cichy okrzyk i zaczęła gorączkowo przerzucać stertę papierów i drobiazgów zalegających biurko. Uprzytomniła sobie, co jej mąż trzymał pod kluczem, nieraz drżała, że Stefan dobierze się do zamkniętej szuflady, chłopcy lubią bawić się bronią.

Miała za złe mężowi to przywiązanie do śmiercionośnej pamiętki, prosiła, by przynajmniej pozbył się naboju. Śmiał się z jej obaw, twierdził, że Stefan jest rozsądny, a szuflada dobrze zamknięta.

4«

51

Teraz była otwarta, wyłamana siłą i... pusta!

Pani Anna usłyszała nagle daleki, przenikliwy pisk, poczuła pełną od nóg obrzydliwe, lepkie zimno, pisk zamienił się w huczące dzwony, przed oczyma zawirowały czerwone koła... Zrobiła krok w kierunku fotela, zbawcza poręcz była zupełnie blisko, jeszcze tylko jeden mały wysiłek i...

Podłoga zakotyła się pod stopami, kontury przedmiotów przesłoniła mgła. Pani Anna zemdlała.

Tomasz Lewandowski otarł chustką spocone czoło i wciągnął głęboko czyste, rześkie powietrze. Po dusznym gorącu panującym w dyżurce komisariatu, wilgotny chłód wczesnego poranka wydał mu się czymś cudownym i pokrzepiającym. Zbiegł po schodkach na ulicę.

Przed sobą miał mokrą gęstwinę drzew, obrastających fosę, przez bezlistne jeszcze gałęzie widział biały gmach Opery, na prawo z szarości świtu wynurzała się ciężka bryła Domu Towarowego, dalej w głębi majaczyła strzelista wieża kościoła Bożego Ciała.

Mężczyzna stał bez ruchu i patrzył na wynurzające się z burych mgieł miasto, słuchał świergotu wróbli, które obsiadły nagie drzewa. To był jego ulubiony zakątek, ten odcinek Świdnickiej między Podwalem a Rynkiem. Wrocław miał wiele pięknych ulic, zaułków i placów, lecz dla Tomasza Lewandowskiego najpiękniejsza była ulica Świdnicka, wlot do Rynku i wąska gardziel Kuźniczej, zamknięta barokową fasadą Uniwersytetu.

Tutaj jesienią czterdziestego piątego roku na skwerku obok spalonego Domu Towarowego zatrzymała się rozklekotana wojskowa ciężarówka i wyskoczył z niej

52

młody człowiek w mundurze, tędy bowiem wiódł szlak zdemobilizowanego porucznika Lewandowskiego, wracającego w rodzinne strony.

Kierowca ogłosił dwie godziny przerwy w podróży i większość pasażerów ruszyła przed siebie, by obejrzeć ogromne, zrujnowane miasto, o którego zniszczeniu krążyły legendy. Tomasz poszedł z innymi. Ulica wiodąca do Rynku była odgruzowana, choć boczne uliczki zalegały jeszcze hałdy cegieł i kamieni. W mieście wrzało życie, gdzieś w ocalałych parterowych sklepach sprzedawano i kupowano w najlepsze, nie myśląc o wiszących nad głowami wypalonych piętach.

Lewandowski nie dziwił się niczemu. Widział zniszczoną Warszawę i Kołobrzeg, zdobywał Berlin, zdążył oswoić się z widokiem gruzów, co więcej, taki stan rzeczy uznał za normalny, przecież cała Polska była wówczas pobojuwiskiem i cmentarzem.

Na żelaznej, zgiętej pociskiem latarni wisiała drewniana tabliczka z napisem: Do uniwersytetu.

— Panie — zaczepił Lewandowski jakiegoś przechodnia wyglądającego na tubylca — macie tu uniwersytet? Czynnny?

— Ta co pan sobie myśli? — obraził się zagadnięty. — Ta idź pan prosto tą ulicą, a sam pan zobaczysz.

Lewandowski poszedł we wskazanym kierunku, chciał na własne oczy zobaczyć uniwersytet działający w tym morzu gruzów. Jednak nie doszedł do końca ulicy, gdzieś w połowie drogi uderzył go widok siedzącej na walizce dziewczyny. Była ubrana w za duży i za ciężki, jak na ciepły wrześniey dzień, żołnierski płaszcz, białą furazerkę, a cała postać wyrażała taką rozpacz i rezygnację, że Tomasz zatrzymał się i popatrzył.

Nieliczni przechodnie mijali dziewczynę obojętnie.

53

W tych czasach nie roztkliwiano się byle czym, zresztą siedząca nie tamowała ruchu, ustawiła swoją walizkę w załomie muru, nogi podciągnęła pod siebie, wyglądała jak ktoś odpoczywający lub czekający.

Lecz Tomasza uderzyła bladeść jej wymizerowanej twarzy i bolesne spojrzenie ogromnych, czarnych oczu. Podeszedł bliżej i zapytał:

— Czy pani źle się czuje? Może w coś pomóc?

Dziewczyna spojrzała na sympatyczną twarz, na wesołe szare oczy i nagle bez żadnego wstępu zaczęła płakać. Szlochała głośno, tak jak szlochają skrzywdzone dzieci, ocierając lejące się łzy wierzchem dłoni. Ponieważ ludzie zaczęli przystawać i oglądać się, Tomasz stanowczym ruchem ujął płaczącą za ramię, zmusił do powstania, potem wepchnął dziewczynę i jej walizkę do pierwszej z brzegu bramy. Pochylił się i powiedział surowo:

— Mazgaj!

Płacz umilkł jak ucięty nożem. Potem ilekroć Tomaszowi zdarzyło się podnieść głos w rozmowie z żoną, Anna przypominała mu z uśmiechem:

— Wtedy też krzyknęłaś na mnie. To już nałóg.

Bo ta dziewczyna to była Anna, jego żona, którą spotkał płaczącą na ulicy i z którą trzy lata później wziął ślub.

Jej historia była prosta i krótka. Miała osiemnaście lat, była warszawianką. Po powstaniu wywieziono ją do obozu. Spędziła w nim tylko osiem miesięcy, ale to wystarczyło, by koniec wojny zastał ją chorą, niezdolną do życia. Kilka miesięcy przeleżała w wojskowym szpitalu, teraz wraca do domu. Miała wiadomości od rodziny, matka i dwaj bracia zginęli, ocalał tylko ojciec i starsza siostra. Na razie są u dalekich krewnych pod Zamościem, bo ich mieszkanie w Warszawie spalone, nie mają do czego wracać. Jechała z Niemiec z przy-

54

jaciółką, trzymały się razem od samego powstania. Teraz zgubiły się, a co gorsza w pociągu skradli jej torbę, w której miała pieniądze, papiery, trochę żywności.

— Ja zaraz... ja się wezmę w garść — ocierała ostatnie łzy — wcale nie jestem mazgaj, tak się jakoś roz-kleiałam.

Wtedy Tomasz wypowiedział kilka słów, które, jak się później okazało, zaważyły na całym jego życiu.

— Jadę do Lublina wojskową ciężarówką. Chodź,, pojedziemy razem. Nie jesteś głodna? Podniósł niewielką walizeczkę opasaną sznurkiem, cały majątek dziewczyny, i poszli przez nieznane miasto, które kiedyś miało stać się dla nich miastem bliskim i własnym. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedzieli.

Teraz Tomasz Lewandowski starszy o dwadzieścia sześć lat stoi bez ruchu i patrzy w ulicę, którą kiedyś prowadził do wojskowej ciężarówki swoją przyszłą żonę.

Zgrzytający na zakręcie tramwaj wyrwał go z zadumy. Przebiegł ulicę i wsiadł do samochodu. Westchnął z ulgą i zapalił.

Rozmowa z dyżurnym oficerem uspokoiła go nieco. Natychmiast po przyjęciu meldunku złożonego przez, doktora Rajewskiego dwa radiowozy otrzymały polecenie odszukania Stefana. Skontrolowano wypadki zanotowane w Pogotowiu i w szpitalach. Nigdzie nie stwierdzono postrzału z broni palnej, nigdzie nie udzielono pomocy szesnastoletniemu chłopcu.

— Kontaktuję się z pogotowiem i ze Szpitalem Wojewódzkim co godzinę — powiedział dyżurny oficer —; moi ludzie przeczesują parki, ogrody działkowe, opuszczone kamienice przeznaczone do rozbiórki lub remontu, słowem, wszyskciemiejsc, w których chłopak mógłby się schronić przed deszczem i chłodem. A swo-

5?
ją drogą, jeśli nie znajdziemy go do rana, musi zobaczyć się pan z jego kolegami, ze szkołą... Czy syn pański ma przyjaciół? A może jest jakaś dziewczyna? Mogliby udzielić informacji, czasami kumpel i sympatia więcej wiedzą o chłopaku niż rodzony ojciec.

Tomasz Lewandowski potakiwał, zaprzeczał, odpowiadał na pytania, ale wciąż miał przed oczyma pustą szufladę i to, co z niej zniknęło. Lecz oficer uspokoił go jednym zdaniem.

— QZy pański syn umiał obchodzić się z bronią? —

spytał. — T° nie takie proste — stwierdził, gdy Lewandowski odpowiedział przecząco — załadować pistolet i wystrzelić, trzeba wiedzieć, jak się do tego zabrać. Zanim chłopak przekona się, co do czego pasuje, zdąży oprzytomnieć. Takie rzeczy robi się na gorąco, w nagłym Porywie, nigdy po dłuższym namyśle. Zwłaszcza «r jego wieku.

— -Wiec P° co zabrał pistolet? — wybuchnął Lewandowski-

Oficer rozłożył ręce.

— nie wiem. Może, aby komuś zaimponować, może chciał państwa przerazić, a może po prostu zrobić panu ma złość.

— Na złość? Mnie?

— Oczywiście. Zabrał przecież także pańskie odznaczenia.

— pev\tfio ma Pan rację, ale jednak istnieje możliwość że on"- — §*os g° zawiódł, umilkł, zakrył oczy dłońmi.

— Dlateśo szukamy go — powiedział oficer i dodał

sucho —■ a swoją drogą to wielka lekkomyślność trzymać broń ^ szufladzie, którą tak łatwo można otworzyć. I \vł0^ciwie po co panu ten pistolet?

Tomasz Lewandowski milczał. Mógłby odpowiedzieć na to pyt^ie, ale nie miał ani siły, ani ochoty spowia-

58

dać się przed tym obcym człowiekiem, który wprowadzie sumiennie i dokładnie wypełniał swoje obowiązki, ale pozostał sztywny, obojętny.

— No cóż — mruknął Lewandowski gasząc papierosa — milicjant nie ma obowiązku wrzucać się każdą sprawą, nie starczyłoby mu sił i nerwów nawet na rok pracy. Pomyślał o żonie czekającej w pustym mieszkaniu, niespokojnej, zdenerwowanej, zrozpaczonej. W pustym? Cóż znowu, jest przecież Monika, mała pulchniutka czarnulka posapująca rozkosznie w swoim łóżeczku. Niedługo obudzi się, wstanie i... Czy Anna zdążyła usunąć ślady bezmyślnej, niszczycielskiej furii Stefana? Czy posprzątała jako tako pokoje? Co powiedzą Monice, jak wytłumaczą jej nieobecność brata? Mała jest ogromnie przywiązana do chłopca, płacze, gdy muszą się rozstać na kilka dni. Nie powinna znać prawdy, trzeba wymyślić jakiś wiarygodny powód zniknięcia Stefana. Ciotka Wiktoria! Tak, to jedyne możliwe wytłumaczenie. Ciotka Wiktoria jest stara, straciła swego syna na wojnie, teraz mieszka samotnie w małym domku na przedmieściu Lublina... zachorowała i wezwwała Stefana depeszą. Wyjechał nagle, w nocy, gdy Monika już spała.

„Będzie płakać, ale nie domyśli się podstępu — stwierdza z zadowoleniem inżynier Lewandowski — w każdym razie nie powinna domyślić się... chociaż... Monika jest taka mądra, sprytna i bystra i — uśmiechnął się z czułością, jak zwykle gdy myślał o córce — będzie co chwilę pytała: gdzie Tefcio?”

Z najwcześniejszych lat zostało jej to dziecinne, zdrobnienie, Stefana dotąd nazywała „Tefciem”.

Na wspomnienie syna inżynier Lewandowski poczuł nagły gniew i coś jakby niechęć. Oczywiście, chłopak przeżył szok, niespodziewana wiadomość wstrząsnęła

59

nim, ale czy naprawdę musiał zareagować tak... histerycznie, tak nieodpowiedzialnie? Nie był już dzieckiem, a w każdym razie sam nie uważał się za dziecko, powinien był zastanowić się, pomyśleć, spróbować rozmowy z rodzicami. Gdyby choć przez chwilę wyobraził sobie skutki swojej decyzji, rozpacz matki, konsekwencje...

I czy rzeczywiście odkrycie faktu, że jest dzieckiem adoptowanym, musiało wywołać w nim aż taki wstrząs? Gdyby spróbował obiektywnie ocenić całe swoje dotychczasowe życie, musiałby dojść do wniosku, że nagle ujawniona tajemnica jego pochodzenia nie może, nie powinna mieć żadnego znaczenia! Adoptowany czy rodzony syn? Bzdura, nonsens! Po prostu syn, kochany, pieszczony, mający dom, rodziców, ich miłość, wszystko!

Inżynier Lewandowski zapalił kolejnego papierosa i zerknął na zegarek. Dochodziła piąta, powinien być już w drodze do domu. Może Anna źle się czuje? A może odebrała jakąś wiadomość? Ten doktor... jak mu tam... Werner, obiecał kontaktować się telefonicznie. Może wpadł na jakiś ślad? Trzeba wracać!

Mimo to inżynier nie zapala silnika, siedzi bez ruchu, skulony, z brodą opartą na kierownicy trabanta. Na myśl o powrocie do domu i spotkaniu z żoną czuje niechęć i coś jakby lęk. Powiedziała: „ty jesteś winien!” Oczywiście miała na myśli jego stosunek do Moniki. Nie miała racji! To przecież zupełnie naturalny objaw, że małe dziecko jest w domu rozpieszczane, całowane, hołubione bardziej niż szesnastoletnie chłopaczysko! W dodatku chłopaczysko, które nie uznaje „lizania się”, które pieszczoty, przytulania, głaskania uważa za ubliżające swojej „męskości”. Oczywiście, że kocha Monikę mocniej niż Stefana,

60

a właściwie nawet nie mocniej, lecz po prostu inaczej. Nie dlatego, że córka jest jego rodzonym dzieckiem, a syn adoptowanym. Kochałby Monikę tak samo, gdyby miał sześciu własnych, najrodzeńszych synów! Bo czy może być coś miłszego od takiej śmiesznej, malutkiej kruszynki, od tej miniatuarki kobiety, która przymierzając przed lustrem nowy fartuszek, pyta poważnie:

— Tata, czy mi do twarzy w żółtym?

Właśnie wczoraj po południu śmiał się do rozpuku, słysząc te słowa i widząc miny, jakie stroiła Monika przed lustrem.

I przecież Stefan nigdy nie był zazdrosny o Monikę! Był w niej rozkochany tak samo jak rodzice. Z jakim zachwytem patrzył w głąb wózka na fikające tłusciutkie nóżki i rączki! Z jaką dumą wprowadzał do pokoju kolegów, by im pokazać Monikę, mówiąc: to jest moja siostra. Przecież nie zjadł ani jednego cukierka, ani jednej czekoladki, by nie podzielić się z Moniką. Co to była za rozpacz, gdy przyniósłszy w szklance porcję lodów, usiłował nakarmić nimi trzymiesięczne niemowlę, a matka w ostatniej chwili zdołała uchronić córkę przed tym poczęstunkiem.

A później, gdy Monika podrosła, z nikim nie chciała się bawić, tylko z „Tefciem”. Chłopak rysował jej niezliczone ilości obrazków, opowiadał bajki, był koniem, psem, lokomotywą, krasnoludkiem, Mikołajem — zależnie od fantazji i zachcianek Moniki.

Po ślubie kuzynki, który wywarł na dziewczynce ogromne wrażenie — pierwszy raz widziała pannę młodą w białej sukni, w welonie, z bukietem kwiatów — oświadczyła stanowczo: — Ja się ożenię z Tefciem.

Inżynier Lewandowski nieraz dziwił się, skąd u dorastającego chłopca tyle cierpliwości, tyle czułości

61

i tkliwości w stosunku do, bądź co bądź, naprzykrzającego się bez ustanku brzdąca?

A teraz Anna twierdzi, że Stefan czuł się skrzywdzony, mniej kochany, odsunięty na dalszy plan przez

Monikę. Absurd!

Chociaż... od pewnego czasu Stefan jakby się zmienił, jakoś dziwnie obojętnie zareagował na wypadek i chorobę Moniki, ani razu nie poszedł do szpitala. Co prawda dziewczynki nie wolno było odwiedzać, nawet im, rodzicom, pozwolono tylko patrzeć przez szybę. Ale Stefan w ogóle był jakiś inny, nie przychodził tak często na pogawędki, nie nalegał, by ojciec opowiadał mu o swoich przygodach partyzanckich i wojennych, których dawniej mógł słuchać bez końca, czasami w rozmowie rzucał cierpkie uwagi, krytyczne spojrzenia, wzruszał ramionami. Niejeden raz dochodziło do scysji...

„To zmiany typowe dla pewnego wieku — stwierdza Tomasz Lewandowski — a teraz występują one wyraźniej i silniej niż na przykład w czasach mojej młodości. Dziś trudno o wyłączność autorytetu rodziców, młodzi szybciej dorastają, zdobywają wiedzę czasem szerszą niż ta, którą my posiadamy... Stefan już teraz wie znacznie więcej ode mnie o kosmosie, o nowych odkryciach biologicznych, nie mówiąc o literaturze i malarstwie. Ja po prostu nie mam czasu na interesowanie się wszystkim, on jeszcze ma. Mój ojciec imponował mi przez długie lata, nikt tak jak on nie znał się na maszynach, nikt jak on nie potrafił wszystkiego naprawić, przerobić, usprawnić. Dopiero gdy przekonałem się, będąc już na studiach, że jego wiedza teoretyczna jest prawie żadna, że biję go na głowę wiadomościami z matematyki i fizyki... zacząłem lekceważyć staruszka i jego umiejętności. Trzeba było wielu lat własnej pracy i doświadczeń, żebym zro-

62

zumiał, jakim zdolnym człowiekiem był mój ojciec i ile włożył wysiłku, by — będąc właściwie samoukiem, nie skończywszy żadnej uczelni technicznej, ucząc się zawodu u majstrów — dojść w końcu do swego stanowiska i stać się znakomitym fachowcem”. Zamyślił się, zaczął przypominać sobie rozmowy z synem, fragmenty dyskusji. Tak, ze Stefanem chyba działało się to samo. Przecież do pewnego czasu imponowała mu przeszłość wojenna ojca. Zbierał literaturę pamiątnikarską z tamtego okresu, kolekcjonował wycinki prasowe.

„Prawdę mówiąc — duma inżynier — dawno byłbym oddał moją parabelkę, wystarczą mi wspomnienia, nie potrzebuję realnego dokumentu tamtych czasów. Jeśli ją zachowałem, to właśnie ze względu na Stefana, chciałem, by rósł w takiej samej atmosferze, w jakiej ja

wyrośłem, by od dziecka wiedział, że... Ech, co tu owijać w bawełnę! Nie chciałbym, aby moje dzieci musiały przeżywać to, co myśmy przeżyli, ale z drugiej strony mój syn powinien rozumieć, że są rzeczy ważniejsze od najważniejszych, że jest miłość, przed którą muszą ustąpić inne, nawet największe miłości, i że prawdziwy mężczyzna, a w dodatku Polak zawsze potrafi właściwie wybrać! I wydawało mi się, że cel osiągnąłem... do pewnego czasu. Bo od roku czy dwóch... Może się mylę, ale... Nie, nie mylę się! Czytałem w prasie, słyszałem w telewizji wypowiedzi młodzieży, ostatnio dość dużo mówi się i pisze na ten temat. Oni mają dość wojny. Nie chcą czytać książek ani oglądać filmów o okupacji. Ich to «nudzi». Owszem, łaskawie przyznają, że byliśmy bohaterzy, ale teraz liczą się nie bohaterowie, lecz kudłaci piosenkarze, tarzający się na estradach!"

Inżynier Lewandowski z pasją zmiażdżył puste opakowanie po papierosach i wyrzucił je przez okno. Ten

63

oficer milicji miał rację! Stefan zabrał pistolet i odznaczenia, by zademonstrować swój stosunek do tych spraw, do ojca! By mu zrobić na złość! To zwyczajny odwet, okazuje się. „Okłamałeś mnie, nie jesteś moim prawdziwym ojcem, więc masz za to!" Szczeniak! Głupi, bezmyślny szczeniak! I ta dewastacja mieszkania, to przekreślone zdjęcie! Wyparł się rodziców, wyparł się wszystkiego, co dla nich było ważne i drogie, nawet ich przeszłości, którą kiedyś przecież kochał i podziwiał.

„No, niech ja dostanę go w swoje ręce! — myśli z irytacją inżynier — popamięta mnie! Dam mu taką nauczkę, że na długo odechce mu się histerycznych wybryków! Gdybym to ja odstawił taki numer swojemu ojcu... Jezu Chryste! Miesiąc bym nie mógł sier-dzieć! Ale prawda, teraz młodzieży się nie bije, to niepedagogiczne, to wywołuje kompleksy, zahamowania, urazy... Do diabła z kompleksami! Ja tam brałem w tyłek od starego przy każdej okazji, a jakoś nie popadłem w urazy. Teraz ci smarkacze strasznie delikatni i wrażliwi! Akurat! Gruboskórne to, nietaktowne, że nie daj Boże!"

Pamięta, kiedy kupili trabanta, Stefan ucieszył się, z początku pomagał mu myć, konserwować wóz, chciał koniecznie nauczyć się prowadzić. Czasami ojciec puszczał go za kółko na jakiejś pustej, leśnej drodze, chłopak miał nerw do wozu, świetny refleks, orientację... Ale to trwało krótko, ten zachwyt i zapał. Przy jakiejś okazji palnął: „jak już obrastać w piórka, to w dobre. Co to za wóz — trabant, to mydelniczka na kółkach!" i dodał — „powinieneś kupić co najmniej fiata".

Nie spodziewał się tego po Stefanie. Nigdy nie było z nim takich problemów, wprost przeciwnie, zawsze kpił z kolegów, którzy potrafili mówić tylko o pieniądzach, o przyszłych zarobkach, licytowali się w prze-

64

Chwałkach na temat samochodów, wakacji w Jugosławii. Drwił z dorobkiewiczów, twierdził, że nie pieniądze są najważniejsze. I nagle...

Zbagatelizował wtedy ten incydent, odparł po prostu, że tak krawiec kraje, jak materii staje. Teraz widzi, że postąpił niesłusznie. To był jakiś sygnał, początek czegoś. Stefan stracił dla niego podziw, szacunek, potem przyszła ta nieoczekiwana wiadomość i — chłopak załamał się kompletnie!

Nagle inżynier Lewandowski drgnął, ktoś wsunął rękę przez otwarte okno samochodu i dotknął jego ramienia.

— Pan parkuje w niedozwolonym miejscu — powiedział młody milicjant salutując — porucznik wie, że pan... że pewno myślał pan o czym innym, ale to już za długo trwa. Tomasz Lewandowski szybko zapuścił motor i bez słowa ruszył z miejsca. „Co za idiota ze mnie! — pomyślał ze złością — zamiast wrócić do domu, zająć się Anią, pomóc jej, uspokoić, siedzę i roztrząsam swoje sumienie. Kto winien, ten winien, teraz nie to jest najważniejsze! Grunt, żeby chłopak wrócił do domu zdrowy i cały. Później będzie czas na

rozmyślania i dyskusje. Muszę zadzwonić do zakładu, nie byłbym w stanie dziś pracować, całe szczęście, że mam jeszcze kilka dni nie wykorzystanego urlopu. I zaraz o ósmej pójdę do szkoły, może któryś z kolegów Stefana będzie coś wiedział. Przecież chłopak musiał gdzieś spać, nie wałęsał się całą noc po ulicach. A może on naprawdę pojechał do ciotki Wiktorii? Bardzo ją lubi i szanuje... Nie wziął ze sobą pieniędzy, Ania znalazła jego portmonetkę, ale czy dla takiego smarkacza to przeszkoda? Mógł pojechać pierwszym lepszym samochodem. Na wszelki wypadek zadepeszuję do ciotki".

Inżynier Lewandowski jedzie ulicami, na których

5 — Telefon zaufania

65

zaczyna się już poranny ruch: ludzie śpieszą się do pracy, dzwonią tramwaje, zgrzytają ruszające ciężko z miejsca autobusy.

Wreszcie podjeżdża pod dom, wysiada z samochodu, patrzy w okna swego mieszkania. Już wie, że Stefan nie wrócił, w przeciwnym wypadku Anna nie stałaby przy oknie z czołem przyciśniętym do szyby, wpatrzona w daleką perspektywę ulicy.

Ojciec powoli wchodzi do bramy, teraz dopiero czuje nie przespaną noc, swoje czterdzieści osiem lat i ciężar niepewnego jutra.

CZEŚĆ II

„Mały słownik języka polskiego”, strona 699, hasło „rodzice” — no cóż, żadnych rewelacji, rodzice to ojciec i matka. Jest jeszcze hasło „przybrani rodzice” — to interesuje mnie bardziej. Czytam: „opiekunowie w stosunku do dziecka wziętego na wychowanie”. I dalej hasło „rodzony” — „spokrewniony w prostej linii wstępnej albo zstępnej”.

Brr! I to ma być język polski!

Mógłbym jeszcze wyszukać inne hasła, sprawdzić takie określenia, jak: znajda, podrzutek, mógłbym wziąć z biblioteki „Słownik wyrazów bliskoznacznych”, ale to przecież niczego nie zmienia.

Bez słowników, bez pomocy polonistów i naukowców wiem na pewno — jestem znajdą, podrzutkiem, moi rodzice to tylko opiekunowie, nie ma między nami pokrewieństwa w żadnej linii, noszę ich nazwisko na mocy wyroku sądowego, to nie węzły krwi nas łączą, lecz orzeczenie o adopcji, zwykły kawałek zapisanego papieru, wpięty w akta i przechowywany w Urzędzie Stanu Cywilnego.

Dlaczego, dlaczego tak często ważne sprawy zależą od drobiazgów? Czemu o losie człowieka może zdecydować przypadek? Ludzie dokonują coraz to nowych odkryć, wynajdują coraz wspanialsze maszyny, ujarz-

67

miają przyrodę, latają na księżyc. Nasze życie jest z roku na rok ciekawsze, łatwiejsze...

Dlaczego nikt nie pomyślał o skonstruowaniu aparatu, maszyny, przyrządu, który wykrywałby ludzką podłość, tak jak na przykład licznik Geigera wykrywa cząstki promieniowania? Dlaczego dzięki nauce i wynalezionym przez nią szczepionkom mogę nie bać się szkarlatyny, tyfusu, dyfterytu, a dlaczego nikt nie pomyślał, jak uchronić mnie przed zetknięciem z draństwem, niegodziwością, łajdactwem?

Czy naprawdę to musiało się zdarzyć? Czy nie ma na to sposobu, by ludziom pokroju pani M. zamykać usta, zmuszać do milczenia? Gdybym nie chodził do jednej klasy z jej synem Władkiem i gdyby Władek nie gwizdnął pieniędzy Ryškowi...

Rysiek zrobił wielką awanturę, to była duża suma, prawie trzysta złotych, opłata za wycieczkę do Warszawy za niego i brata. Posadził Olę, kręciła się w pobliżu jego ławki podczas dużej pauzy, a co gorsza, miała już sprawę o długopis. Ola skarżyła się koleżankom, że nie wie, czy pojedzie z nami, bo dla jej matki sto kilkadziesiąt złotych to duży wydatek. Bardzo chciałyby pojechać, nigdy dotąd nie widziała Warszawy.

Tak się jakoś wszystko podle złożyło: i podejrzenia Ryśka, i fakt, że dziewczyna nie miała najlepszej opinii, i ta wycieczka, o której marzyła... no, słowem, wszyscy byli przekonani, że pieniądze świsnęła Ola.

Wszyscy... z wyjątkiem mnie. Bo ja widziałem, co prawda przez krótką chwilę, jak Władek szperał w teczce Ryśka. Tylko że to było jeszcze przed dużą pauzą. On mnie nie zauważył, ale ja widziałem go dokładnie. Nie chciałem robić grandy, a z drugiej strony nie mogłem pozwolić, by Ola cierpiała niewinnie. To była grubsza sprawa, nie drugie śniadanie czy długopis za dychę.

68

Odwołałem na bok Władka i powiedziałem mu, że wiem, kto wziął pieniądze. I że ta forsa powinna być natychmiast zwrócona, a Ola oczyszczona z zarzutów. Roześmiał mi się w nos i spytał, czy mam dowody. Próbowaliśmy z nim gadać po ludzku, ale on śmiał się beczelnie i twierdził, że nic nie wie o żadnych pieniądzach.

Więc co miałem zrobić? Poszedłem do wychowawcy i powiedziałem wszystko. Tak i tak. Widziałem, jak Władek szperał w teczce Ryśka, a ten idiota trzymał pieniądze między książkami zamiast w kieszeni. Nie podejrzewałem nic złego, dopiero gdy po dużej pauzie Rysiek wrzasnął, że zginęła mu forsa, i oskarżył Olę, skojarzyłem sobie te fakty.

Wychowawca zatrzymał nas po lekcjach, najpierw długo gadał o uczciwości, o stosunkach między ludźmi, o tym, że wina złodzieja jest podwójna, bo nie dość, że ukradł, to jeszcze pozwala, by cierpiała niewinna osoba, wreszcie zapowiedział, że kara będzie łagodniejsza, jeśli winowajca sam się przyzna. Oczywiście bez skutku. Klasa milczała, tylko Olka chlipała w chustkę do nosa.

Więc wtedy wychowawca wywołał Władka i spytał, czy nie ma nic do powiedzenia. Władek poczerwieniał, ale zaczął się stawiać. Wywrócił kieszenie, wysypał książki z teczki, by udowodnić, że nie ma żadnych pieniędzy, że padł ofiarą niesłusznych podejrzeń.

Było mi strasznie głupio, ostatecznie nie złapałem go za rękę, ale po chwili Tolek jak nie skoczy, jak nie wrzaśnie:

— Tutaj są pieniądze, o tutaj! — i wskazuje na podłogę.

Pieniądze były zawinięte w papier i wsunięte pod nogę stolika, przy którym siedział Władek. Podłoga w tym miejscu jest nierówna, stół się kiwa i zawsze

71

trzeba coś podkładać. Widać Władek w ostatniej chwili wyjął podkładkę i wsunął pieniądze. Idiota! Wyrwał kartkę z własnego zeszytu i nawet nie zauważył, że jest zapisana. Oczywiście wychowawca bez trudu rozpoznał jego pismo. Draka była kosmiczna, Władek ryczał jak zarzynane ciele, twierdził, że ktoś mu te pieniądze podrzucił, na złość, naumyślnie, a właściwie nie ktoś, tylko ja. Dlaczego właśnie ja, nie umiał wytłumaczyć. Nigdy nie mieliśmy żadnych zatargów, znaliśmy się krótko, on przyszedł do liceum z innej szkoły.

W końcu przyznał się, że wziął pieniądze, powiedział, że potrzebował ich na nowe buty. Niby że taki biedny, rodziców nie stać nawet na porządne ubranie dla niego. To było wierutne kłamstwo, wychowawca doskonale wiedział, że Władek ma dobre warunki w domu.

Oczywiście wezwano ojca, oczywiście obniżono Władkowi stopień z zachowania i zapowiedziano, że jeszcze jedno przewinienie, a wyleci ze szkoły. Tym bardziej że uczy się kiepsko, rozrabia, ma w nosie upomnienia i kary. No i publicznie wobec całej klasy musiał przeprosić Olę.

Rysiek też ją przeprosił, ale sam, z własnej woli, bo czuł się zupełnie podle i wstyd mu było spojrzeć dziewczynie w oczy. Zresztą sprawa między tymi dwojgiem skończyła się dobrze, choć zupełnie nieoczekiwanie: Rysiek wpadł po uszy, zakochał się i łązi za Olą jak na sznurku. Co prawda ona jest bardzo ładna.

Więc czy to moja wina, że niedawno, chyba przed miesiącem, Władek znów podpadł i wylali go ze szkoły? I że prawdopodobnie w końcu wylądaje w poprawczaku? Nikt rozsądny nie może mnie obarczać odpowiedzialnością za jego rozróby. Nikt poza nim samym. Podobno powiedział matce, że był niewinny, że to ja podrzuciłem mu pieniądze, które ukradłem, a potem

72

wszystko zwałem na niego. I matka mu uwierzyła; pewno, wołała widzieć w nim biedną, skrzywdzoną ofiarę niż złodzieja i chuligana.

Nawet się nie dziwię, że czuła do mnie złość, skoro naprawdę była przekonana, że to ja jestem wszystkiemu winien. Tylko dlaczego to zrobiła? Czy nie mogła znaleźć innego sposobu? Ja na jej miejscu poszedłbym do dyrektora szkoły i spróbował wyjaśnić sprawę. Czekala na mnie przed domem, na pewno przyszła specjalnie na naszą ulicę, bo mieszka w innej dzielnicy. Znałem ją z widzenia, więc ukloniłem się i poszedłem w swoją stronę, niczego nie podejrzewając. Dogoniła mnie koło przystanku autobusu. Na ulicy było pusto, pogoda fatalna, padał śnieg z deszczem i nikomu nie chciało się spacerować.

Powiedziała: „Pan Bóg cię skarże za mojego Władzia!” —■- a potem zaczęła krzyżeć — „... ty znajdo, ty podrzutku, będziesz porządnym, ślubnym ludziom rodzone dziecko krzywdził? Ja swojego Władka nie kupiłam, urodziłam go, jak Pan Bóg przykazał, sama, w ciężkich bólach urodziłam! A ciebie kupili jak szczenię na targu! Jeszcze pewno przebierali, grymasili, ten ma oczy za małe, a tamten odstające uszy! Ty wypęd-ku, rodzona matka się ciebie wyparła, dobre miała przeczucie, że nie chciała takiego draba chować! Jest jeszcze sprawiedliwość na takich jak ty, jeszcze ja się doczekam!” Uciekłem. Właściwie nie z powodu tego, co usłyszałem, wcale nie! Ani przez chwilę nie brałem tych słów poważnie, były takie nieprawdopodobne!

Uciekłem, bo przeraziłem się tej kobiety, myślałem, że oszalała, że rzuci się na mnie i zacznie szarpać. Miała zupełnie niesamowite oczy, złe, pełne nienawiści. Nie jestem tchórzem, a jednak zląkłem się. Dopiero później... kiedy minął lęk, kiedy znalazłem się na gwarnej, ruchliwej ulicy, wśród oświetlonych wystaw i ko-

73

lorowych neonów, dopiero wtedy zacząłem myśleć o tym, co powiedziała, a raczej wykrzyczała pani M.

„Znajda, podrzutek, bękart” — tak mnie nazwała, wyrzucała z siebie złe, nienawistne słowa, gdyby głos mógł zabijać, byłbym dawno trupem. „Kupiony... jak szczenię na targu”.

Aż przystanąłem, tak wyraziście przemówiło do mnie to porównanie. Przed paru laty chciałem mieć psa, nie zależało mi, żeby był rasowy, poszliśmy więc z ojcem na plac, gdzie sprzedawano różne zwierzęta, psy, gołębie, króliki. Przebierałem i grymasiłem, ten był za duży, ten za mały, ten miał brzydkie łapy, tamten... Wreszcie jeden spodobał mi się, miał wszystko w sam raz, łapy, ogon, uszy, wzrost. Zapłaciliśmy i wzięliśmy go do domu.

Nazywał się Mikuś. „Kupiony jak... szczenię na targu”. Bzdura, nonsens, pani M. to jakaś chora osoba, ma do mnie żal (niesłusznie) za Władka i dlatego plecie niestworzone historie! Uspokoilem się, poszedłem na pływalnię, spotkałem tam Romka, uśmiełem się, bo chciał koniecznie trenować motylka i raz po raz rznął nosem o wodę, aż bryzgi leciały na metr wysoko.

Wracaliśmy razem do domu, Romek mieszka kilka kamienic dalej, pożegnaliśmy się pod bramą i zacząłem wchodzić na schody. I wtedy... Na każdym stopniu ktoś napisał... Idiota!

Oczywiście nikt nic nie napisał na schodach, to moja wyobraźnia sprawiła, że co krok widziałem te słowa: „kupiony... jak... szczenię... na targu”-.

Pamięć ludzka to wspaniałe urządzenie! Odkąd interesuje mnie medycyna, często zastanawiam się, jak to jest możliwe, że ludzki mózg utrwała, przechowuje,

74

a potem odtwarza wszystko to, co kiedyś człowiek widział, słyszał, przeżywał. Miliony, miliardy słów, obrazów, uczuć, sytuacji... I że to wszystko funkcjonuje tak sprawnie, tak niezawodnie. Niech się schowają najwspanialsze maszyny cybernetyczne, komputery, mózgi elektronowe.

Pokłóciłem się kiedyś z Romkiem, powiedziałem, że nikt i nigdy nie skonstruuje nic doskonalszego nad organizm człowieka. Oburzył się, zasypał mnie przykładami, cyframi, a gdy nie dawałem się przekonać, powiedział z nutką pogardy w głosie:

— Nie znasz się na tym, bracie, przecież jesteś humanistą.

Ale to było dawno, w każdym razie wówczas uważałem, że to coś cudownego wszystko pamiętać, móc sobie wszystko przypomnieć. Teraz zmieniłem zdanie.

Po powrocie do domu postanowiłem po prostu nie myśleć o spotkaniu z panią M. To, co powiedziała, było tak niesłychane, tak nieprawdopodobne, że szkoda każdej chwili na roztrząsanie podobnych bzdur!

Bo niby dlaczego nie miałbym być rodzonym dzieckiem moich rodziców? Dlaczego miałiby mnie wziąć na wychowanie? Owszem, słyszałem o takich wypadkach, nawet kiedyś czytałem, że niektóre małżeństwa nie mogąc mieć własnych dzieci adoptują sieroty, biorą je z domów dziecka i przyjmują za własne. Wtedy pomyślałem, że tak właśnie powinno być — ktoś nie ma dziecka, a chciałby je mieć, ktoś nie ma rodziców, a powinien ich posiadać, więc wszystko jest w porządku.

Ale ze mną to się nie mogło zdarzyć! Przecież mam siostrę. Monikę mama urodziła, nie adoptowała! Wprawdzie miałem wtedy tylko dziesięć lat, ale nie byłem głupi ani ślepy!

Wszystko widziałem i wszystko rozumiałem, zresztą mama nie mydliła mi oczu baśniami o bocianie, powiedziała otwarcie i po prostu, że jest

75

w ciąży i że za parę miesięcy urodzi mi siostrę albo brata.

To był bardzo ciężki okres, mama czuła się źle, miała jakieś duszności, puchły jej nogi... A po powrocie ze szpitala też długo chorowała, przyjechała do nas ciocia, siostra mamy, i przez pierwsze tygodnie prowadziła dom i zajmowała się Moniką.

Więc jeśli mama urodziła Monikę, dlaczego ja miałbym być adoptowany? Przeklęta pamięć! To podłe, okrutne, niesprawiedliwe, że mózg ludzki utrwała, przechowuje, a potem odtwarza wszystko, co zdarzyło się kiedyś, dawno... Że człowiek pamięta to, o czym powinien zapomnieć, że przypomina sobie słowa, gesty, które lepiej, aby zniknęły, przepadły bez śladu! Ciocia Kenia... to przecież ona powiedziała do mamy... Nie miała pojęcia, że wychodziłem z łazienki, że drzwi do pokoju były uchylone, że usłyszałem wszystko. Wtedy nie zwróciłem uwagi na te słowa, były tylko słowami, ciocia powiedziała coś do mamy i na tym koniec.

Dopiero teraz... teraz przypomniałem sobie i zrozumiałem.

Mama poskarżyła się słabym głosem: „Inne kobiety po dwóch tygodniach czują się normalnie, a ja... Kiedyż ja wreszcie będę zdrowa?”

A ciocia Renia odpowiedziała: „I tak miałaś szczęście. Rodzić pierwsze dziecko z czterdziestką na karku to nie taka prosta sprawa!”

Pierwsze dziecko... czterdziestka na karku... Więc ciocia miała na myśli Monikę! To ona była tym pierwszym dzieckiem! Bo jeśli mama teraz ma czterdzieści kilka, to sześć lat temu...

Więc pani M. nie jest wariatką ani szaloną! Powiedziała prawdę! Tylko... skąd wiedziała? A może wszyscy o tym wiedzieli, wszyscy pr^ocz mnie? Tej nocy zdawało mi się, że oszaleję.

Nie mogłem

zasnąć, przewracałem się z boku na bok, myślałem i myślałem, i nie mogłem nic rozsądnego wymyśleć. Można przecież zwariować, jeśli nie sposób znaleźć odpowiedzi na sto, na tysiąc pytań.

Czy rzeczywiście jestem dzieckiem adoptowanym? Kim są moi prawdziwi rodzice? Dlaczego mnie nie chcieli? Czy żyją? A może już dawno umarli? Czy jestem do nich podobny? A ci obecni, przybrani... dlaczego wybrali właśnie mnie? Może miałem miły wyraz twarzy? A może ładne oczy? Dlaczego nikt nie powiedział mi prawdy? Dlaczego mnie okłamano? Dlaczego? Dlaczego?! Dlaczego?!!

Powtarzałem w kółko te same pytania, ale żadna odpowiedź nie miała sensu.

Najbardziej gnębiło mnie to, że nic nie wiem o moich prawdziwych rodzicach. Bo jeśli naprawdę jestem znajdą, podrzutkiem, ci, których uważałem za rodziców, nie są nimi, a gdzieś daleko, w innym mieście żyje moja prawdziwa matka i prawdziwy ojciec.

Wyobrażałem sobie różne sceny, różne sytuacje... Może moja matka zostawiła mnie w bramie lub na schodach, może ktoś mnie znalazł, miałem karteczkę z imieniem przypiętą do koszulki, odniesiono mnie do domu dziecka... zresztą imię to najmniej ważna sprawa, ale taka na przykład data urodzenia? Jeśli nie znaleziono przy mnie żadnych informacji, mój wiek można było określić tylko w przybliżeniu, a miejsca urodzenia w ogóle nie. Gdyby tak było, nie wiedziałbym nawet na pewno, kiedy i gdzie się urodziłem...

A może było zupełnie inaczej? Może miałem oboje rodziców? Może byli młodzi, piękni, zakochani... Któregoś dnia wybrali się na wycieczkę motorem, a dziecko zostawili pod opieką babci czy gosposi. Wracali weseli, roześmiani, śpieszyli się do mnie... nagle motor wpadł w poślizg, ojciec nie zdążył zahamować i ude-

rzyli w drzewo. Zginęli na miejscu. Babcia opiekowała się sierotą, a gdy umarła, sąsiedzi oddali mnie na wychowanie bezdietyrnym ludziom.

A jeśli było zupełnie inaczej? Jeśli... jeśli oni żyją? Czy wiedzą, gdzie mieszkam? co robię, jak się nazywam? Czy myślą czasem o mnie? Dlaczego oddali mnie obcym ludziom, czy mnie wcale nie chcieli, nie kochali? A może moja matka nie mogła mnie zatrzymać, może była młoda, bezradna, samotna i dlatego oddała dziecko? Może teraz żałuje, tęskni za mną? Może... może mnie szuka?!

To przecież zupełnie prawdopodobne. Czasem człowiek decyduje się na nie przemyślany krok, którego nie sposób cofnąć, choćby się chciało.

A ja? Czy pragnąłbym odnaleźć, zobaczyć, poznać prawdziwą matkę, ojca? Czy mógłbym ich pokochać? Nie znam ich, nic o nich nie wiem, to obcy ludzie. W dodatku wyparli się mnie, porzucili, sprzedali jak... szczenię... na targu. Gdybym ich odnalazł, czy potrafiłbym o tym zapomnieć, wybaczyć im?

I przecież ja mam rodziców! Prawdziwi czy przybrani są moimi rodzicami, nie potrafię o nich inaczej myśleć, nie mogę ich inaczej nazywać. Byli nimi przez szesnaście lat, tego nie można przekreślić, unieważnić. W końcu doszedłem do wniosku, że jeśli nawet pani M. powiedziała prawdę, to słowa tej złej kobiety nie mogą zmienić ani mego życia, ani stosunku do rodziców. Po prostu... kocham ich, jestem do nich przywiązany, wszystko mi jedno, czy mama mnie urodziła, czy wybrała spośród stu innych dzieci. Rodzice kochają mnie, są wyrozumiali, cieszą się z moich osiągnięć, przejmują się moimi kłopotami, pomagają mi we wszystkim. Nie byłiby chyba inni, gdybym był ich rodzonym synem!

Podarowali mi szesnaście lat, różnych oczywiście,

lepszyc, gorszych, czasem byłem bardzo zadowolony z życia, czasem mniej, przecież zawsze i wszędzie zdarzają się nieporozumienia... W gruncie rzeczy było mi dobrze i teraz,

kiedy po raz pierwszy zastanawiam się nad tym, dochodzę do wniosku, że nigdy nie było żadnej różnicy między mną a Moniką, która...

Czy rzeczywiście żadnej? Na to pytanie nie mogłem* odpowiedzieć uczciwie i po prostu — tak! Bo jednak są pewne różnice... Czułem to od dawna, ale nie przeje mowałem się tym. Uważałem, że nie ma nic dziwnego-w różnym traktowaniu dorosłego konia i malutkiej dziewczynki. Sam rozpieszczałem Monikę, pozwalałem się tyranizować, ustępowałem jej... dlatego że była taka mała, śliczna i że... no, lubiłem ją!

Cóż dziwnego, że rodzice przepadają za Moniką, że pieszczą ją i całują znacznie częściej niż mnie? Zresztą ja od pewnego czasu nie lubię uzewnętrzniania swoich uczuć, mamie pozwalałem się całować na dzień dobry-i dobranoc, ale sam robię to niesłychanie rzadko i w wyjątkowych wypadkach. Za to Monika bez prze--, rwy wisi mamie na szyi albo wysiaduje na kolanach, potrafi nie bacząc, że ojciec pracuje albo że ja odrabiam lekcje, wśliznąć się do naszych pokoi i podnosząc w górę rękę swoją śmieszoną mordkę prosić, najpierw przy-e. milnie, a potem gdy jej prośba nie jest natychmiast-spełniona, nawet gniewać się i tupać nóżką, powtarza-, jąc raz po raz:

— Daj buzi! Daj Monisi buzi!

Monika była od początku najważniejszą osobą w do- _ mu, jej powiedzonka, jej dziecięce dowcipy, jej towarzyskie sukcesy w przedszkolu były głównym tematem rozmów, a jej rzadkie, na szczęście, choroby wprawiały wszystkich, łącznie ze mną, w panikę.

Więc powtarzam, nie uważałem, że jestem mniej ko-, chany, pokrzywdzony tylko dlatego, że

lwia część czu-

79.

łości i pieszczot przypadła w udziale Monice. Przeciwnie, byłem przekonany, że tak właśnie być powinno.

Dopiero teraz... kiedy zacząłem analizować każde słowo, gest, spojrzenie, kiedy dzielenie włosów na czworo stało się moim głównym zajęciem, teraz głupie myśli przychodziły mi do głowy.

Bo wbrew postanowieniu nie potrafiłem zapomnieć o spotkaniu z panią M. Myślałem o nim wciąż, w szkole, w domu, na ulicy... Wreszcie doszedłem do wniosku, że powinienem o wszystkim powiedzieć rodzicom. Nie dlatego, że popierałem twierdzenie dorosłych, którzy uważają ukrywanie czegokolwiek przed rodzicami za dowód braku Zaufania, wcale nie dlatego! Sądzę, że każdy człowiek ma prawo mieć swoje tajemnice i że nie ma to nic Wspólnego z zaufaniem.

Ja chyba... teraz dopiero zdałem sobie sprawę z motywów mego postanowienia... Chyba podświadomie chciałem usłyszeć z ich ust, że to nieprawda, że pani M. to zła, głupia kobieta, że wszystko zmyśliła i że powinienem natychmiast zapomnieć o tym, co mi powiedziała.

Nieraz wyobrażałem sobie tę scenę: ojciec wzruszyłby ramionami i spokojnie, rzeczowo wyjaśniłby mi wszystko, a mama spojrzęłaby z wyrzutem i spytała: co też ci, synu, przyszło do głowy?

Uwierzyłbym im natychmiast! To by mi wystarczyło, przecież to właśnie chciałem usłyszeć!

I byłbym ną pewno wykonał swoje postanowienie, gdyby nie... Monika. To było chyba czwartego dnia po spotkaniu z panią M. Wracałem do domu z lekcji angielskiego i nagle doznałem olśnienia. Czemu tak się zadreczam, czemu wałkuję bez końca sprawę, której sam nigdy nie potrafię rozstrzygnąć? Przecież najprościej będzie...

Przyspieszyłem kroku, potem prawie biegłem, nie

80

mogłem się doczekać chwili, w której powiem rodzicom o wszystkim i pozbędę się raz na zawsze pytań bez odpowiedzi, podejrzeń i wątpliwości. Po schodach leciałem jak wariat, szkoda mi było nawet tych paru sekund. Prędejj, prędejj!

Nie miałem przy sobie kluczy, drzwi otworzył mi ojciec. Był blady, zdenerwowany; nie wiem, dlaczego pomyślałem, że już wie o wszystkim. Ojciec spojrzał na mnie jakoś dziwnie, jakby niechętnie.

— To ty? — powiedział. — Myślałem, że pogotowie — i dodał niecierpliwie, uprzedzając moje pytania — idź do siebie, nie kręć się, nie przeszkadzaj, Monika miała wypadek. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi, a ja poczułem zupełnie dziecinną chęć tupania nogami. Bo przecież ojciec potraktował mnie jak kogoś obcego, kogoś, kogo wcale nie obchodzi Monika i jej wypadek! Nawet nie powiedział mi, co się stało! Dopiero później dowiedziałem się, że Monika spadła z drabiny, rozbiła sobie głowę i straciła przytomność. Podejrzewano nawet wstrząs mózgu. Więc właściwie nic dziwnego, że ojciec był przerażony i zachował się tak jakoś...

Mama wieszała świeżo wyprane firanki, wyszła na chwilę z pokoju i ten moment nieuwagi wykorzystwała Monika. Zawsze wszędzie tam, gdzie jej nie posieją! Po kiego licha laźła na drabinę? Gdyby nie jej wypadek, na pewno powiedziałbym o wszystkim rodzicom! Poczuję się nagle okropnie nieszczęśliwy, skrzywdzony, odepchnięty. Zamknąłem się w swoim pokoju i nie wyszedłem zeń, choć słyszałem, że przyszedł lekarz z pogotowia i choć w dolatujących przez drzwi głosach rodziców czułem rozpacz i przerażenia. Nie wyszedłem, bo przecież ojciec powiedział: „Nie kręć się, nie przeszkadzaj...”

B — Telfon zaufania

81

Wreszcie trzasnęły drzwi wejściowe i w mieszkaniu zapanowała zupełna cisza.

Zaintrygowało mnie to i zdecydowałem się wyjść z pokoju. Dom był pusty, widać Monikę zabrało pogotowie, a rodzice pojechali razem z nią.

Byłem wściekły, wściekły jak nigdy dotąd! Jak oni śmieli tak postąpić! Obeszli się ze mną jak z przypadkowym lokatorem, jak z obcym, którego cudze sprawy nie powinny obchodzić. Czy nie byłem bratem Moniki? Czy ona nie była moją siostrą? Przecież martwiłem się o nią, denerwowałem, powinni byli mi powiedzieć, uprzedzić...

Chodziłem po pokojach tam i z powrotem, tam i z powrotem. Przystawałem przy oknie, wypatrywałem samochodu, nadśluchiwałem dzwonka telefonu, chrobotu klucza w drzwiach. Patrzyłem z przerażeniem na zakrwawione kawałki gazy, na mokre ręczniki, na rozlaną na podłodze wodę, na cały ten bałagan świadczący o powadze wypadku.

Ale dziwna rzecz... bardziej denerwowało mnie zachowanie rodziców niż choroba Moniki, prawie wcale nie myślałem o siostrze, a wciąż wracałem myślą do tych paru słów ojca, do jego niechętnego, jak mi się zdawało, spojrzenia. Wreszcie... musiało do tego dojść...

wreszcie zadałem sobie pytanie: „Gdybym był ich rodzonym synem, czy potraktowaliby mnie tak samo? Nie wiem, nie wiem, już teraz nic nie wiem i niczego nie mogę zrozumieć!”

W dodatku... Ach, jak głupio się stało, jak głupio! Wrócili w końcu, dochodziła dziewiąta, gdy usłyszałem stuk otwieranych drzwi. Wybiegłem do przedpokoju. Byli zmęczeni, bladzi, ale zdawało mi się, że są w dobrym nastroju, widać wypadek Moniki nie był ciężki. Palnąłem bez namysłu: — Tato, czy ty znasz panią M.?

82

■

Bo ubzdurałem sobie, że skoro ona wie o mnie takie rzeczy, musi być dawną znajomą ojca albo mamy, podejrzewałem nawet, że może ma do nich żal, pretensję, bo nie chciałem uwierzyć, by mściła się na mnie za Władka, któremu przecież nic złego nie zrobiłem.

Ojciec zmarszczył brwi i powiedział z wyrzutem:

— Czy to najważniejsza sprawa, o którą chciałeś zapytać? Myślałem, że interesuje cię zdrowie siostry...

Już w drzwiach obrócił się i rzekł z namysłem:

— Pani M.? Nie, nie znam nikogo o tym nazwisku.

Wszedł do kuchni, gdzie mama już brzęczała szklankami, przygotowując herbatę, i zanim zamknął drzwi, usłyszałem, jak mówił:

— Martwi mnie ten chłopak, jest ostatnio jakiś oschły, nieczuły, obcy...

Tak! Tak właśnie powiedział! OBCY! Znów nie mogłem spać tej nocy, znów zacząłem roztrząsać wszystko od nowa. Ale tym razem myślałem głównie o nich, o moich przybranych rodzicach.

I doszedłem do wniosku, że wzięli dziecko na wychowanie, bo chcieli mieć jakąś rozrywkę, bo znudzili się sobą, może nawet mieli zamiar rozejść się. Przypomniałem sobie historię pani Bożeny, koleżanki mamy z pracy. Jej mąż odszedł, bo ona nie mogła mieć dzieci, ożenił się po raz drugi i teraz ma ich troje. A mama rozmawiając z panią Bożeną tłumaczyła jej: „trzeba było adoptować dziecko, to was by połączyło, scementowało wasze małżeństwo”. Więc przecież zupełnie możliwe, że mamie zdarzyła się taka sama historia i że... kupiła mnie, żebym uratował małżeństwo, żebym zatrzymał ojca.

No dobrze, a Monika? Czy to możliwe, że najpierw nie można mieć dzieci, a potem coś się zmienia i... Szkoda, że nie ma w klasie żadnej córki albo syna lekarza, oni na pewno mogliby się dowiedzieć od ojca

83

albo matki, jak to jest naprawdę. Chociaż owszem, matka Wandy jest okulistką, a ojciec Grażyny stomatologiem, ale to chyba nie to samo. I zresztą krępowałbym się gadać z dziewczętami o takich sprawach. Szkoda, że ojciec Romka jest sędzią, jemu mógłbym powiedzieć o wszystkim.

W każdym razie w decyzji moich rodziców musiało być coś... o czym wstydzi się mówić. Bo dlaczego mnie okłamali? Czy sądzili, że wiedząc o wszystkim będę ich mniej kochał? A może nie chcieli mi robić przykrości, może skłamali dla mojego dobra, bo uważali, że tak właśnie będzie lepiej?

Wszystko jedno, jakie kierowały nimi pobudki. Skłamali i to jest najważniejsze. Przecież ojciec zawsze najbardziej gniewa się, gdy czasami coś... zełgam. Zawsze powtarza, że kłamcy to tchórze, że lżą po prostu ze strachu i że człowiek powinien mówić prawdę bez względu na konsekwencje.

Sam nie wiem, kiedy i czemu, ale nagle uwierzyłem we wszystko, co powiedziała pani M. Ona mówiła prawdę, to ojciec kłamał! Obojętne dlaczego to robił, fakt, że kłamał!

Mimo to wciąż jeszcze chciałem opowiedzieć rodzicom o wszystkim, nawet kilkakrotnie próbowałem, ale choroba Moniki krzyżowała moje zamiary. Mała leżała w szpitalu, miała lekki wstrząs mózgu, obawiano się komplikacji. Nic dziwnego, że rodzice szaleli z niepokoju, że życie domowe uległo rozprzężeniu, że każda próba skierowania rozmowy na inne, nie związane z Moniką tematy, była przerywana z pewnego rodzaju niechęcią czy zniecierpliwieniem.

— Daj mi spokój — machnął ręką ojciec — nie mam głowy do twoich historyjek.

A mama na nic nie miała czasu, bo albo właśnie wybierała się do szpitala, albo dzwoniła do znajomej

84

lekarki, by po raz setny upewnić się, że Monice nic nie grozi, albo przyrządzała w kuchni kompoty, soczki, ciasteczka i znów pędziła z termosami i słoikami do szpitala. Więc w tych warunkach trudno się dziwić, że w końcu opowiedziałem o wszystkim Romkowi, był moim najlepszym kolegą, a przecież komuś musiałem powiedzieć! Oczywiście nie przyznałem się, że chodzi o mnie, nikomu bym się nie przyznał, chyba zadusiłyby mnie te słowa: „znajda”, „podrzutek”. Zmyśliłem bajeczkę, powiedziałem, że chodzi o syna znajomych, i Romek uwierzył.

Wybrałem Romka, bo przyjaźnimy się od lat, bo jest naprawdę równy, a w dodatku jako syn prawnika musi znać się na pewnych sprawach.

Właściwie z początku nie zamierzałem mu zwierzać się, nie jestem sentymentalnym podlotkiem, po prostu wyszedłem w niedzielę po południu z domu, bo już po dziurki w nosie miałem siedzenia w pustym mieszkaniu. Rodzice oczywiście polecieli do szpitala, chcieli nawet, żebym poszedł z nimi, twierdzili, że Monika bardzo się ucieszy widząc mnie choć przez szybę, ale odmówiłem. Nie będę rozczulał się nad Moniką, skoro nikt nie rozczula się nade mną. I jeszcze coś... wiem, że to brzydkie uczucie, ale jakoś ostatnio coraz częściej sprzeciwiałem się rodzicom i odczuwałem przewrotną satysfakcję, widząc, że ich to gniewa i drażni. Wiem, co myśleli: „kukułcze jajo"! Tak, byłem kukułczym jajem i wydawało mi się, że mam prawo brać odwet za to, co mi zrobiono!

Wyszedłem z domu bez określonego planu i właśnie wtedy...

— Stefan! Chodź do mnie na górę! Jestem sam w chacie i nudzę się jak mops.

Zagramy w kanastę.

85

Romek stał przy oknie i spostrzegłszy mnie, otworzył je, wychylił się i wrzeszczał na całą ulicę.

Oczywiście skorzystałem z zaproszenia i po chwili już rozdawałem karty. Lubię grać w kanastę, ale wtedy byłem jakiś rozdrażniony, nieuważny i Romek trzy razy pod rząd zostawił mnie na minusach. Rzuciłem karty i powiedziałem ze złością:

— Kanasta we dwie osoby to zupełnie do kitu! Żadnej emocji.

Romek spojrział na mnie spod oka i układając karty w pudełku, spytał niby obojętnie:

— Co cię ugryzło? Od paru dni zachowujesz się, jakbyś miał mole pod sufitem...

Wzruszyłem ramionami i burknąłem nieuprzejmie:

— Nic mi nie jest. A zresztą gdyby nawet?

Nie wiadomo dlaczego nagle ogarnęła mnie pasja i krzyknąłem: — Co cię to obchodzi? Czy ja się mieszam w twoje sprawy?

Romek zamknął pudełko, potem przyłożył palec do czoła i spytał:

— Małpi rozum? Kuku? Przecież nie wyciągam cię na zwierzenia.

Zawstydziłem się i przygryzłem wargi. Rzeczywiście odstawiłem setny wygłup! Romek to dobry kumpel, równy gość, jeśli pyta to nie ze zwykłej ciekawości. Przyszło mi na myśl, że muszę bardziej zwracać uwagę na swoje zachowanie. Romek już wyczuł, że coś nie gra, a inni mogli się domyślić lada chwila. Pięknie! Tylko to mi było potrzebne, wyciąganie na słówka, współczujące spojrzenia, domysły...

Wstałem, podszedłem do okna i powiedziałem nie patrząc na Romka:

— Daj pojarac.

Kątem oka spostrzegłem, że Romek zbaraniał. To

86

była dla niego bomba! Stefan chce zapalić? Stefan wyśmiewający kolegów, którzy „jarali" lub „skakali za winkiel", mówiący o takich: „idiotci, myślą, że im od paru dymów lat przybędzie albo wąsy urosną"... A teraz sam?

Tak, właśnie tak, miałem ochotę zapalić i nie uważałem za stosowne tłumaczyć się przed Romkiem. Przecież chyba miałem prawo być zdenerwowany, a nawet mama, która nigdy nie pali i zawsze burczy na ojca, że tak wciąż ćmi i ćmi te papierosiska, niedawno powiedziała: „daj mi papierosa, jestem taka zdenerwowana!" I ojciec specjalnie posłał mnie do kiosku po płaskie, bo sam pali sporty.

Romek o nic nie pytał, wstał, przyniósł z pokoju ojca papierosy, zapaliki, popielniczkę...

Patrzył na mnie spod oka i milczał.

Bardzo lubię Romka, wiem, że i on mnie lubi, choć nigdy nie wyznajemy sobie swoich uczuć. Trzeba przecież trzymać fason, między chłopakami niepotrzebne są gadki o przyjaźni, to dobre dla dziewcząt. Kolega jest równy — i dość!

Zgasilem bardzo szybko papierosa, bo prawdę mówiąc wcale mi nie smakował. Ojciec Romka pali eks-tramocne, ich dym drapie w gardle jak drucziana szczotka. A w dodatku Romek wciąż przyglądał mi się spod oka i miał taką minę, jakby widział małpę przy telefonie. I wtedy nagle zdecydowałem się. Oglądając z nadzwyczajnym zainteresowaniem własne (niezbyt czyste) paznokcie spytałem niby obojętnie:

— Romek, co byś zrobił, gdybyś podejrzewał, że twoi starzy nie są prawdziwi?

Romek wytrzeszczył oczy, nic nie zrozumiał.

— No, gdyby ci ktoś powiedział, że nie jesteś ich rodzonym dzieckiem, że cię adoptowali, rozumiesz? Bo

87

nie mogli mieć własnych, a bardzo chcieli... Co byś zrobił?

Romek zaczął szybko mrugać powiekami, a potem spojrzął na mnie tak, że... Wiedziałem, co chciał powiedzieć.

— Nie chodzi o mnie — uprzedziłem pytanie. — To jeden znajomy chłopak, jego rodzice przychodzą czasami do moich na bridża, nawet sympatyczni, tylko... — umilkłem, czułem, że za dużo mówię, że zaraz zapłaczę się we własnych słowach i że Romek domyśli się wszystkiego. — On mnie prosił o dyskrecję... nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

— Przecież nie pytam.

Zawstydziłem się. Rzeczywiście, Romek milczał i słuchał. To jego wielka zaleta, nigdy nie mówi więcej niż trzeba.

— Mniejsza z tym — zbagatelizowałem swoje potknięcie — chłopak jest w okropnej sytuacji, nie wie, co robić, jak się zachować i właśnie... prosił mnie o radę, a ja... ja nie wiem, co mu poradzić! Co ty byś zrobił na jego miejscu?

— Co bym zrobił? — powtórzył Romek. — Nie mam pojęcia! Nigdy nic takiego nie przyszło mi na myśl.

— Więc pomyśl teraz! Masz przecież wyobraźnię. Tak, Romek miał wyobraźnię, nawet fantazję, nasza

polonistka zawsze chwaliła jego wypracowania, więcej, Romek pisywał wiersze, ale o tym nie wiedział nikt poza mną. Ale to jednak co innego.

Teraz nie wiedział, co mi odpowiedzieć, bo usiłował wykręcić się żartami.

— Żleś trafił, bracie. Z moimi starymi taki numer by nie przeszedł, a to z powodu rodzinnego podobieństwa. Rudy jestem po mamie, a nos mam długi jak ojciec.

Romek wcale nie jest rudy, ma ciemnokasztanowate

88

włosy, których mu zazdroszczą dziewczęta. Nos faktycznie trochę przypomina ogórek, ale... Jeśli Roman sądził, że dowcipami rozładuje napiętą sytuację, pomylił się, i to grubo!

Wściekły, tupnąłem nogą.

— Przestań błaznować! — krzyknąłem. — Mówię* serio! No?

To „no” musiało zabrzmieć groźnie, bo Romek zwichrzył sobie czuprynę i przestąpił z nogi na nogę.

— Przede wszystkim postarałbym się o dowody — powiedział powoli. — Przecież taka rzecz nie może* przejść bez śladu. Muszą być jakieś dokumenty, papiery. Jeśli ten chłopak został adoptowany, to chyba odbyła się rozprawa w sądzie, a gdzie, jak gdzie, ale tarm nic nie można załatwić na gębę. Wszystko musi być opisane, zaprotokołowane i to nie raz, a kilka razy.

Dowody! Romek miał rację! Że też ja sam nie wpadłem na to! Oczywiście, musiały istnieć jakieś dokumenty, papiery... Tylko gdzie ich szukać?

— Jeśli chcesz wiedzieć dokładnie — powiedział? Romek — spytam ojca.

Kiwnąłem głową, ale myślałem o czym innym.

— Słuchaj — zacząłem po chwili — a czy nie lepiej byłoby spytać rodziców? Wydaje mi się...

Romek parsknął śmiechem, jakbym powiedział najr-lepszy dowcip.

— Aleś palnął jak łusy o beton! Co ty, nie znasz: starych czy co? Zagadali by cię, zatrajlowali, powiedzieliby, żeś się pomylił, że wszystko nieprawda, -A ciebie dalej by gryzło!

— Mnie? Dlaczego mnie?! — czułem, że się czerwienię, i spojrzałem na Romka podejrzliwie. Czyżby się domyślał?

— Oj, tak mi się powiedziało! Nie bądź Kiciunią, dobrze?

89

„Kiciunią” nazywaliśmy naszą polonistkę, żądała od nas precyzji i jasności stylu, bezlitośnie tępiła wszelkie nieścisłości w mowie i piśmie. A ponieważ do każdego zwracała się per „kiciuniu”, nie mogła otrzymać innego przydomka.

— Więc sądzisz, że rozmowa z rodzicami nie miałaby celu? — spytałem już spokojniej.

— Jasne! Jeśli trzymali taką rzecz w tajemnicy przez tyle lat, to nie po to, by teraz się wygadać. Zresztą... myślę, że mieli swoje powody. Słuchaj, czy ten chłopak niczego nie pamięta?

Teraz z kolei ja zbaraniałem. Niby co miałem pamiętać?

— No, czy nie przypomina sobie czegoś z najwcześniejszego dzieciństwa — sprecyzował Romek. — Jakichś miejsc, twarzy, czegoś, co naprowadziłoby go na ślad? Jak ten facet, pamiętasz, Kiciunią czytała nam na lekcji fragmenty jego pamiętnika... Gość jako zupełny szczeniak został wywieziony do Niemiec, a potem adoptowała go jakaś niemiecka rodzina. Uważał się za Niemca, a jednak przypomniał sobie, że miał inną matkę, że kiedyś mieszkał w Polsce.

Kiwnąłem głową, oczywiście znałem tę książkę, nazywała się „Szkoła janczarów”.

— Nie — powiedziałem — on niczego nie pamięta, zawsze był ze swoimi obecnymi rodzicami.

— Więc nie widzę żadnej możliwości odnalezienia jego prawdziwych rodziców — powiedział Romek — widać dobrze zatarli ślady. Musiał być zupełnym oseskiem, kiedy to się stało...

— Ależ on wcale nie chce szukać tamtych... rodziców! — krzyknąłem. — Przecież nawet nie wie, czy oni żyją.

Romek zaczął namiętnie ogryzać paznokcie. Stale to

90

robił, gdy coś go pasjonowało, wciągało, gdy był czymś przejęty. Trzepnąłem go po łapach.

— Przystań! Weź sobie chleba, jeśli musisz coś gryźć.

Romek włożył ręce do kieszeni, ale nie mógł widać usiedzieć spokojnie, bo zaczął spacerować po pokoju.

— Teraz to ja już nic nie rozumiem — powiedział nagle zatrzymując się przede mną — więc o co jemu właściwie chodzi? Myślałem, że chce odnaleźć swoich prawdziwych rodziców, że mu źle u tych obecnych, że są dla niego niedobrzy...

— Nie! — krzyknąłem mimo woli. — Nie, wcale nie jest mu źle — powtórzyłem spokojniej.

— Jego starzy są całkiem znośni, no, rozumiesz... raz lepsi, raz gorsi, jak to starzy. Ale on powiada, że można z nimi wytrzymać...

Romek ze zrozumieniem pokiwał głową.

— On... on twierdzi, że chce znać całą prawdę — ciągnąłem dalej — chce się przekonać, dlaczego został okłamany, w ogóle chce wiedzieć. Wiedzieć! Nie rozumiesz?

— Nie — wzruszył ramionami Romek — nie rozumiem. Co mu z tego przyjdzie? Czy coś się zmieni na lepsze albo na gorsze? Jeśli przez ileś tam lat traktował rodziców jak rodziców,

to przecież teraz nagle nie staną się dla niego obcy. Wychowali go, ubierali, posyłali do szkoły, słowem, robili dla niego wszystko, co normalni rodzice robią dla dzieci. A nawet powiem ci, że zrobili więcej. Bo jeśli go adoptowali, to ofiarowali mu to, czego mógł nigdy nie mieć. Gdyby go nie zabrali do siebie, do dziś byłby w domu dziecka, bez rodziny, bez nikogo bliskiego. Pomyśl, całe życie tylko koledzy i wychowawcy, to się przecież może sprzykrzyć, nie?

91

— Nie wiem — mruknąłem — nigdy nie byłem w domu dziecka.

— Ja też nie byłem, ale mogę sobie wyobrazić. I wiesz, ja poznałem kiedyś chłopaka, który był sierotą i wychowywał się w zakładzie. W zeszłym roku na koloniach. I był jakiś dziwny, osowiały, milczący, z nikim się nie zaprzyjaźnił. Nasz wychowawca powiedział o nim „nieprzystosowany”. I dodał, że prawie wszystkie dzieci chowane bez rodzinnego domu są takie. Czy ten twój znajomy też jest „nieprzystosowany”?

— Idźże, nie pleć! Przecież on ma ten dom...

— Więc widzisz. Powinien być zadowolony, zamiast szukać dziury w całym.

Poczułem, że ogarnia mnie pasja. Strasznie się zawiodłem na Romku, strasznie. Zerwałem się i krzyknąłem:

— A ty jesteś zawsze pewien, co powinno się robić, a czego nie?! Jesteś zupełnie pozbawiony wyobraźni, jeśli nie możesz zrozumieć, co ten chłopak przeżywa! Właściwie szkoda, że pisujesz wiersze, o wiele bardziej pasuje do ciebie rozwiązywanie równań. A równa się A, B równa się B! Żadnych fantazji, żadnych niespodzianek!

— Już nie piszę wierszy — powiedział cicho Romek — wolę je czytać. A matematykę też lubię!

Ochłonałem trochę, ale dalej byłem zły. Dlaczego tłumaczył mi to, co uważałem za oczywiste? Czy nie mógł pojąć, że człowiek stara się znać prawdę? Miałem zamiar wygarnąć Romkowi coś do słuchu, ale nie zdążyłem. Wrócili jego rodzice i starsza siostra (na szczęście już wcześniej zdążył usunąć popielniczkę, papierosy i wywietrzyć pokój, dopiero byłaby draka!), zrobiło się gwarno, pani Kawecka kazała sobie dokładnie opowiedzieć, jak to było z tym wypadkiem Moni-

92

ki, a w końcu zaprosiła mnie na podwieczorek. Po podwieczorku poszedłem do domu. Byłem niezadowolony z siebie, z Romka, z całej naszej, jak mi się zdawało, bezcelowej rozmowy. Wcale mi nie ulżyło, choć „zwierzyłem” się ze swoich kłopotów, ani też Romek w niczym mi nie pomógł. Wprost przeciwnie, swoimi głupimi pytaniami wpędził mnie w jeszcze większą rozterkę, sprawił, że zacząłem zastanawiać się nad sprawami, na które przedtem nie zwracałem uwagi.

To zupełnie tak samo jak z moimi ukochanymi džinsami. Były stare, spłowiałe, trochę ciasne i za krótkie, ale czułem się w nich znakomicie, ich nijaki kolor, obcisłość, łąty i cery uważałem za coś naturalnego. Dopiero gdy któryś z kolegów spytał ze śmiechem: „cóż to, donaszasz portki po młodszym bracie?”, uprzytomniłem sobie, że rzeczywiście moje ulubione džinsy są kuse, wyrośnięte i że mama miała rację kupując mi nowe, których za nic nie chciałem nosić.

Już nieraz zauważyłem, że jeśli człowiek codziennie styka się z różnymi przedmiotami, przestaje je widzieć, nie zwraca po prostu na nie uwagi. Były, są i będą, a jeśli zachodzą w nich jakies zmiany, stają się niedostrzegane. To samo odnosi się do ludzi, mama przez jedenaście miesięcy nie zwraca uwagi na mój wzrost, a wystarczy, że wracam po czterech tygodniach pobytu na kolonii czy na obozie, wykrzykuje ze zdumieniem; „ależ on wyrósł, w skórze się nie mieści”, a przecież rośłem przez cały rok.

Romek zapytał: „O co mu chodzi? Czy mu źle u rodziców, czy są dla niego niedobrzy?”
Przedtem nie myślałem o tym, nie zastanawiałem się, jacy są moi rodzice. Są tacy, jacy są,
widać wszyscy rodzice muszą mieć swoje wady i zalety. Zresztą moi mieli więcej

93

zalet niż wad, a w porównaniu z innymi... szkoda
słów!

Dopiero teraz zacząłem się zastanawiać, rozstrząsać, szukać. I wydawało mi się, że coś jest
nie w porządku, zwłaszcza z ojcem. I jeszcze jedno. Romek powiedział: „trzeba zdobyć
dowody, trzeba mieć pewność”. Zabił mi niezłego klina tymi słowami. Dowody... Skąd je
wziąć? Jak zdobyć? Różne pomysły przychodziły mi do głowy, a wszystkie głupie albo
niewykonalne. Gdyby nie Romek, na pewno nie zdobyłbym się na...

Eiże czy powinienem zwałać odpowiedzialność na Romka? Przecież to ja, ja sam, w końcu
postanowiłem zdobyć dowody... Za wszelką cenę! Przecież to ja wiedziałem o szufladzie w
biurku ojca, szufladzie zawsze zamkniętej na klucz.

Mocny zamek długo opierał się kolejnym próbom otwarcia, nie pomógł ani nóż, ani
śrubokręt, ani młotek. Dopiero dłuto wbite między krawędź szuflady a powierzchnię biurka
okazało się skuteczne. Ciemne, lśniące drzewo pękło z trzaskiem, na dywan posypały się
papiery, koperty, fotografie...

Rzuciłem dłuto i uciekłem z pokoju.

Długo stałem wtulony we framugę kuchennych drzwi, drząc i ocierając zimny pot z czoła.
Bałem się, teraz dopiero się bałem! W mieszkaniu panowała zupełna cisza, nikt nie stukał w
ścianę, nikt nie biegł schodami, nikogo nie zaalarmował trzask pękającego drzewa. Nawet
Monika, śpiąca w sypialni rodziców, nie obudziła się. Trzask był zwyczajny, niezbyt głośny i
tylko w moich uszach zabrzmiał jak wystrzał.

Właściwie zrobiłem świństwo, wiedziałem o tym od początku. I gdyby nie Romek... No cóż,
on naprawdę zainteresował się tą sprawą, chciał mi pomóc, a raczej

94

pomóc nieznanemu chłopcu, któremu rzekomo miałem udzielić rady. Porozumiał się z
ojcem, zdobył szczegółowe informacje, opowiedział mi dokładnie, jak odbywa się rozprawa
adopcyjna.

No więc dowiedziałem się, że taka rozprawa musiała się odbyć i że sąd wydał orzeczenie, na
mocy którego zostałem uznany za dziecko Tomasza i Anny Lewandowskich i otrzymałem ich
nazwisko. W archiwum sądu na pewno znajduje się odpis wyroku, a oryginał powędrował do
Urzędu Stanu Cywilnego, gdzie zostałem zarejestrowany i skąd pochodzi moja metryka. To
wszystko. Żadnych innych dokumentów nie ma i być nie może. Właśnie po to, by nikt nie
wiedział o fakcie adopcji, o prawdziwym pochodzeniu dziecka. Tyle powiedział mi Romek i
wiedziałem, że nie może być żadnej pomyłki, kto jak kto, ale prawnik (sędzia) musi się
świetnie orientować w takich sprawach.

Czego więc szukałem w biurku ojca? Co spodziewałem się znaleźć?

Przecież swoją metrykę widywałem niejednokrotnie, miałem ją w rękach niedawno, gdy
składałem odpis w szkole, przed przyjęciem do liceum. Nie wynikało z niej nic podejrzanego,
wszystko było w absolutnym porządku.

Nie wiem, nie wiem! Może liczyłem, że znajdę inne papiery, listy, notatki, cokolwiek, co
pozwoliłoby mi skończyć z niepewnością, z podejrzeniami. Wiedziałem jedno — dłużej nie
potrafię tak żyć!

Środkową szufladę biurka ojciec zawsze zamykał, a klucz nosił przy sobie. Nie zdarzyło się,
by zostawił szufladę otwartą lub klucz w zamku. Zawsze byłem przekonany, że robi to tylko z
nadmiaru ostrożności, z obawy, by ktoś niepowołany (głównie ja lub Monika) nie dobrał się
do pistoletu.

7 — Telefon zaufania

Bo ojciec trzymał w biurku pamiątkową, zdobyczną parabelkę i kilka sztuk naboju. Raz w miesiącu wyjmował pistolet, rozkładał go, oliwił i czyścił. Dawniej zawsze starałem się asystować przy tej czynności, tym bardziej że ojciec wtedy najchętniej opowiadał, wspominał... Ciekawiło mnie to, chętnie słuchałem o jego przeżyciach okupacyjnych, partyzanckich, frontowych. To było ciekawsze niż książka, niż film, bo bohater tych opowiadań siedział przy mnie, w zasięgu ręki.

Pytałem dotykając palcem części pistoletu: „A to co?”

A to?”

Ojciec odpowiadał: „Magazynek, bezpiecznik, komora nabojowa”. Czasem pozwalał brać do ręki rozładowaną broń i celować. Mierzyłem długo i w skupieniu do urojonego celu, pociągałem za spust, który spadał z cichym trzaskiem.

Jeśli w pokoju była mama, mówiła z gniewem: „Zostaw to, połóż, nie baw się bronią”. Ojciec się śmiał: „Przecież nie nabity”. Mama marszczyła brwi, podnosiła głos: „Nie o to chodzi, wiem, że nie nabity. Po co go uczysz? To mu nie będzie potrzebne!”. Ojciec poważniał, mówił z przekonaniem: „Nie chcę, żeby mu było potrzebne, nikt nie chce. Ale każdy mężczyzna powinien umieć obchodzić się z bronią. A tym bardziej Polak”. Ale szufladę zawsze zamykał.

Jeszcze trzy, dwa lata temu uwielbiałem godziny spędzane z ojcem na czyszczeniu broni, na oglądaniu odznaczeń, fotografii, pamiątek.

Moje zabawy były niejako odbiciem tamtych spraw. Wycinałem z papieru krzyże i medale, dekorowałem nimi pierś, ukradkiem wygrzebywałem z szafy starą furazerkę ojca, stawałem przed lustrem i wyciągałem dłoń z dziecinnym pistoletem-zabawką. Wyglądałem groźnie i wspaniale. Żołnierz. Partyzant. Prawdziwy mężczyzna.

Zerknąłem na zegarek. Byłem przekonany, że minęła co najmniej godzina od chwili, gdy stąpając na palcach, cicho jak złodziej, wśliznąłem się do pokoju ojca. Tymczasem okazało się, że jest dopiero wpół do dziewiątej. Rodzice wyszli z domu o ósmej, piętnaście minut odczekałem przez ostrożność, mogli czegoś zapomnieć, wrócić niespodziewanie.

A więc cała operacja otwarcia szuflady trwała tylko kwadrans! Zupełnie niepotrzebnie tak się zdenerwowałem. Teraz, kiedy byłem zdecydowany na wszystko, rozbicie szuflady biurka to głupstwo, drobiazg niewart zastanowienia.

Wróciłem do pokoju, z którego przed chwilą uciekłem gnany niezrozumiałym lękiem. Mój wzrok ominął rozbite biurko, powędrował ku ścianie zawieszoną dużym, zniszczonym kilimem.

„Rodzinna kapliczka” — pomyślałem niechętnie i, zdaje się, wzruszyłem ramionami.

Pamiątki wiszące nad tapczanem (sam kilim też był pamiątką) już dawno przestały być dla mnie przedmiotami kultu i symbolami czegoś tam, o czym lubił mówić ojciec. Hełm z małym wgnieceniem z boku, hełm, który ocalił ojcu życie, był po prostu hełmem wykonanym z solidnego materiału, i to tylko było w nim istotne.

Pod hełmem wisiały proporczyki, odznaki, niemiecki bagnet, zupełnie inny niż polski, i wreszcie na samym środku mały, srebrny ryngraf. Ojciec dostał go od babci, czyli od swojej matki, gdy po konspiracyjnej wyspie szedł do lasu, do oddziału Podkowy.

Dawniej nie widziałem w tym nic osobliwego, ryngraf był piękny, lśniący: mała figurka Matki Boskiej tuliła się do piersi srebrnego orła z pozłacaną koroną. Dopiero jakieś pół roku temu uderzyła mnie niekonsekwencja w postępowaniu ojca. Nie chodził prze-

cięż do kościoła, nie modlił się, sprzeciwiał się mamie, kiedy chciała zawiesić nad łóżeczkiem Moniki święty obrazek, nad moim łóżkiem też nic takiego nie wisiało. Ojciec z dumą

podkreślał laickość swoich przekonań i twierdził, że w tym samym duchu pragnie wychować dzieci. Mama z początku protestowała, pamiętam namiętne dyskusje z okresu, kiedy należało zadecydować, czy będę chodził na naukę religii, czy przystąpię do komunii. Mama twierdziła, że nie wolno nawet własnym dzieciom narzucać przekonań, że powinniśmy mieć możliwość świadomego wyboru. W końcu ustąpiła, zdaje się, że i dla niej te problemy były mało ważne, chodziło jej o zasadę.

I nagle ten ryngraf...

Ojciec poczuł się dotknięty, urażony, gdy mu wytknąłem nielogiczność. Rozgniewał się i krzyknął:

— Nic nie rozumiesz! To jest pamiątka, symbol.

— Symbol czego? — spytałem. — Wiary, której nie wyznajesz?

Ojciec poczerwieniał i trzasnął pięścią w stół. Byłem zdumiony, bardzo rzadko tracił panowanie.

— Dla ciebie, dla was nie ma nic świętego! Pokolenie cyników.

— Ależ dlaczego? — zdziwiłem się. — Przecież sam mnie uczyłeś, że człowiek powinien być konsekwentny, że rozbieżność między jego słowami a uczynkami świadczy o...

— Owszem — przerwał mi ojciec — uczyłem cię tego. Ale czy nie rozumiesz, że są sprawy wyłamujące się z wszelkich reguł, wyższe nad wszelkie teorie?

Nie rozumiałem. Dla mnie prawda była prawdą, a kłamstwo kłamstwem. I wierzyłem, że człowiekowi jedna prawda powinna służyć we wszystkich okolicznościach. Chyba po raz pierwszy nie mogłem dogadać się z ojcem. Długo dyskutowaliśmy i w końcu rozeszliśmy się nieprzekonani, z żalem i wzajemnymi pretensjami.

W każdym razie ja czułem żal do ojca, pierwszy raz wydało mi się, że dostrzegam jakąś rysę, jakiś błąd w jego postępowaniu. Może właśnie od tej dyskusji począł się mój sceptycyzm, niewiara w doskonałość istot, które przywykłem uważać za niewzruszone ideały?

Kątem oka spojrzałem na rozbitą szufladę biurka, wydała mi się żywą istotą, białe kartki sterczące między połamanymi drzazgami wyglądały jak wyszczerzone zęby, jak usta skrzywione w ironicznym uśmiechu.

Czemu stoję tu i gapię się na stary kilim? Mam mało czasu, przedstawienie trwa około dwóch godzin, rodzice o jedenastej mogą już być w domu.

Przede mną tylko dwie i pół godziny. Chociaż... dwie i pół godziny to sto pięćdziesiąt minut, a czasem kilka minut może znaczyć bardzo wiele. Pani M. zdążyła mi powiedzieć to, co okazało się dla mnie najważniejsze, w ciągu kilkunastu sekund.

Pani M... Sam już nie umiem ocenić, czy naprawdę jest zła, czy tylko głupia? Może nie przypuszczała, że słowa wypowiedziane w gniewie zrobią mi taką krzywdę, może nie pomyślała o tym? Bo gdy spotkałem ją po raz drugi, była zmieszana, czułem, że jest jej głupio, że się wstydzi. Zrobiła nawet taki ruch, jakby chciała mnie zatrzymać, podejść.

Udałem, że tego nie spostrzegam, i szybko odszedłem. Już za późno na skruchę, na wyjaśnienia. Zresztą nie potrzebowałem wtedy żadnych wyjaśnień. Sam, na własną rękę zebrałem informację o pani M. Wiedziałem już, jaką drogą mogła uzyskać wiadomości o moim pochodzeniu.

Przed paru laty pracowała w szpitalu, w tym sa-
101

mym szpitalu, w którym mama urodziła Monikę. Pani M. była salową, stykała się z pacjentkami, pielęgniarkami, lekarzami. Może podsłuchiwała czyjąś rozmowę, może w inny sposób dowiedziała się, że Monika jest pierwszym dzieckiem, lekarzom przecież mama musiała powiedzieć prawdę.

Rozsypane części łamigłówny zaczynały układać się w logiczny ciąg, jeden fragment pasował do drugiego...

Nieraz zastanawiałem się, czemu rodzice wyjechali z Lublina, czemu ojciec porzucił pracę, dobre stanowisko, wygodne mieszkanie? Mieli tam świetne warunki, dom babci był obszerny, ładny, otoczony dużym ogrodem, jeździmy tam często podczas wakacji i zawsze żałuję, że nie mieszkam tu stale.

A jednak zrobili to. Przeprowadzili się do Wrocławia, zamieszkali w niedużym mieszkaniu, mama na jakiś czas porzuciła pracę, bo nie chciała oddać mnie do żłobka. I ojciec wcale nie zyskał na tej zamianie, przynajmniej z początku. Z Fabryki Samochodów Ciężarowych przeszedł do Zakładów w Jelczu na gorzej płatne stanowisko, a w dodatku musiał codziennie dojeżdżać dwadzieścia parę kilometrów. Gdyby zostali w Lublinie, mama nie musiałaby porzucać pracy, babcia by ją wyręczyła, przecież większość dzieci wychowują babcie. Miałem wtedy cztery miesiące albo coś koło tego, według metryki urodziłem się pod koniec lutego, a do Wrocławia sprowadziliśmy się na początku lipca. Znam te szczegóły, bo parę razy zdarzyło mi się rozmawiać

O tym z mamą, byłem ciekawy, dlaczego nie mieszkamy w Lublinie, skoro tam przebywa cała nasza rodzina. Tu, we Wrocławiu, nie mamy nikogo bliskiego.

1 Lublin to przecież bardzo ładne miasto, oczywiście nie takie rozległe i ruchliwe, jak Wrocław, ale ładne. I klimat jest tam lepszy. Dziadek, ojciec taty, przy-
102

jeźdzał do nas dość często, ale nigdy nie siedział długo, najwyżej parę dni. „Nie mam tu czym oddychać — mówił — takie u was zgniłe powietrze, wilgoć, wiatry. U nas zupełnie inny klimat, zdrowszy, suchy”.

Dziadek miał rację, we Wrocławiu jest tyle wody, że powietrze zawsze wydaje się wilgotne, ale dziadek i tak umarł w tym swoim zdrowym Lublinie, choć wszyscy mówili, że jeszcze wcale nie był stary, miał sześćdziesiąt siedem lat i niedawno przeszedł na emeryturę.

Oczywiście pytając mamę o powód wyjazdu "do Wrocławia niczego nie podejrzewałem, byłem zwyczajnie ciekawy.

W Lublinie mieszkają moi cioteczni bracia i siostry, lubię ich, zwłaszcza jedna kuzynka, córka młodszego brata ojca, jest zupełnie fantastyczna! Uczy się gry na skrzypcach i gra jak szatan. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak szybko przebierał palcami po strunach jak ona! No, ale to nie należy do rzeczy.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że mama nigdy nie odpowiadała mi serio, zawsze pytała z uśmiechem, czy nie jestem zadowolony z pobytu we Wrocławiu, czy mi tu źle, czy mi się miasto nie podoba?

Teraz już wiem, czemu nie zostali w Lublinie, czemu wyjechali z malutkim dzieckiem do obcego miasta, zamiast zostać tam, gdzie było im dobrze. Jeśli prawdą jest, że wzięli mnie na wychowanie, to chcieli, żeby nikt nie wiedział o tym, żeby się nie domyślił.

Ostatecznie pewne sprawy trudno ukryć przed oczyma znajomych, kolegów. A we Wrocławiu byliśmy obcy, nikt nas nie znał i myśmy nikogo nie znali. Po prostu któregoś dnia na ulicę Inżynierską sprowadzili się jacyś państwo Lewandowscy z małym synkiem i kropka.

Dobrze to wszystko obmyślili, przez szesnaście lat

103

udało im się zachować tajemnicę. I pewno nigdy nie poznałbym prawdy, gdyby nie przypadek.

Podszedłem w końcu do biurka, choć właściwie nie bardzo wiedziałem, czego będę szukał. Ale skoro zdecydowałem się, skoro ułożyłem sobie plan, należało go wykonać. Już od paru dni, to jest od chwili gdy dowiedziałem się, że rodzice wychodzą na cały wieczór, że kupili bilety na występy kabaretu „Dudek” z Warszawy, obmyślałem wszystko.

I jeśli teraz, stojąc naprzeciwko rozbitego biurka, wahałem się, to chyba dlatego, że... że bałem się. Tak, nie ma co ukrywać! Chciałem poznać prawdę, a równocześnie bałem się jej.

Bo jeśli pani M. rzeczywiście nie skłamała, to... Co mam wtedy zrobić, jak postąpić? Udawać, że o niczym nie wiem, czy powiedzieć rodzicom, co sędzę o ich postępkach?

Schyliłem się i podniosłem kilka kopert, które wypadły, gdy wylałem szufladę. W pierwszej z brzegu znalazłem dokumenty i kwity z Motozbytu, dowód wpłaty na kwotę sześćdziesięciu pięciu tysięcy złotych za samochód marki trabant.

Oczywiście nie wiedziałem o niczym, nawet nie domyślałem się, że ojciec szykuje taką niespodziankę. To już prawie reguła, że o wszystkich ważnych sprawach dowiaduję się ostatni! Co prawda Monika też o niczym nie wiedziała, ale co tam taki szkrab mógł rozumieć?

Nie domyślałem się niczego, choć rodzice zachowywali się dziwnie, często rozmawiali przyciszonymi głosami i milkli, gdy wchodziłem do pokoju, coś pisali na kartkach, obliczali, wzdychali, mama była raz wesoła i podniecona, to znów popadała w przygnębienie.

Wreszcie ojciec zaczął popołudniami znikać z domu,

104

a wieczorem długo przesiadywał nad książkami. Wyglądało na to, że czegoś się uczył.

Miałem wtedy mnóstwo zajęć, zbliżał się koniec roku szkolnego, kończyłem siódmą klasę i mama wciąż naganiała mnie do» nauki. Prawdę mówiąc mało zwracałem uwagi na to,, co się działo w domu.

Zaskoczenie było więc całkowite, niespodzianka absolutna! Któregoś popołudnia tuż przed końcem roku ojciec wpadł do domu rozpromieniony, jakby wygrał" na loterii, i już od progu wołał:

— Zapraszam wszystkich na spacer! Szybko! Kto nie zdąży, ten zostanie!

Wybiegłem pierwszy przed dom. Przy krawężniku, stał nowiutki, nieskazitelnie biały trabant. Nie przyszło mi nawet do głowy, że to nasz, byłem pewien, że pójdziemy na spacer jak zwykle, piechotą.

Zbaraniałem, gdy tata wyjął kluczyki i otworzył" drzwiczki. Wsiadliśmy wszyscy czworo i objechaliśmy cały Wrocław, podnieceni, szczęśliwi, nieprzytomni* z zachwytu! Mieliliśmy własny samochód! Prawdziwy" samochód!

Potem pojechaliśmy trabantem na wakacje, wstąpiliśmy do Lublina do babci, odwiedziliśmy wujków,, ciotki, wszyscy podziwiali nasz samochód, gratulowali nam, cieszyli się. Tylko Bronek, mąż cioci Reni, powiedział lekceważąco:

— Chyba nie masz zamiaru poprzestać na tym tekturowym pudełku? Powinieneś starać się o przydział na fiata.

Boże, jak ja go nienawidziłem za te słowa! Tekturowe pudełko! Po pierwsze, karoseria trabanta jest wykonana ze sztucznego tworzywa, a po drugie, jakim prawem mówił tak pogardliwie o naszym samochodzie? Nigdy nie sądziłem, że za kilkanaście miesięcy powtórzę jego słowa...

105

Na razie jednak szalałem z radości, błagałem ojca .jak o największą łaskę, by mi pozwolił umyć samochód, zmienić koło, napompować dętkę. Byłem wściekły na tych, którzy zdecydowali, że chłopiec czternastoletni nie może otrzymać prawa jazdy, że jeszcze tak długo muszę czekać! Czasami udawało mi się uprosić ojca, by mi pozwolił poprowadzić. Oczywiście nie na ulicach i nie na szosie. Często wyjeżdżaliśmy "W niedzielę za miasto, do lasu, i tam na zupełnie pustej drodze ojciec puszczał mnie za kółko. Z początku robił to niechętnie, sam zmieniał biegi, moja rola ograniczała się do trzymania kierownicy i manewrowania sprzęgłem. Ale po pewnym czasie przekonał się, że może mi zaufać, i prowadziłem samochód samodzielnie, choć zbyt wolno i ostrożnie jak na mój gust.

Wiedziałem doskonale, że ojciec nie byłby się zdobył na kupno trabanta, gdyby nie spadek po dziadku, gdyby nie pożyczka spłacana kosztem wielu wyrzeczeń i sprzedaż paru złotych drobiazków. Mimo to... Sam nie wiem, kiedy zaczął mnie drażnić nasz samochód i dlaczego

mówiąc o nim, pogardliwie ruszałem ramionami? A właściwie wiem, kiedy się to zaczęło, choć rozmowa, podczas której po raz pierwszy użyłem nazwy „mydelniczka”, nie miała nic wspólnego z motoryzacją.

Ojciec chciał, żebym zapisał się do młodzieżowej sekcji dżudo przy zespole Gwardii. Pasjonował go ten sport, a i ja miałem ochotę nauczyć się sposobów i chwytów, dzięki którym siła mięśni przestaje być najważniejsza. Chyba obydwaj myśleliśmy o tym samym, choć każdy w inny sposób. Nie jestem ani specjalnie silny, ani zręczny, owszem, uprawiam różne sporty, ale żaden naprawdę mnie nie wciągnął. Może najbardziej lubię pływanie, pewno dlatego, że osiągam na basenie niezłe wyniki. Ale otwartej wody, morza,

106

rzeki, jeziora nie lubię. Na nartach jeżdżę kiepsko, na łyżwach jeszcze gorzej, nie lubię siatkówki, a tym bardziej piłki nożnej. Ojciec jest zupełnie inny. Choć już przecież niemłody, uprawia sporty, pływa, jeździ na nartach (świetnie!), gimnastykuje się, ćwiczy z ciężarkami i sprężynami. Ojciec jest silny, zręczny i odważny. Nie dostaje zawrotu głowy od patrzenia w przepaść i gęziej skórki przed ostrym zjazdem, nie boi się głębokiej wody i...

No tak, ojciec jest zupełnie inny niż ja i zawsze podziwiałem go z całego serca! Chciałem, naprawdę chciałem mu dorównać, tym bardziej że mu na tym zależało, wiedziałem o tym. Moje sportowe porażki drażniły go, przeżywał je silniej niż ja. Mówił: chłopiec powinien być silny, zręczny, odważny. Tylko uprawianie sportu może te cechy rozwinąć.

Więc kiedy zaproponował mi, żebym wstąpił do sekcji dżudo, zapaliłem się do tego projektu. Widziałem nieraz w telewizji pokazy, fragmenty zawodów. Drobnny, szczupły chłopiec walczył z o wiele silniejszym przeciwnikiem i zdarzało się, że właśnie on wygrywał. Bo nie siła była ważna, lecz zręczność.

Myślę, że ojcu właśnie o to chodziło, chciał, żebym nauczył się walczyć i zwyciężać. Bo jak dotąd... no cóż, czy to moja wina, że nie znoszę bójkę? Że każdy lał mnie, jak chciał? Ojciec niby nie zwracał uwagi na to, milczał, gdy mama przykładła mi kompres na spuchnięte oko, ale ja wyczuwałem w jego milczeniu naganę. Zresztą czasami słyszałem, jak mówił do mamy: „Co z niego wyrośnie? Istna baba! Ja w jego wieku...”

Leciałem na ulicę Nowotki jak na skrzydłach. Już ■widziałem siebie na macie, w białym stroju zawodnika, zdobywałem poszczególne stopnie wtajemniczenia, wyobrażałem sobie, jak bez lęku wchodzę między grupę

107

chuliganów i unieszkodliwiam ich przy pomocy prostych chwytów. A co najważniejsze — nie boję się.

Wracałem noga za nogą, chciało mi się płakać, od dawna już nie czułem się tak podle. No tak, nie przyjęli mnie! Lekarz, który badał kandydatów, z miejsca odebrał mi szansę. Mam krótki wzrok, muszę nosić szkła, a przepisy mówią...

Do diabła z przepisami! Do diabła z okularami! Do diabła!... Ojciec też był rozczarowany, ale starał się mnie pocieszyć. Powiedział: „Możesz przecież uprawiać inne sporty. Zapisz się do sekcji tenisa stołowego, też wyrabia refleks, zręczność...”

Tenis stołowy! Dziękuję pięknie!

Byłem wściekły, zawiedziony, obrażony na cały świat. Nawet przez jakiś czas nie chodziłem na pływalnię. Nie, to nie. Obejdzie się! Nie wszyscy muszą być sportowcami. Ja i tak wolę pójść do kina niż na mecz bokserski. Albo do teatru. Albo na wystawę obrazów. O właśnie! Obrazy! Zawsze lubiłem rysować, w szkole podstawowej nauczyciel rysunków moje „dzieła” posyłał na wystawy.

Nic nie mówiąc ojcu, poszedłem do MDK i zapisałem się do sekcji malarstwa i rysunku.

Nawet nie przypuszczałem, że tak mnie to wciągnie! Sekcję prowadził młody plastyk, umiał pokierować nami, bardzo go polubiłem. I chwalił mnie. Nie obchodziło go, czy gram w siatkówkę i jakie mam wyniki w skokach. Tutaj liczyło się zupełnie co innego. Ojciec nie był

zachwycony moją nową pasją, a gdy przy jakiejś okazji oświadczyłem, że po szkole wybieram się na ASP, wpadł po prostu w szała!

— Chcesz być malarzyną, pacykarzem? — krzyczał. — A jeśli nie masz talentu, jeśli twoje zdolności okażą się przeciętne? Tylko najlepsi mogą w dziedzinie sztuki liczyć na sukces, tu nic nie pomoże praco-

108

witość, wytrwałość, ambicja, tu liczą się przede wszystkim uzdolnienia.

— Skąd wiesz, czy nie mam zdolności? — obraziłem się na ojca, bardzo mnie dotknęła jego niewiara.

— Nie wiem, czy je masz! I potrzeba kilku lat studiów, byś się sam przekonał, czy dobrze wybrałeś. A jeśli te lata będą stracone? Co zrobisz wtedy, zaczniesz od nowa? A na politechnice...

Otóż to! Ojciec koniecznie chciał, bym poszedł w jego ślady.

— Technika! — wołał. — Tylko ona ma przyszłość. Elektronika, cybernetyka — to są zawody naszych czasów.

— Nieprawda! — oburzyłem się. — Człowiek nie może żyć samą techniką! Do czego by to doprowadziło, do czego już doprowadza? Właśnie dlatego, że dzięki technice ludzie mają coraz więcej wolnego czasu, mogą mniej pracować — rośnie znaczenie artystów. I w ogóle humanistów! Nie wystarczy posługiwać się skomplikowanymi maszynami, trzeba też umieć żyć!

— I ty chcesz uczyć ludzi, jak trzeba żyć? — zaśmiał się ironicznie ojciec. — A w jaki sposób? Malując obrazki? A może reklamy proszku do prania albo soku pomidorowego?

— Reklamy też są potrzebne — broniłem się — a zresztą dlaczego muszę malować reklamy? Mogę przecież projektować wnętrza, tkaniny, szkło, jest tyle różnych możliwości. I dla ludzi to wcale nie obojętne, jak mieszkają, jak odpoczywają, czy patrzą na przedmioty piękne czy kicze.

— A czy nie pomyślałeś o tym, że twój przyszły zawód ma ci przynosić dochody? Godziwą zapłatę za twoją pracę? Być może masz talent, być może będziesz należał do tych wybranych, którym się powiedzie. Ale jeśli nie? Jeśli nikt nie zechce kupować twoich obra-

109

zów? Sztuka, powołanie — to bardzo pięknie brzmi, ale w życiu, mój chłopcze, bardzo często, najczęściej, liczy się stanowisko, pozycja i pieniądze. Oszłupiałem. Ojciec to mówił? Ojciec?! Przecież nie tak dawno odrzucił propozycję przejścia do innej pracy tylko dlatego, że nie znosi papierkowej roboty, że nie wytrzymałby za biurkiem. Mama nawet go namawiała, nie musiałby dojeżdżać i trochę lepiej by zarabiał. Odpowiadał:

— Nie. Muszę mieć kontakt z ludźmi, z produkcją. Ostatecznie pieniądze nie są najważniejsze. Ważne jest, żeby robić to, co się umie i lubi.

Więc dlaczego mnie radził zupełnie co innego? I przecież ojciec zawsze twierdzi, że dzisiejsza młodzież (a więc także i ja) jest strasznie zmateralizowana, że nieważne dla niej (a więc i dla mnie), co o będzie robić, lecz za ile, że jego młodość była zupełnie inna.

— Myśmy nie pytali, kto nam zapłaci za stracone lata, za zniszczone zdrowie, za rany i krew. Nie liczyliśmy na awanse, odznaczenia. A później, po wojnie... Ileż razy pracowało się za bochenek chleba, za parę kilo kartofli albo po prostu za „Bóg zapłać"! I jak się pracowało! Cieszyło nas każde odgruzowane podwórko, każdy kawałek blachy wyciągnięty z rumowiska, każde oszklone okno. A teraz!

Tak mówił, przysięgam, to są jego własne słowa! Kiedy usłyszałem od ojca, że liczą się pieniądze, poczułem, że robi mi się gorąco, poczerwieniałem jak burak. Zerwałem się z krzesła i krzyknąłem:

— Więc twierdzisz, że najważniejsza jest pozycja i pieniądze, taak? Więc według ciebie najlepiej być karierowiczem i ciułaczem, niewolnikiem mebli, samochodu, mieszkania i lodówki, taak?

110

— No, nie zupełnie tak... — wtrącił ojciec, ale ja już: jechałem na całego.

— Więc... więc dlaczego ty?... Dlaczego mamy starą, pralkę? Dlaczego chodzimy na telewizję do sąsiadów, bo nie stać cię na odbiornik? Dlaczego kupiłeś trabanta, tę... tę mydelniczkę na kółkach? Wujek Broniek miał rację, powinieneś mieć co najmniej fiata! Jak już spadać z konia, to z dobrego! Jeśli obrastać w piórka, to-w najlepsze!

Ojciec wcale się nie rozgniewał, uśmiechnął się nawet, co mnie doprowadziło do szału!

Wyglądał jak wielki, dobroduszny bernardyn, który nic sobie nie robił z ujadania pinczerka!

Powiedział spokojnie:

— Tak krawiec kraje, jak materii staje. Wyleciałem z pokoju jak oparzony, zdaje się, że»

nawet trzasnąłem drzwiami. A potem przekonałem się, że ojciec wcale nie zrozumiał moich intencji, że je pojął zupełnie opacznie. Sądził, że zazdrościsz zamożniejszym chłopcom luksusowych mieszkań, wakacji za granicą, lepszych niż nasz samochód. Bzdura, nonsens! Mnie przecież chodziło o n i e g o! O to, że się zmienił! Że kiedyś, dawno był taki wspaniały, taki inny...

A teraz? Teraz myśli tylko o tym, czy dostanie premię albo trzynastą pensję, że trzeba mi kupić buciki, że znów go pominięto przy awansach, że ktoś tank w Zakładach dostał Złoty Krzyż Zasługi, a on tylko» Srebrny, że ziemniaki, że węgiel, że rachunek za światło...

Ech, dajcie mi święty spokój!

Szuflada wyszarpięta z pasją o mało nie spadła na-ziemię. Oprzytomniałem. Dostyc już było stuków i hałasów. Złąłem się, że zbudzę nimi i przestraszę Monikę, ale mała spała sobie spokojnie dalej. Zacząłem sy-

111

stematycznie wyjmować zawartość szuflady i układać na biurku. Teczki, koperty, pudełka, wkrótce całe biurko było nimi założone. Ojciec jest bardzo dokładny, prawie pedantyczny, miałem więc ułatwione zadanie.

W pierwszej teczce znalazłem świadectwa ojca, od-pisy dyplomu, zaświadczenia z odbytych praktyk.

W drugiej moje własne świadectwo szkolne. W następnej — metryki. No tak, wiedziałem, że tak będzie. Wszystko było w porządku, moja metryka niczym nie różniła się od metryki Moniki, nie licząc dat i miejsc urodzenia. U mnie Lublin, pięćdziesiąty piąty rok, <u Moniki Wrocław, rok sześćdziesiąty piąty.

Odrzuciłem je na bok. Świadectwo ślubu rodziców też nie zawierało nic szczególnego.

Chociaż... te daty. Według nich urodziłem się w siedem lat po zawarciu małżeństwa. To mogło nic nie oznaczać, przecież tylu ludzi nie zaraz decyduje się na posiadanie dziecka, czekają na mieszkanie, na lepsze warunki. Mogło też oznaczać wiele. Mniejsza z tym. Koniec z domysłami, z powtarzaniem: „a jeśli... może... gdyby...”

Przerzuciłem jeszcze kilka kopert i teczek, i nie znalazłem nic ciekawego. Przeważnie były to weksle, umowy, kwity, gwarancje. Sięgnąłem w głąb szuflady i natrafiłem na coś twardego, dużego...

Ojciec zdobył swoje parabellum w potyczce pod ;Pardysówką. Jechali do Józefowa po zaopatrzenie i przypadkowo natknęli się na żandarmów. Wytłukli wszystkich, jeden partyzant zginął, ojciec był lekko /ranny. Zabrali oczywiście żandarmom schmeissery i bergmany, krótką broń i granaty. Cieszyli się z tej zdobyczy, rzuty były rzadkie, a produkcja stonów nie anogła nastarc^yć zapotrzebowaniu. Zresztą stony były podobno najpr^ydatniejsze w akcjach miejskich, miały -mały zasięg i duży rozrzut.

Przed rokiem*} byłem z ojcem w Puszczy Solskiej, po-
112

znałem wszystkie miejsca walk, potyczek, pacyfikacji, odnaleźliśmy nawet polanę w lesie, gdzie w czterdziestym czwartym stał szpital partyzancki, gdzie był obóz. Dużo się tam zmieniło, las podskoczył w górę, ziemianki zarosły trawą i krzakami, w pierwszej chwili ojciec nie mógł się zorientować, gdzie jesteście. I gdybyśmy nie spotkali leśniczego z Trzepietniaka, pewno sam nie rozpoznałby tych miejsc.

Ojciec był przez cały czas naszej wędrówki przejęty, wzruszony, na cmentarzu pod Osuchami ukradkiem ocierał oczy. Leżało tu wielu jego towarzyszy.

Ja jakoś nie mogłem wykrzesać z siebie większego wzruszenia. Oczywiście z zainteresowaniem słuchałem wspomnień ojca, oglądałem miejsca bitew i potyczek, usiłowałem wyobrazić sobie tatę młodego, w mundurze, w wysokich butach, z automatem przewieszonym przez plecy, z pistoletem w dłoni. Ale chyba z taką samą ciekawością oglądałem pobojuwisko z 1863 roku. Widziałem, że ojcu sprawiłem przykrość takim zachowaniem. Rozczarował się, posądził mnie o nieczułość.

III A mimo to nie mogłem się powstrzymać, jakby na złość wyjechałem z tym, o czym nieraz gadaliśmy z Romkiem. Chociaż to ojciec zaczął...

Wędrując po tych wszystkich cmentarzach, oglądając pobojuwiska z 1863 roku, z pierwszej wojny światowej, wrześnie, partyzanckie — powiedział:

— Popatrz, Stefku, masz przed sobą przeszło sto lat naszej historii, jej słupy milowe to groby i pola bitew. My, Polacy, szczególne mamy powody do dumy. Podczas ostatniej wojny nazwano nas najmężniejszymi z mężnych, powiedziano: nigdy tak liczni nie zawdzięczali aż tyle tak nielicznym...

ffj: Wiem — przerwałem ojcu — to powiedział Churchill o polskich lotnikach z okazji bitwy o Anglię. Ten sam Churchill, który kilkanaście miesięcy później

8 — Telefon zaufania

113

oświadczył, że Anglia ma dość wojska, że polskie dywizje nie są mu potrzebne! Ten sam Churchill, który w Poczdamie sprzeciwiał się ustaleniu naszych zachodnich granic.

— Skąd o tym wiesz? — zdumiał się ojciec.

— Czytałem. Interesuję się historią, choć inaczej niż ty. Bo gniewa mnie, rozumiesz, złości to wieczne odwoływanie się do cudzego podziwu, uznania, to wystawianie rachunków za śmierć, rany i cierpienia. To są nasze sprawy i tylko nasze! Wy wiecznie roztrząsacie stare historie, popisujecie się męczeństwem, chcecie, żeby świat wciąż pamiętał o Tobruku, o Narviku, o Monte Cassino. Kogo dziś obchodzi Monte Cassino, kto pamięta, ilu tam poległo polskich żołnierzy? Przecież nawet cmentarz niemiecki jest większy, okazalszy, częściej odwiedzany. Żeby dziś znaczyć coś w świecie, trzeba latać na Księżyc albo wynaleźć skuteczny sposób leczenia raka! To by się liczyło, to by rozślało nasze imię! A wy wciąż odwołujecie się do swoich starych zasług. Nikt nie przeczy, byliście wspaniali, mężni, bohaterzy, ale nie można przez całe lata żyć z odsetek od jednego kapitału.

— Jesteś cyniczny — przerwał mi ojciec.

— Nie — odparłem — mylisz się. Ja też chcę, żeby o nas wiedzano, żeby nas podziwiano, ale nie dlatego, że jesteśmy „szczególnym narodem”, że mamy honor i że zawsze gotowiśmy walczyć za „naszą i waszą wolność”. W każdym razie nie tylko dlatego.

Ojciec usiadł na ściętym pniaku, odwrócił się do mnie tyłem.

— No tak — powiedział po chwili — doczekałem się. Mój syn, którego chciałem wychować na patriotę, na dobrego Polaka, mówi mi takie rzeczy. Więc według ciebie — zerwał się i patrzył na mnie roziskrzonym wzrokiem — to wszystko tutaj nic nie znaczy? — po-

■ 114

wiódł w krąg ręką ukazując pamiątkowy obelisk i rzędy krzyży — więc nie czujesz wdzięczności, podziwu dla ludzi, którzy zginęli po to, abys ty... Głos mu się załamał, umilkł. — Ależ, tato — zacząłem niepewnie — nie rozumiałeś mnie...

— Owszem — przerwał mi szorstko — nieraz spotkałem się z podobnymi wystąpieniami. Myślałem, że ty jesteś inny. Ale cóż, ty też należysz do młodego pokolenia, was przecież nudzi przeszłość, historia, ciągłe powracanie do tamtych spraw! Gdy macie do wyboru spotkanie z kombatantami albo koncert jakiegoś roz-kudłanego wyjca z gitarą — wybieracie koncert! Nie zaprzeczaj. Pamiętam doskonale, jak poszedłeś do Hali na występy Czerwonych czy Pomarańczowych Gitar, choć wiedziałeś, że przyjdzie do nas mój znajomy, towarzysz z partyzantki... choć kiedyś lubiłeś słuchać naszych wspomnień, choć Orkisz to był najwspanialszy zwiadowca, jakiego znałem...

No właśnie, był. A kim j e ą^-dzisiaj?

Teraz wyjąłem pistolet z kabury i powiodłem palcem po jego lśniącej powierzchni, poczułem na dłoni chłód stali.

Dlaczego w niektórych sprawach ludzie dorośli są zupełnie ślepi, dlaczego tak trudno im zrozumieć pewne rzeczy? Dla ojca towarzysz z partyzantki nie może mieć wad, a jeśli nawet je ma, to błędą one wobec zasług z tamtych czasów.

Ten cały Orkisz był z pewnością wspaniałym zwiadowcą, odważnym człowiekiem, zasłużył na wszystkie swoje krzyże i odznaczenia. Dwadzieścia pięć lat później siedział przy stole w pokoju ojca i mrugając chytrze oczyma opowiadał zupełnie szczerze i bez skrepi«

115

wania, jakich sposobów, jakich wstrętnych, podłych sposobów użył, by „wykończyć” kogoś, kto mu przeszkadzał w drodze do kariery. Nie krępował się, nie lękał, mówił przecież do towarzysza z partyzantki! . Widziałem na twarzy ojca niesmak i zażenowanie, sądziłem, że w końcu nie wytrzyma i powie Orkiszowi, co o nim myśli. Nie zrobił tego. Napełnił kieliszki i rzekł:

„— Dajmy temu spokój, wypijmy lepiej za dawne czasy. Pamiętasz ten wspaniały bimber ze zdobycznego cukru? Rozbiliśmy niemiecki transport i zawieźliśmy kilka worków na Kozaki, do kowala. Jak on się nazywał? Antkowiak, Bolkowiak?... Popatrz, zupełnie zapomniałem... Oczywiście! To było najważniejsze, ten wspaniały samogon produkowany przez kowala z Kozaków!

Dlatego nie chciałem nigdy zostać w domu, gdy pan Orkisz zapowiadał swoją wizytę. Dlatego skłamałem, że idę na koncert do Hali Ludowej. Nienawidziłem tego obrzydliwego typu, który ośmielił się prosić ojca mego o pomoc w jakichś brudnych machinacjach, o „skom-binowanie” rachunków za nie pobrane części samochodowe!

Ojciec oczywiście odmówił, ale gdy później mama powiedziała, że ma dość tego całego Orkisza, że wolałaby go nie oglądać w naszym domu, że ojciec nie powinien się z nim zadawać, oburzył się.

— Czy wiesz, ile mu zawdzięczam? Gdyby nie on, nie wy dostałbym się z okrażenia. Byłem ranny w nogę, nie mogłem iść, zostawałem w tyle, już prawie straciłem nadzieję, bo Niemcy następowali nam na pięty. Zorientował się, wrócił, dźwigał mnie na plecach sześć kilometrów. T o jest ważne. Reszta mnie nie obchodzi. Nie jestem jego współnikiem, lecz dawnym towarzyszem walk!

116

ч

A mnie obchodzi! Bo ja nie znałem Orkisza wówczas, gdy był mężny i szlachetny, ja poznałem faceta mało ciekawego, po prostu szuję, i wstyd mi, tak, wstyd, że ojciec tego nie rozumie! Matce też zresztą chodziło tylko o to, by kontakty z Orkiszem nie skończyły się dla ojca kłopotami.

— Z takim kombinatorem nigdy nic nie wiadomo — powiedziała.

Odsunąłem ze złością pistolet, miałem ochotę wyrzucić nim o ziemię, tak jakby to ten kawałek stali był winien, że ludzie się zmieniają, że bohaterscy partyzanci zdradzają ideały młodości. Sam nie wiem, dlaczego przypomniałem sobie te historie z Orkiszem i rozmowy z ojcem. Nie miały przecież nic wspólnego z moimi kłopotami. Ale dziwna rzecz, grzebiąc w szufladach biurka, szukając czegoś, co pozwoliłoby mi ustalić z całą pewnością, czy rodzice mnie okłamywali przez szesnaście lat, czy rzeczywiście nie jestem ich rodzonym synem, właściwie myślałem o czym innym. Dlaczego? Nie wiem!

Wyjąłem z szuflady małe pudełeczko z nabojami, odłożyłem je na bok, nie zaglądając do środka. Szuflada była już pusta. Chociaż nie, gdy sięgnąłem głębiej, znalazłem jeszcze małe, podłużne pudełko. Było bardzo ładne, ozdobne, powleczone czerwoną skórką, zamykane na mały, precyzyjny zatrzask. Znałem je doskonale, nie potrzebowałem uchylać wieczka, by przekonać się, co zawiera.

W pudełku leżały odznaczenia ojca. Dyplomy i legitymacje przechowywał w osobnej teczce, a krzyże i medale oraz ich miniatury znajdowały się tu. Krzyż Walecznych, Krzyż Partyzancki, Medal za Odrę, Nysę i Bałtyk, Srebrny Krzyż Zasługi i Medal X-lecia PRL.

117

Ojciec rzadko przypinał odznaczenia, rzadko je pokazywał, mimo to wiedziałem doskonale, za co je otrzymał i kiedy.

Mój dzielny, mój wspaniały ojciec!

Dzielny, wspaniały? Bzdura! Tchórz i kłamca! Przekonałem się o tym po małej chwili. Znalazłem, wreszcie znalazłem dowód! Teraz już nie miałem wątpliwości, nie musiałem domyślać się, podejrzewać.

Miałem dowód. Czarno na białym. Dowód pisany ręką mamy.

Właśnie zamierzałem schować rozrzucone teczki, gdy nagle zorientowałem się, że coś pominąłem. A zdawało mi się, że przejrzałem wszystko. W wąskim pudełku po czekoladkach leżały listy. Ułożone według kolejności, w kopertach z nie naruszonymi znaczkami... listy mamy do ojca. Nie było ich wiele, rodzice rzadko się rozstawali. Kilka pochodziło z okresu narzeczeństwa, te były dłuższe. Potem parę kartek z nielicznych wyjazdów, kolorowa pocztówka z wycieczki do Pragi, pozdrowienia z Rabki, u dołu mój podpis niezgrabny, kulfo-niasty, nic dziwnego, nie chodziłem jeszcze wtedy do szkoły. Doskonale pamiętam ten pobyt w Rabce tylko we dwoje, z mamą. Ojciec przyjechał później i został ze mną, a mama wróciła do Wrocławia. Chorowałem w zimie i rodzicom zależało, bym spędził dwa miesiące w górach...

Czytałem listy z wypiekami na twarzy, uszy mi płonęły, było mi wstyd. Miałem uczucie, że podglądam przez dziurkę od klucza, że podsłuchuję rozmowy nie przeznaczonej dla mnie. Już miałem zamiar odłożyć listy, nie czytać ich do końca, gdy nagle spojrzałem na podłużną, niebieską kopertę i odczytałem wyraźny stempel pocztowy: V. 1965 — Polanica.

Monika urodziła się w niespełna pół roku później...

118

Wyjąłem list z koperty. Najpierw były jakieś nieważne opisy domu wczasowego, współmieszkanek pokoju, pogody. Wreszcie...

Litery zatańczyły mi przed oczyma, linijki tekstu zamazały się, nie widziałem prawie nic. Ale to trwało chwilę. Mama pisała:

...wciąż nie mogę uwierzyć w to szczęście. Chodzę po parku i powtarzam w kółko — będę miała dziecko! Mam ochotę tańczyć, śpiewać... Widzisz, Tomku, nigdy nie wolno tracić nadziei, lekarze też mogą się mylić.

Zmiałem list w ciasną kulkę, rzuciłem na podłogę. A więc to wszystko prawda! Nie jestem synem mamy, nie urodziła mnie, to z powodu Moniki miała ochotę tańczyć i śpiewać!

Ja jestem znajdującym, podrzutkiem wziętym z litości lub z wyrachowania. Nie wiem doprawdy co gorsze!

A więc okłamywali mnie przez szesnaście lat, oszukiwali, zataili przede mną najważniejszą na świecie sprawę!

Jeśli oni to zrobili... komu mogę wierzyć? Mam ochotę rozbić okno, potłuc lampy, rzucać ciężkimi przedmiotami o ścianę, krzyczeć i...

Nie jestem ich synem, są obcy! Obcy, choć nieobojętni! I to jest właśnie najstraszniejsze. Przecież ich... kocham! I oni...

Jak mogli zrobić coś takiego? Jak mogli? Tchórze! Tchórze! Tchórze! I kłamcy! Sami mnie uczyli: „Nie kłam, bądź odważny, nie bój się skutków swoich błędów, każdy musi ponieść konsekwencje”.

Jak szalony rzuciłem się ku szafie bibliotecznej, wyjąłem pudło z fotografiami. Nie miałem czasu ani ochoty szukać powoli, systematycznie. Wysypałem zdjęcia na stół, grzebałem w nich jak w stercie śmieci. Szybko znalazłem to, czego szukałem.

119

Tę fotografię robił zawodowy fotograf, usadowił nas, upozował, mama z prawej strony, ojciec z lewej, ja w środku. Uśmiechaliśmy się, mama obejmowała mnie ramieniem, ojciec obrócony połową profilu patrzył na nas z czułością.

Na odwrocie zdjęcia widniała data: 20.VI.1965 rok. Skoczyłem do biurka, w specjalnej podstawce leżały pióra, ołówki, nie, nie nadawały się, potrzebowałem czegoś bardziej wyraźnego. Znalazłem czerwony flamaster...

Z pasją przekreśliłem zdjęcie, grube krechy przecięły ojca, mamę, skrzyżowały się na mojej twarzy. Przestałem się uśmiechać.

Jak łatwo jest niszczyć, psuć, rujnować! Jak bez wysiłku można unicestwić przedmioty, które nie stawiają oporu, poddają się.

Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem, byłem chyba niezupełnie przytomny, nie pamiętam nawet momentu, w którym zaczęło się to szaleństwo. Książki, koszule, krawaty fruwały w powietrzu, po chwili cała podłoga była usiana rozrzuconymi zdjęciami i częściami garderoby. Przewróciłem pokój ojca do góry nogami, zdaje się, że nie darowałem nawet kwiatom, bo gdy wreszcie znalazłem się w swoim pokoju, ręce miałem pobrudzone ziemią.

Wyjąłem z półki gruby tom w szarej, płóciennej oprawie. „Mała Encyklopedia Powszechna.”

Lubiłem ją przeglądać, otwierać w byle jakim miejscu, poznawać nowe pojęcia, terminy.

Nie, jakoś nie potrafiłem drzeć kartek, niszczyć, psuć. Lubię książki, mam ich wiele, zachowałem nawet te sprzed lat, dziecinne, młodzieżowe. I jeśli kiedykolwiek gniewałem się na Monikę, to właśnie wtedy, gdy dorwała się do mojej półki i „czytała” po swojemu.

Odłożyłem encyklopedię, wyrwałem tylko pierwszą

120

kartkę z dedykacją. Zerknąłem na zegarek, miałem coraz mniej czasu, a przecież byłem już zdecydowany.

Zdjąłem z ręki zegarek, położyłem go na biurku. Był od ojca.

To dziwne, uświadomiłem sobie w tym momencie, że o wiele większy żal czuję do ojca, choć przecież oboje mnie okłamali... Ach, mniejsza z tym, nie będę się zastanawiał, nie będę roztrząsał niczego.

Już postanowione, odejdę z domu. Nie wiem, dokąd pójdę i co będę robił, nie myślę o tym, nie chce mi się myśleć o niczym. Wiem tylko, że dłużej tu nie wytrzymam, że nie chcę być w tym niby moim domu, z tymi niby moimi rodzicami.

Usiadłem po raz ostatni przy moim biurku, wyjąłem z szuflady arkusz papieru. Trochę drżały mi ręce, gdy pisałem.

Nie, to nie był list, nie zamierzałem niczego wyjaśniać, nikogo żegnać! Napisałem krótko: Nienawidzą kłamców! Podpisałem: Stefan. Dopiero po chwili dodałem te dwie literki: N. N. — Nazwisko nieznane.

To jest przecież prawda. Nie wiem, jak się nazywam naprawdę, i pewno nigdy się nie dowiem. Właściwie nie zależy mi na tym, chcę tylko, by oni wiedzieli, że niczego od nich nie potrzebuję. Że zostawiam im wszystko.

Położyłem papier na biurku i wyszedłem. Wróciłem do pokoju ojca. Wyglądał jak po przejściu huraganu i ten widok sprawił mi mściwą radość. Co prawda sam nie wiem, kiedy zdążyłem narobić takiego nieładu, wyrzucić na podłogę zawartość szafy ubraniowej i biblioteki.

Nagle drgnąłem. Szafkowy zegar, stojący w rogu pokoju, zaczął wydzwaniać godzinę. Lubiłem jego głębokie, basowe dźwięki, ale teraz poczułem się nieswojo.

121

Dziesiąta. Ogarnęła mnie panika. A jeśli przedstawienie skończy się wcześniej? Jeśli już się skończyło? Rodzice wrócą i...

Co ja narobiłem? Czy musiałem to zrobić? Czy naprawdę chcę być sam, zupełnie sam, bez rodziców, bez Moniki, bez domu? Czy ja oszalałem?!

Dzwoniąca w uszach cisza. Żeby ktoś nadszedł, ktoś zadzwonił, ktokolwiek, sąsiadka, spóźnieni goście... Nikt nie przyjdzie, nikt nie zadzwoni. Dziesiąta w nocy to nie pora na wizyty, na telefony, ludzie są delikatni, szanują cudzy wypoczynek.

Podbiegłem do telefonu, chwyciłem słuchawkę. Przecież ja mogę zadzwonić! Szybko wykręciłem numer Romka. Czekałem dość długo, wreszcie usłyszałem nie[^] chętny głos. To był jego ojciec, widać zmęczony, może już się położył, zasypiał. Odłożyłem słuchawkę bez słowa.

Więc nikt?...

Obok aparatu leżało wczorajsze „Słowo”.

Machinalnie rzuciłem nań okiem. Data w czerwonej ramce — 25 kwietnia — niedziela — Marka i Jarosława — wschód słońca 4.18 — zachód 18.51. I dalej numery telefonów — pogotowie ratunkowe — telefon zaufania...

Trzęsły mi się ręce, gdy nakręcałem numer. Prawie natychmiast usłyszałem dzwięczny, męski głos:

— Dwieście siedemnaście siedemnaście, słucham.

Zacząłem mówić.

Nieskładnie, chaotycznie, przeskakując daty, kolejność faktów. Słuchający przerwał mi parę razy. Spytał, ile mam lat, czy chodzę do szkoły. Powiedziałem mu. Potem już nie pozwalałem sobie przerywać, krzyczałem do słuchawki.

Po chwili zapomniałem, że mówię do obcego człowieka, zdawało mi się, że to ojciec mnie słucha, że

122

nareszcie wszystko mu wyjaśnię, wykrzyczę to, co mnie gnębiło tyle tygodni.

— Nie mieli prawa! Nie powinni byli kłamać! Jaja już nie wiem, kim jestem, wszystko rozłazi mi się w palcach. Nie chcę tu być, nie chcę w ogóle być nigdzie! Odchodzę z domu, zaraz, natychmiast! Mam do-.syc, dosyc, dosyc!

Tamten jeszcze coś mówił, usiłował mi tłumaczyć, że rodzice mnie kochają, że robię im wielką krzywdę, że powinienem pomyśleć, zastanowić się.

Rzuciłem słuchawkę. „Pomyśleć, zastanowić się!”. Trafił jak kulą w płot. Przecież przez ostatnie tygodnie :nic innego nie robiłem. Nie. Nie będę szukał niczyjej rady ani pomocy.

Teraz wszystko zależy ode mnie, ja •sam muszę wszystko rozstrzygnąć. . Poszedłem do przedpokoju, wyszukałem w szafie zeszłoroczny płaszcz, spłowiały i wyrośnięty, na głowę wcisnąłem stary beret. Nie zabiorę ze sobą nowych irzeczy, ortalionowej kurtki z ciepłą

podpinką, czapki ze ■ sztucznego futra. Niczego nie potrzebuję. - Spojrzałem w lustro. Wyglądałem jak przebrany, ręce wyłaziły mi z przykrótkich rękawów, jedna kieszeń była oberwana, beret ledwo się trzymał na czubku głowy. Błazen!

Wiem, że robię im krzywdę, że mama będzie płakać, że ojciec poruszy niebo i ziemię, by mnie odnaleźć. Trochę mi ich żal, gdy pomyślę, co zastaną po powrocie -z teatru.

Nie, to kłamstwo! Żal mi tylko mamy, ona będzie naprawdę nieszczęśliwa, kocha mnie, choć nie zawsze na to zasługuje. Ojciec... ojciec coraz częściej dawał mi do zrozumienia, że jest rozczarowany moim charakterem, postępowaniem, poglądami, że chce, żebym był inny.

123

A ja? Czy ja nie miałem powodów do rozczarowania? Czy ojciec był bez skazy? Czy tamten Tomasz Lewandowski, harcerz, łącznik, dowódca plutonu, potem kompanii, partyzant, żołnierz, posiadacz krzyży i odznaczeń — czy on jeszcze istniał?

Nie, już dawno zniknął, zagubił się, rozplynął w czasie. Pozostały po nim pamiątki, hełm, proporczyki, zdjęcia, parabellum, ordery. Jak po umarłym.

Dzisiejszy Tomasz Lewandowski ciuła pieniądze, kupuje samochód, martwi się o awans, ustępuje dla świętego spokoju, godzi się na zło, przymyka oczy, patrzy przez palce. Na dodatek kłamie! Sam nie wiem, kiedy ponownie znalazłem się w pokoju ojca. Usłyszałem wyraźnie jego głos, tak wyraźnie, jakby stał tuż obok! „...najlepsi poszli do ziemi, zginęli. Im należały się odznaczenia, krzyże, nie nam. Czasami wstyd mi, że żyję...”

Chwyciłem pistolet, wsunąłem go za pasek spodni. Do kieszeni włożyłem naboje.

Otworzyłem czerwone pudełko, wybrałem odznaczenia wojenne. Tylko wojenne: Krzyż Partyzancki, Krzyż Walecznych, Medal za Odrę, Nysę i Bałtyk. Niech wrócą na swoje miejsce. Należą się przecież umarłym! Wyszedłem z mieszkania cicho, stąpając na palcach. Miałem ochotę spojrzeć na śpiącą Monikę, pożegnać ją, ona jedna nie była nicze^ mu winna, kochała mnie, bo byłem jej bratem, wierzyła w to. Kochała „Tefcia” zwyczajnie, po prostu, nie dlatego, że tak trzeba, że tak być powinno. Rozmyśliłem się jednak. Nie chciałem jej obudzić, bałem się, że gdy otworzy oczy i spojrzy na mnie...

Ostrożnie, delikatnie zatrzaskałem drzwi. Już na schodach przypomniałem sobie, że nie zgasiłem lamp, że całe mieszkanie jest oświetlone.

124

Mama zawsze gniewała się, gdy zostawiałem zapalone bez potrzeby lampy. Wzruszyłem ramionami. To już nieważne. Jakie znaczenie mogą mieć płonące żyrandole i kinkiety? Dotąd oświetlały moje biurko, nasz wspólny rodzinny stół, głowę ojca pochyloną nad rajz-bretem, ręce mamy cerujące moje skarpetki, drobną figurkę Moniki układającej do snu swoje lalki. To już przeszłość. Przede mną ciemna ulica, noc i droga, która mnie zaprowadzi... No właśnie, dokąd prowadzi ta droga?

■ -.

■■■-■■■

-;

■ ■

!

•.

■

-..•...■ ■

■

CZEŚĆ III

Od wielu godzin doktor Werner jeździł po uśpionych, wyludnionych placach i ulicach Wrocławia, wysiadał z wozu, by przeszukać ustronne skwerki i zieleńce, rozmawiał z otulonymi w olbrzymie kożuchy dozorcami, stróżującymi na budowach i przy magazynach, zaczepiał patrolujących miasto milicjantów, znów siadał do swojej syrenki i jechał dalej, gnany niepokojem, coraz bardziej zatroskany i przybity. W parku Szczytnickim spłoszył włóczęgów, wałęsających się mimo deszczu i zimna, w parku Południowym natknął się na pijaków, śpiących beztrąsko na mokrych ławkach, na wzgórzu Partyzantów o mały włos byłby wsiąkł w grubszą awanturę, zbliżywszy się niebacznie do kilku podchmielonych młodzieńców, którzy załatwiali jakieś niezbyt czyste interesy.

Na nabrzeżu Odry między mostami Piaskowym i Pokoju złapał go ulewny deszcz, po którym wyglądał, jakby wyszedł z kąpieli.

Co jakiś czas, widząc bezcelowość swoich poszukiwań, doktor Werner doznawał chęci rzucenia wszystkiego w diabły, a na samą myśl o zdjęciu przemoczonego ubrania i wejściu do ciepłego łóżka odruchowo kierował samochód w stronę domu.

— To szukanie igły w stogu siana — mrucał. —

126

Musiałbym mieć nieprawdopodobne szczęście, aby w półmilionowym mieście natknąć się na chłopaka, tym bardziej że na pewno nie ryzykuje on włóczęgi po ulicach. Pierwszy lepszy patrol zgarnąłby go bez gadania.

Już zdecydował się zawracać i jechać w kierunku Karłowic, gdzie mieszkał, gdy zjawiały się przed nim zrozpaczone twarze tamtych ludzi i rozbebeszona szuflada, w której nie było pistoletu.

Doktor Werner otrząsał się jak pies po zimnej kąpieli, zapalał kolejnego papierosa i zaczynał swoją wędrówkę od nowa.

Przypomniał sobie pytanie inżyniera Lewandowskiego, dlaczego to robi, z jakiej racji? No cóż, ludzie nie są przyzwyczajeni do bezinteresownych odruchów ze strony obcych, na ogół każdy żyje dla siebie, interesuje się własnymi sprawami. Odpowiedział, że przeżył kiedyś podobną historię. Czy podobną? Chyba tak, wprawdzie motywy były inne, ale rezultat identyczny.

Przed trzema laty Werner po piętnastoletnim złym pożyciu z żoną postanowił odejść.

Właściwie oboje zgodzili się na rozstanie, czując, że nic dobrego nie wyniknie z dalszej szarpaniny. Po prostu doszli do wniosku, że nigdy nie byli dobraną parą i że rozdział między nimi pogłębia się z każdym rokiem. No cóż, zdarza się i tak! Tylko syn Wernerów, Leszek, całą winę przypisał ojcu, potraktował go jak tyrana i okrutnika!

„Powinienem być porozmawiać z nim — rozmyśla doktor rozglądając się równocześnie czujnie i bacznie — ostatecznie miał już wtedy prawie czternaście lat, na pewno zrozumiałby nasze położenie. Przecież każdy może się pomylić, my też popełniliśmy omyłkę, znaleźliśmy w małżeństwie nie to, czego szukaliśmy, moja żona była równie nieszczęśliwa, jak ja.”

Zwolnił, bo zauważył jakiś cień we wnętrzu bramy.

127

Podjechał bliżej, to była stara kobieta z pieskiem, wyszła widać z łóżka, spod narzuconego płaszcza wystawał długi, kwiecisty szlafrok. Werner dodał gazu, powrócił do swoich rozmyślań.

„To Irena uważała, że nie należy chłopca wtajemniczać w konflikty małżeńskie, zawsze traktowała Leszka jak dziecko, zdawała się nie rozumieć, że lata mijają i dziecko zaczyna dorastać. A rezultat?”

Wstrząsnął się, do dziś nie mógł spokojnie myśleć o tym fatalnym dniu i dalszych, które po nim nastąpiły-

Postanowiwszy ostatecznie rozstać się z żoną, zostawił jej mieszkanie, umeblowanie, zabrał tylko rzeczy osobiste, książki i starą, zdezelowaną syrenę, którą kupił okazjnie i sam wyremontował w wolnych chwilach. Wynajął sublokatorski pokój na Karłowicach, nie miał zamiaru szukać mieszkania, nie myślał o zaczy-лании wszystkiego od nowa. Zresztą już od dawna jego prawdziwym domem był szpital.

To zdarzyło się chyba trzeciego dnia po przeprowadzce, wrócił właśnie z kliniki i nie zdążył zdjąć płaszcza, gdy zadzwonił Wacek.

— Irena cię szuka — powiedział zacinając się ze zdenerwowania — Leszek zniknął, uciekł z domu, zostawił jakiś list do ciebie.

Gnał wtedy oblodzonymi ulicami bez opamiętania, wyciskając ze staruszki syreny ostatni dech, cud, że nikogo nie potracił, że sam nie rozbił się na jakiejś latarni.

List był krótki i kategoryczny:

Nie wróć do domu, dopóki nie pogodzisz się z marną — napisał Leszek.

Irena, skłonna do wybuchów z byle powodu, teraz, o dziwo, w obliczu prawdziwego nieszczęścia, nie uroniła ani jednej łzy, szeptała tylko zbiełałymi ustami:

128

— Szukaj go, na miłość boską, szukaj go!

Sam był przerażony i wstrząśnięty, ale nie stracił głowy. Przez całe popołudnie i wieczór, aż do późnej nocy, jeździł po mieście, odwiedzał kolegów Leszka, nauczycieli, znajomych, zbierał mozolnie informacje, z okrucich, z ułamków wiadomości próbował odtworzyć zamiary syna, odnaleźć to miejsce, w którym się ukrył. Była mroźna zima, luty, chłopiec musiał gdzieś mieszkać, nie mógł nocować pod gołym niebem, wałęsać się po ulicy.

Odnalazł Leszka trzeciego dnia wieczorem. Nocował u kolegi poznanego przed rokiem na wakacjach, dlatego zdobycie jego adresu było utrudnione. Kolega mieszkał chwilowo sam tylko z babcią. Ojciec pracował w zagłębiu miedziowym, przyjeżdżał do domu na niedziele, i to nie zawsze, matka wyjechała do sanatorium. Staruszce chłopcy łatwo wmówili, że wszystko jest w porządku.

Na widok ojca Leszek zbladł i spytał:

— Czy pogodziłeś się z mamą?

Potem nie powiedział już ani słowa, spokojnie zebrał swoje rzeczy i wyszli razem.

„To mnie zmyliło — myśli Werner, usiłując jedną ręką rozerwać nową paczkę papierosów. — Byłem pewien, że Leszek zastanowił się, przemyślał wszystko, że ma dość objania się po cudzych mieszkaniach i woli wrócić do domu, mimo iż jego warunek nie został spełniony. Był opanowany, zachowywał się naturalnie, słuchał z uwagą moich argumentów. Bo dopiero wtedy usiłowałem mu wytłumaczyć...”

Jakiś samochód wyprzedził wolno jadącą syrenę i zahamował ostro na zakręcie. Zgrzytnęły hamulce, zapiszczały opony.

Э»

131

Werner zatrzymał wóz, opuścił boczną szybę, głęboko wciągnął chłodne, wilgotne powietrze.

;•■■ Ai

...W pewnym momencie Leszek idący spokojnie obok ojca wyrwał nagle ramię, które Werner przytrzymał, i skoczył na jezdnię. Doktor do dziś nie wie, czy chłopiec chciał ponownie uciec, czy... Usłyszał tylko straszliwy pisk hamulców, krzyk nadbiegających ludzi. Leszek zniknął mu z oczu. Potem niewiele pamiętał, wiedział tylko, że blady, przerażony kierowca usiłował się tłumaczyć, że to nie jego wina, że chłopak wyskoczył znienna, że nie można ciężkiego, załadowanego wozu zatrzymać w jednej sekundzie, potem wszystko zagłuszyła syrena karetki pogotowia.

Leszek przeleżał w szpitalu blisko pół roku, miał poza ogólnymi obrażeniami i szokiem paskudne, skomplikowane złamanie prawego podudzia z przebicciem, przeszedł dwie operacje, noga zrosła się, ale została krótsza o parę centymetrów.

Tylko młodość potrafi być taka zawzięta, taka nieprzejednana, zarówno w miłości, jak w nienawiści. Od tamtych wypadków minęły trzy lata, zdawałoby się, że czas powinien złagodzić, zatrzeć przeżyty wstrząs. Jednak Werner czuł, że upływający czas niczego nie zmienił, nic nie stepił. Przeciwnie, chłopiec stawał się coraz bardziej obcy, zamknięty w sobie, zgorzkniały. Pierwszego każdego miesiąca odwiedzał ojca, zgodził się wreszcie na te spotkania, z których ostatecznie nic nie wynikało.

„Dziś dwudziesty szósty, nie, już dwudziesty siódmy — pomyślał Werner — do pierwszego tylko cztery dni.”

Leszek przyjdzie punktualnie o piątej, usiądzie w fotelu i będzie siedział sztywny, wrogi, nieskłonny do

132

rozmowy, odpowiadając wyłącznie na pytania. Zje przygotowany podwieczorek, przyjmie bez entuzjazmu prezenty, książki, płyty, słodycze, bąknąwszy od niechcenia „dziękuję”. O godzinie siódmej wstanie, odrzuci jak zwykle propozycję odwiezienia do domu samochodem i wyjdzie, pociągając nieznacznie krótszą nogą, by znów powrócić po miesiącu i spędzić z ojcem obowiązkowe dwie godziny.

„Czemu upieram się przy tych spotkaniach? — myśli Werner. — Przecież on nie pogodził się z niczym, nie wybaczył mi, choć stosunki między mną a jego matką ułożyły się zupełnie poprawnie. Nie przeprowadziliśmy nawet rozwodu, ani mnie, ani Irenie nie zależało na tym, według prawa jesteśmy w dalszym ciągu małżeństwem. Dlaczego tak trudno zrozumieć własne dziecko? Czy to tylko kwestia uporczywości Leszka, czy nie ma w tym mojej winy?”

Z zamyślenia Werner ocknął się słysząc dziwny odgłos silnika. Coś stukało metalicznie, jakby jakiś twardy przedmiot obijał się w jego wnętrzu. Doktor wysiadł, otworzył maskę i po chwili zaklął pod nosem. Pękł pas klinowy i o dalszej jeździe nie mogło być mowy, bo jak na złość nie miał zapasowego. Od paru dni wybierał się do sklepu, by kupić niezbędne części, i stałe brakowało mu czasu.

Nie było rady, doktor zamknął samochód i dalej ruszył na piechotę.

„Przynajmniej się rozgrzeję” — pomyślał idąc szybkim krokiem w kierunku placu 1 Maja. Rzeczywiście po chwili zaczęło go opuszczać uczucie skostnienia, miłe ciepło rozlało się po plecach, nawet przemoczone nogi zaczęły się rozgrzewać.

Postanowił jeszcze przeszukać okolice Rynku i placu Solnego, i szedł w tym kierunku, gdy nagle jakiś cień wysunął się z bramy i zastąpił mu drogę. Doktor po-

133

czuł woń przemoczonego, brudnego ubrania, odór alkoholu, dawno nie mytego ciała i odruchowo cofnął się.

— Panie ładny, odpał pan parę blitów spragnionemu obywatelowi — zachrypiał przepity głos.

Doktor rozejrzał się. Uliczka była pusta, słabo oświetlona, odrapane kamieniczki wyglądały dość ponuro. Licho wie, co kryło się w ciemnych czeluściach bram zastawionych kubłami na śmieci, w głębi podwórek cuchnących kocimi odchodami i na nie oświetlonych klatkach schodowych. Nie mógł ryzykować, tym bardziej że gdzieś w mroku prawdopodobnie czaili się kumple pijaka i dyskusja z nimi mogła być niebezpieczna.

Doktor Werner sięgnął do kieszeni, gdzie nosił luzem drobne, i podał mężczyźnie dziesięć złotych.

— Coś pan, panie ładny! — zachichotał obdartus. — Na oranżadę mi pan dajesz Kościuszkę? Nie znasz pan monopolowego cennika czy jak?

Doktor Werner postąpił nagle krok naprzód, pochylił się i zajął w twarz natrętowi.
— Ładna historia, panie Lońku — powiedział. — Obiecał mi pan przecież, że już nigdy więcej, prawda?

— Co? Kto?! — wybełkotał człowiek i nagle skulił się, zmalął, rozplątał w unizonych ukłonach i pokornych uśmiechach. — Jak pragnę szczęścia, pan doktor! Nie poznałem, niedowidzę w tych cholernych ciemnościach... A zresztą o tej porze porządne ludzie dawno kimają! Gdybym przypuszczał... gdzieżbym śmiał, szanowanie panu doktorowi, najniższy sługa!

— Co to za numery, Loniek? Znów wódka i rozrób-ki? Już się nie pracuje? Znalazłem wam przecież całkiem niezłe zajęcie! — doktorowi mimo złości chciało się śmiać. Trzeba mieć wyjątkowe szczęście, żeby natknąwszy się na pijanego włóczęgę, rozpoznać w nim wdzięcznego pacjenta. Bowiem Loniek opuszczając

134

przed rokiem szpital, rozplątał się w podziękowaniach i ofiarowywał swoje usługi.

— Na wszelki wypadek — mrużył znacząco pod-puchnięte, przekrwione oczy i rozsuwał w cwaniackim uśmiechu wąskie wargi, ukazując liczne braki w uzębieniu. — Pan doktor raczy uwzględnić... Loniek może się przydać. Jakby, co nie daj Boże, limuzynkę jakiegoś łobuzy podgrandziły — do Lońka jak w dym! Loniek ma oczy, Loniek ma uszy i wie, gdzie czego szukać. A może panu doktorowi jakiegoś części potrzebne? U mnie taniej niż w sklepie! Loniek zresztą ofiarowywał swoje usługi i innym lekarzom, pielęgniarce, salowemu, trafił nawet do pracowników kotłowni.

— Świat jest cholernie nieładnie urządzone — tłumaczył — bez chodów w ogóle nie ma życia, chody to grunt!

W pierwszym rzędzie z propozycji Lońka skorzystał szpitalny palacz. Przepaliła się jakaś część pieca i za żadne pieniądze nie można było dostać nowej. Loniek usłyszawszy o tym, wniósł oczy do nieba, jakby dziwiąc się niezmiernie naiwności ludzkiej, po czym wygłosił referat na temat handlu uspołecznionego.

— Sklep nie jest od tego, żeby w nim kupować, sklep ma robić plan! A planu nie robi się na detalach po dwa złote od sztuki. Zawracania głowy na kopy, a zysk nie przeleje naparstka. Od takich kawałków jest Loniek. Sie poszuka i sie skompinuje!

Jakkolwiek poglądy Lońka na państwowy handel tylko w nieznacznej części zgadzały się z prawdą, tym razem miał rację. Palacz szukał brakującej części od dwóch tygodni, a Loniek znalazł ją w trzy dni. Poszukał i „skompinował”.

Teraz patrząc spod oka na wciąż jeszcze biadającego nad swoją pomyłką pijaczynę, Werner pomyślał, że

137

kto wie, czy przypadek nie postawił mu na drodze właściwego człowieka. Ten ludzki wrak nasiąknięty alkoholem jak gąbka, nędzarz, włóczęga bez domu, bez rodziny, mimo to szczytujący się rzekomo „lepszą” przeszłością — podobno miał skończone trzy klasy gimnazjalne — mógł się przydać. Należało tylko umiejętnie doń przemówić. Loniek panicznie bał się nawrotu choroby, choć zapewniał wszystkich, że w szpitalu czuł się jak u mamy. To trzeba było wykorzystać. A poza tym pewno nie śmierdział groszem, rzucił pracę i zarabiał dorywczo albo organizował takie „skoki”, jak ten dzisiejszy, nie udany z powodu pechowego wyboru ofiarodawcy. Pieniądze go powinny skusić.

— Słuchajcie no, Loniek — powiedział doktor surowo — widzę, że stęskniliście się za naszą białą salą. Obiecuję wam, że znajdziecie się tam jak dwa a dwa cztery, jeśli nie przestaniecie wlewać w siebie tę cholerną wódkę! Już raz skosztowaliście tego, co?

Loniek splunął zabobonnie trzy razy.

— Niech pan doktor nie mówi głośno takich słów — stęknął — i jaka znowu wóda? Dwa, trzy piwka się wypilo na głodnego i szlus! A z pracy mnie wylali... — spojrzał jakoś bokiem, niepewnie.

— Dlaczego wylali?

— Wyglądu dobrego nie miałem — uśmiechnął się bezczelnie. — Kto chce trzymać takiego, co gołym ty... o pardon... golizną świeci? Pan doktor spojrz, jak wyglądam...

— Dali wam przecież w Opiece buty, ubranie... — wtrącił doktor, ale Loniek mu przerwał z oburzeniem:

— Oj, panie doktorze, jak pragnę zdrowia, czy jest coś wiecznego na tym świecie? Ubranko dawno spisane na straty!

— To znaczy przepite w knajpie?

138

— W jakiej znowu knajpie? Pan doktor ma dziś humorek, że tylko do „Przekroju” posłać! Pan zna taką knajpę, gdzie by Lońka posadzili za stolikiem? Kopa w krzyże i wont!

Przepraszam — zmienił ton na proszący — pan doktor jeszcze palący? Tak się pytam, bo teraz ludzie powariowali z tym rzucaniem papierosów...

Werner wyjął paczkę giewontów, poczęstował Lońka i sam zapalił.

Obdartus podrapał się w obrośniętą ciemnym zarostem szczękę i mrużąc chytrze oczki, powiedział:

— Czy pan doktor nie nastreczyłby mi znowu jakiegoś zajęcia? Już mi nosem wyłazi grzebanie w śmietnikach i zbieranie złomu.

— A co byście chcieli robić?

— Chciałbym być za palacza — odparł szybko Loniek — lubię ciepło — dodał marząco.

— Wiosna idzie, wygrzejecie się dosyć, a zresztą zobaczymy — mruknął doktor — na razie moglibyście zarobić... — urwał i zastanowił się, czy zaproponować Lońkowi pieniądze, czy coś z ubrania.

„Co za różnica — zdecydował w końcu — i jedno, i drugie przepije”.

— Słuchajcie no, Loniek — powiedział głośno — potrzebuję waszej pomocy, trzeba kogoś odszukać... Dostaniecie dwieście złotych, jeśli uda wam się coś konkretnego wywąchać i jeśli nie na darmo chwaliliście się swoim nosem.

W oczkach Lońka pojawił się błysk chciwości, ale zaraz zniknął.

— Co to znaczy „konkretnego”? — skrzywił się. — Czy ja mam faceta palcem wskazać, czy przytargać panu doktorowi do chałupy?

— Nie błażnujcie! — sarknął Werner. — Jeśli wam się powiedzie, pomyślimy o jakimś zajęciu dla was.

139

— Niech będzie. No to do rzeczy. Kto to jest? Kobita? — cwaniacki uśmiech zwięził i tak małe oczka.

— Zwariowaliście?! — krzyknął Werner.

— Sza! Po co robić tyle krzyku? Błacharze cholernie nie lubię nocnych hałasów.

— Za dużo gadasz, Loniek — powiedział surowo Werner. — Zatrzaśnij się i słuchaj. Sprawa jest taka...

W miarę opowiadania twarz Lońka robiła się coraz smutniejsza, widać pojął, że obiecanych dwustu złotych nie da się zarobić bez wysiłku.

— Ładny chłopak! ■— westchnął chowając fotografię Stefana. — Oj, ta młodzież! Co jego gówniarza obchodzi, że mamusi i tatusiowi zmartwienia narobił? Przepraszam bardzo — spłoszył się nagle — czy to może pana doktora synek?

— Nie.

— Całe szczęście. Ja panu doktorowi coś powiem. Teraz jest dobra pora, teraz wszyscy siedzą na melinach. Ja polecę w takie różna parę miejsc i coś niecoś się przewiem. Pan doktor

poczekaj... tylko w tym paletku... — zafrasował się nagle. — Już wiem! Pan podejdzie w Rzeźniczą, na rogu koło owocarni jest pusty dom. Lokatorów przenieśli tam, gdzie komfort, a chałupę będą remontować. Pan doktor poczeka sobie w bramie, nie jest przechodnia, sucha, nerezek nie przewieje.

— Dobra. Ale słuchaj, no, Loniek, jeśli wyjdę przez ciebie na pajaca... marny twój los!

— Oj, pan doktor dziś naprawdę! Pan nie zna Łońka czy co? Moje słowo starczy w Orsie za dwa podpisy.

— No to leć.

_ Oj, szefie, tak na sucho? A zaliczka?

— Gdybym ci dał zaliczkę, już by cię moje oczy nie oglądały-

140

Loniek westchnął, nasadził głębiej zmiętoszony kapelusz i powiedział z wielkim żalem:

— Najgorzej kiedy jeden człowiek nie wierzy drugiemu człowiekowi. Przecie ja bym dla pana doktora popracował całkiem darmo, za samą wdzięczność, słowo uczciwości!

Zniknął szybko, tak szybko, jakby wsiąkł w mur, przy którym rozmawiali.

Werner zawrócił i poszedł w kierunku ulicy Rzeźniczej. Odnalazł narożną kamienicę, ale wbrew zapewnieniom Łońka nie mógł schronić się w bramie, była na głucho zabita gwoździami. Wtulił się więc w wyłom muru, by choć plecy osłonić przed podmuchami wiatru, i czekał.

Czas włókł się niemiłosiernie wolno. Deszcz wprawdzie ustał, ale oziębilo się znacznie i wiał zimny, porywisty wiatr.

„Gdybym wiedział, co mnie czeka dzisiejszej nocy!” — westchnął w duchu Werner i pomyślał z tęsknotą o pozostawionej w domu ciepłej, nieprzemakalnej kurtce, grubych, turystycznych butach i sportowej czapce.

Zerknął na zegarek. Było kilka minut po czwartej, zbliżał się świt. Na wschodzie niebo utraciło atramentową czerń, pojaśniało i przybrało szary odcień. Miasto wyglądało jak przysypane popiołem, kontury drzew i budynków rozplywały się w burej poświacie.

Doktor sięgnął po papierosy i przekonał się, że zostały mu tylko dwa, a przecież nie tak dawno otworzył świeżą paczkę. Kiedyż Loniek zdążył je ściągnąć? Na otwarcie kiosków trzeba poczekać prawie dwie godziny, a zresztą i tak nie mógłby odejść, nie chciał rozminąć się z Łońkiem.

Błogosławił teraz w duchu pęknięty pas klinowy, który zmusił go do opuszczenia samochodu.

Gdyby nie

141

defekt, nie spotkałby Łońka, a tak... może rzeczywiście uda mu się coś wywąchać. Pijaczyna z niego, żadnego zajęcia nie utrzyma, żyje ze sprzedaży złomu, butelek, szmat, w sezonie znosi węgiel do piwnic, kopie ogródki, pewno i trochę kradnie, jak się nadarzy okazja, ale drze mi w nim jakieś resztki uczciwości, umie być wdzięczny i uczynny, a nawet stać go na bezinteresowność. Może to i prawda, że miał kiedyś lepsze życie? Gdy jest trzeźwy, wyraża się poprawnie, nie klnie, jest grzeczny dla kobiet, w szpitalu wszyscy go lubili. I co za cwaniak! Niewykluczone, że wywęszy coś w sprawie małego Lewandowskiego, powiedział mu o odznaczeniach, to mogło stanowić jakąś wskazówkę. Tylko o pistolecie zamilczał, Loniek spłoszyłby się jak koń na widok wilka.

Zegar na pobliskim ratuszu wybił jakąś godzinę. Za kwadrans piąta. W chwilę potem rozległ się zgrzyt pierwszych tramwajów, wyjeżdżających z zajezdni na dzienne kursy, zaczęły szczerkać metalowe wózki roz-nosiciele mleka, ulicami sunęło coraz więcej samochodów, na chodnikach pojawili się pierwsi przechodnie. Niektórzy spoglądali z ciekawością na porządnie ubranego mężczyznę wtulonego w załom muru, ale szli dalej, przynaglani własnymi sprawami.

Dochodziło wpół do siódmej, gdy Werner posłyszał szybkie kroki. Wracał Loniek, a sądząc z triumfującego uśmiechu, nie wracał z pustymi rękami.

— Oj, szefie! — zachrypiał. — Zlatałem się jak pies, nóg nie czuję, gardło mam jak Sahara, a kioski z piwem zamknięte. Też porządki!

— Nie pajacuj! Masz coś?

— Sie wi! Pan doktor nie zna Lońka? Ktoś spotkał chłopaka wczoraj późnym wieczorem na cmentarzu Sw. Rodziny.

— Gdzie?!

142

— Oj, pan doktor niby stary wrocławiak, a miasta nie zna. To jest cmentarz między wałami Odry a ulicą Monte Cassino. Sępolno, kapewu?

— Kto go spotkał?

— A takie dwa kindry...

— Rozmawiali z nim?

— Jeśli pan doktor lubi delikatne słówka... — Loniek skrzywił usta w szyderyczym półuśmiechu.

— Słuchaj no, Loniek — doktor chwycił swego informatora za klapy marynarki i potrząsnął nim mocno — jeśli chłopakowi coś się stało...

Loniek z miną niewiniątka westchnął ciężko.

— Co pan doktor chce ode mnie? Posłów nie wieszają... Oni sami panu powiedzą, może nawet mają coś do odstąpienia?

— Co takiego?

Loniek wcisnął głowę w ramiona.

— Ja nic nie wiem, ze mną nie chcieli gadać, ale na mój rozum, jak moniaki zobaczą, to im się język rozwiąże.

— No dobra, idziemy.

— Powoli — Loniek odsunął się na bezpieczną odległość i otrzepał starannie klapy marynarki, która zresztą wcale nie zasługiwała na taką dbałość — zaprowadzę pana, ale... — zrobił wymowny ruch ręką.

— Ani grosza! Najpierw muszę się przekonać, co warte te twoje wiadomości. Chodźmy.

Loniek posłusznie ruszył za doktorem, potrząsając głową i mrużąc pod nosem.

— Co za człowiek! Bez żadnego wyrozumienia! Tyle godzin o suchym pysku. Żeby choć małe piwko!

Inżynier Lewandowski siedział przy telefonie i nie spuszczał oka z tarczy zegara. Aż drżał cały z nie-

143

cierpliwości, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że szósta rano nie jest odpowiednią porą do przeprowadzania rozmów, nawet w tak ważnej sprawie. Postanowił poczekać jeszcze pół godziny.

Po powrocie zastał mieszkanie jako tako uprzątnięte, a żonę spokojniejszą, choć ledwie trzymającą się na nogach ze zmęczenia. Mimo to nie zdołał jej namówić, by się położyła choć na godzinę, by odpoczęła. Nie nalegał, rozumiał, że woli kręcić się po mieszkaniu, spełniać codzienne czynności, jakby nic nie zaszło, niż leżeć z otwartymi oczyma i rozmyślać.

Gdy mył się, golił i przebierał zrzucając z ulgą zabłocone i przemoknięte ubranie, Anna przygotowywała jak zwykle śniadanie, z tą tylko różnicą, że zamiast herbaty naląła mu dzisiaj szklankę mocnej, prawdziwej kawy.

— To cię postawi na nogi — powiedziała.

■ — Monika śpi? — spytał, siadając do stołu. Żona skinęła głową.

— Co jej powiemy? Nie powinna znać prawdy.

— Tak.

— Myślę, że najlepiej wytłumaczyć jej nieobecność Stefka nagłym wyjazdem. Jeśli będzie pytać, powiedz, że zachorowała ciotka Wiktoria i wezwała go depeszą. A swoją drogą trzeba zatelegrafować do ciotki. Kto wie, może Stefan rzeczywiście pojechał do niej?

— Wysłałam depesze — odparła — do ciotki, do Bronków i do Felka. Pilne. Odpowiedź powinna przyjść przed dziewiątą.

A z Moniką sam porozmawiaj — dodała sztywno — jeśli uważasz, że to takie ważne... Wstała, podeszła do kuchenki i zaczęła bez potrzeby przestawiać na niej garnki i rondelki. Inżynier Lewandowski nie odezwał się więcej, nie chciał drażnić żony, widać w dalszym ciągu była prze-

144

konana, że ucieczka Stefana miała związek ze stosunkiem ojca do Moniki.

— Nie było żadnych telefonów? — spytał po chwili.

— Nie. To znaczy, owszem, dzwonił doktor Rajewski, ten, który w nocy rozmawiał ze Stefanem. Pytał, czy nie mamy wiadomości.

Inżynier wstał od stołu.

— Nie pojedę dziś do pracy — powiedział. — Na szczęście mam kilka dni zaległego urlopu. O ósmej pójde do szkoły, a tymczasem... Z kim Stefan się bliżej przyjaźnił? Znam tylko Romka Kaweckiego... Może ty wiesz coś więcej?

— Przygotowałam ci kartkę z nazwiskami i telefonami, leży na biurku — powiedziała żona, pilnie wycierając szklanke.

Spojrzał na nią z podziwem. Mimo zdenerwowania, mimo przeżytego wstrząsu, Anna pamiętała o wszystkim, zachowała po prostu zdumiewającą trzeźwość i opanowanie,

— To dobrze — odparł — zaraz będę dzwonił, może któryś z tych chłopców wiedział coś o zamiarach Stefka, może potrafi nam pomóc.

— Musisz poczekać — przerwała mu żona — jest dopiero parę minut po szóstej, ludzie jeszcze śpią.

— Przyznał jej rację, mimo że aż go ponosiło, by coś robić, działać, nie siedzieć beczynn timer. Z uderzeniem szóstej trzydzieści nakręcił numer Romka. Telefon odebrał sędzia Kaweck i, po krótkich wyjaśnieniach przywołał do aparatu syna, nie zapomniawszy wyrazić swego zdumienia i współczucia.

Romek przyjął wiadomość o zniknięciu Stefana z wielkim przejęciem.

— Ja... ja powinienem był przewidzieć, wziąć pod uwagę taką możliwość... — powiedział. Jąkał się i plątał, wreszcie inżynier przerwał mu.

16 — Telefon zaufania

III

— Może lepiej będzie, jeśli się spotkamy. Przez telefon gorzej się rozmawia.

— Zaraz będę u państwa — zgodził się skwapliwie Romek.

Po dziesięciu minutach zjawił się blady i zdyszany. Mnąc w rękę brzeg skafandra, opowiadał:

— Stefan nie powiedział mi prawdy, twierdził, że chodzi o syna państwa znajomych. Z początku mu uwierzyłem, przecież on nigdy nie kłamał, ale potem... zauważyłem, że ostatnio był zmieniony, podniecony, niespokojny, gdyby ta sprawa nie dotyczyła go osobiście, nie przejmowałby się tak... Więc pomyślałem, że pewno chodzi o niego, że może ktoś mu coś nagadał. Nie nalegałem, udawałem, że mu wierzę, on... on chyba tego chciał!

— No, dobrze — przerwał inżynier — ta sprawa jest dla nas jasna. Stefanowi ktoś powiedział, że nie jest naszym rodzonym dzieckiem, i to był dla niego szok. Ludzie różnie reagują na wstrząsy — Stefan wybrał ucieczkę z domu. Wiem, dlaczego uciekł, ale... Czy on nic nie wspominał o swoich zamiarach? Czy nie powiedział czegoś, co mogłoby nas naprowadzić na ślad? Nie domyślasz się, dokąd mógł pójść? Przecież byliście przyjaciółmi...

proszę cię, zastanów się, pomyśl, przypomnij sobie, czasami kilka słów może być cenną wskazówką!

Inżynier miał wielką ochotę spytać, czy Stefan nie wspominał o Monice, czy nie tutaj należało szukać przyczyn jego dziwnego zachowania, ale... wstydził się.

Patrzył tylko na Romka i czekał na to, co on powie.

Chłopak milczał długo, widać zbierając myśli, wreszcie potrząsnął głową.

— Nie, proszę pana, nic sobie nie przypominam, przecież on ze mną wcale nie mówił o ucieczce, opo-

146

wiadał mi o jakimś obcym chłopcu, który rzekomo prosił go o radę.

— A coś ty mu poradził? — spytała pani Anna, która do tej pory nie odzywała się, stojąc przy drzwiach.

— Ja... ja powiedziałem mu, że trzeba zdobyć dowody, że trzeba mieć pewność — Romek spuścił oczy, poczerwieniał, nie chciał patrzeć na rozbitą szufladę, którą zauważył natychmiast po wejściu do pokoju.

Miał uczucie, że to on popchnął Stefana do wyłamania szuflady biurka. Jego zakłopotanie i rumieńce pani Anna zrozumiała inaczej. Odniosła wrażenie, że Romek wie więcej, niż chce powiedzieć, że kryje przyjaciela przez źle pojętą lojalność.

— Słuchaj! — krzyknęła tracąc panowanie. — Musisz nam powiedzieć wszystko! Nie wolno ci niczego ukrywać, on... Mogło się stać coś strasznego, Stefan zabrał ze sobą pistolet ojca i naboje, rozumiesz?!

Obaj, inżynier i Romek, równocześnie porwali się, z miejsc.

— Wiedziałaś o tym? — krzyknął mąż.

— Pistolet? — powtórzył Romek.

— Wiedziałam — pani Anna zwróciła się do męża — przecież sprzątałam pokój, biurko, nie jestem ślepa! Siedziałam przez całą noc w tym fotelu i drżałam, że zadzwonią z milicji, z pogotowia, ze szpitala...

— Uspokój się — powiedział inżynier Lewandowski. — Nie trzeba myśleć o najgorszym. Sądzę, że Stefan zabrał pistolet nie dlatego, że chciał... — urwał, nie był w stanie wykrztusić tego słowa. — Byłem przecież na komendzie, rozmawiałem z dyżurnym. On mnie uspokoił. Sądzi, że Stefan chciał mi zrobić na złość, zademonstrować coś, czego nie mogę zrozumieć. Oprócz pistoletu zabrał jeszcze moje odznaczenia wojenne i — rzucił na stół puste pudełko.

»

147

r.. — Stefan chciał zrobić panu na złość?! — wykrzyknął Romek. — To niemożliwe! On mówił o panu takie rzeczy... był dumny, zawsze twierdził, że pan... że pan jest, był...

Umilkł, nagle zdał sobie sprawę, że to, o czym mówił, należało do przeszłości, że ostatnio Stefan coraz rzadziej wspominał bohaterską młodość ojca, że na pewne sprawy zaczął patrzeć krytycznie, sądzić je ostrzej, że stał się nadmiernie wymagający, nie uznawał żadnych słabości, żadnych kompromisów.

— Zdaje się, że dobrze znasz Stefana — usłyszał głos pani Lewandowskiej — pewno wiesz o nim więcej niż my, rodzice. Jak myślisz, co go doprowadziło do takiego stanu, że wybrał ucieczkę z domu? Bo wciąż mam niejasne uczucie, że wstrząsnęła nim nie tylko ta... wiadomość. Że to musiała być ostatnia kropla!

Romek spojrzał na matkę Stefana. Znał ją od wielu lat, uważał, że jest mądra i dobra, wszystko rozumiała, czasem nawet bez słów, Stefan traktował ją jak przyjaciółkę.

— Myślę, proszę pani, że Stefan to zrobił, bo... bo on już taki jest! Bo on naprawdę bardzo was kocha.

Zerwał się z krzesła i wybiegł z pokoju potracając meble. Po tym, co powiedział, nie mógł ani chwili dłużej zostać z tymi ludźmi. Przecież to było absurdalne! A jednak miał uczucie, że powiedział prawdę. Jakiś czas oboje rodzice siedzieli bez słowa.

Pierwszy przerwał milczenie inżynier Lewandowski:

— No cóż, niewiele dowiedzieliśmy się od Romka. Sądzę, że miał najlepsze chęci, chyba niczego nie zataił. Jedno jest tylko dla mnie niejasne: co miały znaczyć te słowa o ucieczce i o miłości? Więc Stefan nas porzucił, wbił nam po prostu nóż w serce tylko dlatego, że nas kocha? Przyznam ci się, że czasami zupełnie nie rozumiem tych młodych! Nie jestem "118

■

zgrzybiałym starcem, a jednak ich nie rozumiem. Tak jakby nie dzieliło nas zaledwie jedno pokolenie, lecz cała epoka!

Pani Lewandowska spojrzała na czerwone pudełko leżące na stole. Było otwarte.

— Wydaje mi się, że wiem, co miał na myśli Romek — powiedziała cicho. — To są oczywiście tylko przypuszczenia, ale... Dlaczego Stefan zabrał tylko odznaczenia wojenne, dlaczego zostawił późniejsze? Nie zrobił tego bez powodu ani przez zapomnienie...

— Oczywiście że nie! Na pewno miał powód, tylko jaki? Ja w każdym razie tego nie pojmuję.

Pani Anna ukryła twarz w dłoniach i powiedziała cicho:

— Nic o nim nie wiemy. Absolutnie nic!

Skrzypnęły otwierane drzwi, rozległ się tupot drobnych nóżek. Monika różowa, potargana, z oczkami na-puchniętymi od snu, wkroczyła do pokoju i oznajmiła:

— Wyspałam się.

Matka schyliła się i pogładziła czarny, rozwichrzony łebek. Mała podniosła oczy, przyjrzała się uważnie ro-dziciom i spytała:

— Mamusiu, czemu ty płakałaś? Czy dlatego, że Tef cia nie ma w domu?

— Skąd wiesz, że go nie ma? — zaniepokoił się ojciec. Kto wie, kiedy Monika wstała, co zdążyła usłyszeć.

— Byłam u niego w pokoju — oznajmiła córka — łóżko puste, teczka leży na biurku. Gdzie jest Tefcio?

Ojciec pochylił się, podniósł dziewczynkę i kołysząc ją w ramionach, zaczął mówić:

— Widzisz, córuniu, Stefan musiał wyjechać... nagle. Zachorowała babcia Wiktoria' i Stefan pojechał do niej. Dlatego mamusia płakała... mamy wielkie zmartwienie.

149

— To dobrze — oznajmiła zupełnie niespodziewanie Monika.

— Jak to: dobrze? — zdumiał się ojciec. — Głuptasku, co ty wygadujesz? Dobrze, że babcia zachorowała?

— Nie — odparła z powagą dziewczynka — dobrze, że Tefcio pojechał do babci Wici. On ją bardzo lubi, może tam nie będzie smutny.

Rodzice wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Dlaczego tak mówisz? — spytała matka. — Skąd wiesz, że Stefek był smutny! Czy ci coś mówił, może coś słyszałaś?

Mała pokręciła przecząco główką.

— Nic nie mówił. Ale ja wiem. Nie rysował mi bajek. Zapomniał naprawić wózek. Stał przy oknie i patrzył. Kiedy on wróci?

— Nie wiem, Monisiu, to będzie zależało od... wielu rzeczy. Ale wróci i już więcej nie będzie smutny. Na pewno!

— To dobrze! — Monika przytuliła policzek do twarzy ojca i oznajmiła głośno — jestem głodna.

...dlaczego tak trudno poruszyć ręką? Dlaczego głowa jest ciężka i pęka z bólu? Wysznięte wargi, sko-łowaciały język, w ustach wstrętny, gorzki smak. Dlaczego?

Wreszcie udaje się unieść dłoń, palce sztywno, niezgrabnie suną po czymś szorstkim, kłującym, natrafiają na zimną, twardą przeszkodę.

Rozewrzeć powieki, spojrzeć, zobaczyć! Jest coś szarego nad głową... niebo, sufit czy jeszcze jakaś inna rzecz? To zimne pod palcami ma brudnożółty, nijaki kolor, zresztą wszystko pograżone jest w burym półmroku, nie można dokładnie stwierdzić, rozeznąć, co

150

to za miejsce, gdzie znajduje się ta potworna huśtawka, wznosząca się i opadająca razem z ciałem obolałym, jakby cudzym.

Nareszcie nieznośny kołowrotek zatrzymał się, można spokojnie patrzeć. To jest izba. Nie pokój, a właśnie izba, brudna, zaniedbana. Dawno nie myte okno, jedna szyba zaklejona papierem, na parapecie jakieś graty. Na środku stół, obok kulawy stołek, wyplatane krzesło, wygnieciony, obity spłowiałym, niegdyś zielonym aksamitem fotel. Pod ścianą stos książek i gazet. Na gwoździach jakieś łachy. W kącie firanka na drucie, trochę uchylona ukazując żelazny piecyk z długą rurą. Na płycie garnki, obok wiadro, miednica na stołku.

Wzrok wędruje od jednego przedmiotu do drugiego. Gdyby nie ten przejmujący ból głowy, można by usiąść, wstać, rozejrzeć się. Nie, lepiej leżeć bez ruchu, każde uniesienie głowy uruchamia ukryty mechanizm poruszający huśtawkę. Lepiej leżeć spokojnie, łóżko jest nawet porządne, żelazne, z mosiężnymi gałkami, wygodne, choć pewno bardzo stare. Dziś już nikt nie produkuje podobnych łóżek. Pod głową mała poduszka, na nogach szorstki, brązowy koc. Wzrok wędruje ku oknu. Trochę pojaśniały brudne szyby. Tak, to słońce! Nareszcie! Po tylu dniach niepogody — słońce.

Coś szeleści za odrapanymi drzwiami, słychać ciężkie szuranie, piszczącą nie nasmarowaną zawiasy. Ktoś idzie.

Prędko zamknąć oczy, udawać śpiącego. I tak trzeba będzie wyjaśniać, tłumaczyć, opowiadać... ale jeszcze nie teraz, za chwilę, później.

Przez przymrużone rzęsy też można obserwować.

Drzwi otwierają się i do wnętrza wchodzi jakoś niezgrabnie, bokiem, wysoka, mocno przygarbiona postać.

151

Przez chwilę widać tylko plecy odziane w zniszczoną kufajkę i ręce obciążone mnóstwem zawiniątek.

To mężczyzna, bardzo stary mężczyzna. Ale nie jest sam. Coś mówi... Do kogo on przemawia tak czule, tak miękko? Nikogo nie widać. Ach, coś białego smyrnęło pod stół. To kot. Teraz podszedł do starego człowieka, ociera się przymilnie o jego nogi, mruczy, potem siada i z wielkim zapałem zaczyna lizać sobie prawą łapę.

— Widzisz go, jaki porządny — mruczy stary układając na stole przyniesione paczki. — Tak, tak, masz rację, Maciusiu, przed śniadaniem trzeba się umyć. Czekał, zaraz dostaniesz swoją porcję. Nie udawaj, że cię to nie interesuje, przecież po to tylko przyszedłeś, co? Znam ja cię, łakomczuchu!

Z przepaścistej kieszeni kufajki wyłania się litrowa butelka mleka. Kot przerywa toaletowe zabiegi i wodzi skupionym spojrzeniem za człowiekiem, który wydobywa z kąta miseczkę, odpięczętowuje flaszkę i nalewa biały płyn. Po chwili słychać cichutkie mlaskanie, kot przysiadł nad miseczką i pije przymrużywszy oczy z rozkoszy.

— Dobre mleko, co? — mruczy stary rozwijając niezgrabnie przyniesione paczki. — Pij, pij! My też będziemy dzisiaj jedli dobre śniadanie, mleko, bułki z masłem, jajka. No, co tak wytrzeszczasz gały? Dziwisz się, że powiedziałem — my? Głupi jesteś, nic nie widzisz poza swoją porcją mleka. No, popatrz, popatrz, kto tam leży na łóżku? Aha, dziwisz się. No, pewno, to coś niezwykłego, prawda? Stary wariat ma dziś gościa, wprawdzie gość jeszcze śpi, ale wnet się obudzi. Dostanie gorącego mleka, dużo mleka, to mu dobrze zrobi, przemókkł, zmarzł, może się przeziębic. A potem bułkę z masłem i jajecznicę. A może wolałby sadzone? A może na miękko? Jak myślisz, Maciusiu, co będzie

152

lepsze — jajecznicą czy sadzone? Bo z tym gotowaniem na miękko nie warto ryzykować, i tak będą twarde! Naprawdę, Maciusiu, nie mogę tego zrozumieć, wkładam jajko do wrzącej wody, czekam trzy minuty i nigdy nie mogę utrafić... Celina zawsze odmawiała trzy Zdrowaśki i jajeczka były w sam raz.

Kot oblizuje się nad pustą już miską i zaczyna pomrukiwać z zadowolenia.

Stary krząta się bezustannie, wyciąga z kąta arkusz białego papieru, nakrywa nim stół.

— Będzie wytwornie, prawda, Maciusiu? — zagaduje do kota — dobrze, że mam dwa garnuszki i dwa talerzyki, tylko obrusa ani, ani... To jakiś delikatny chłopak. W domu pewno jada na obrusie, może na stole stoją kwiaty, porcelana błyszczą, pachnie kawa... Wiesz, Maciusiu, że ja kiedyś tak samo... Eee, skąd mógłbyś wiedzieć, masz dopiero trzy lata, a to było tak dawno... Czekaj, muszę zobaczyć, czy nasz gość się nie obudził.

Skrzypi podłoga, słychać ostrożne, stąpnięcie, ciężki, świszczący oddech.

— Śpi, Maciusiu, śpi sobie smacznie. Niech śpi, niech odpoczywa, poczekamy na niego ze śniadaniem. Biedaczek! Taki był sponiewierany, mokry, obłożony. Dobrze, że sen mam lekki, że słyszałem... okropnie stękał i jęczał. Gdyby dłużej poleżał na tym deszczu i zimnie, zapalenie płuc gotowe! Czekaj, zobaczymy, czy nie ma gorączki...

Szarstka dłoń na czole, twarde palce muskają łagodnie policzek, odsuwają opadnięty kosmyk włosów.

— Nie, nic nie będzie., Wiesz, Maciusiu, dlaczego on tak twardo śpi? Powiem ci, ale w sekrecie! On za dużo wypił! Kiedy w nocy niosłem go do domu, poczułem od niego alkohol. Dziwne, nie? Chłopaczek delikatny, inteligentny, to widać. Pewno nie przyzwycza-

153
jony... Więc w takim razie dlaczego pił? I skąd się tu znalazł, jak trafił na to pustkowie? Jak myślisz, Maciusiu? To przecież nie łobuz, nie chuligan... Leżał w samych spodniach i koszuli. Ktoś zdjął z niego marynarkę, płaszcz, buty... Kto to zrobił? Ciekawe... Nie, Maciusiu, o nic nie będziemy pytali. Zechce, sam powie, a nie powie, też dobrze. Nie obchodzą nas cudze sprawy, prawda? Chodź, przyniesiemy tymczasem wody.

Znów skrzypią przeraźliwie otwierane drzwi, kroki oddalają się, cisza. Teraz dopiero wszystko można zrozumieć, wraca pamięć, wracają zdarzenia minionej nocy.

...cmentarz, grób Ponurego, zawiniątko ukryte w wykopanej jamie, jakieś cienie czające się w zaroślach, bójka, szarpanina, ktoś wykręcił mu rękę, ktoś drugi podciął nogi, potem niesiono go długo, dokąd, nie wiadomo, widział tylko niebo nad sobą, słyszał szum płynącej w dole rzeki, potem była jakaś szopa, worki po ■cemencie, całkiem wygodnie, siedział na tych workach, tamci otworzyli butelkę, nie widział w półmroku ich twarzy, pili i jemu podsunęli flaszkę, nie miał ochoty pić, śmiali się, zmusili go do przełknięcia paru łyków, to było wstrętne, najtańsze wino, potem przyszli dwaj inni, coś mówili szeptem, wszyscy się śmiali, mieli nową butelkę, znów pił, trochę ze strachu, trochę dlatego, że na wszystko machnął ręką, a niech tam, niech już będzie to najgorsze, wszystko jest lepsze od tamtych słów, od tamtych dni, wreszcie stało się z nim coś dziwnego, najpierw było wesoło, lekko, potem w głowie zaczęło się mącić, w uszach szum, nogi jak kłody, wypchnęli go z szopy, znów gdzieś prowadzili, trochę wlekli, bo się zataczał, popychali, poczuł przej-

154

snujące zimno, upadł, a potem był już tylko cudowny chłód kropli rozpryskujących się na rozpalonej twarzy, śniła mu się fontanna w pięknym parku, róże kwitnące- w wodzie[^] dlaczego w wodzie, przecież róże nie...

Skrzypią drzwi, ktoś stęka, sapie, kaszle. Wchodzi stary człowiek, niesie wiadro z wodą, przed nim postępuje godnie biały kot z uniesionym w górę ogonem.

— Maciusiu, stary grzmot ze mnie, nie uważasz? Jedno małe wiaderko, a i to zadyszka łapie. To z papierosów, wiesz? Eee, co ty tam wiesz, nie paliłeś przecież nigdy, prawda? No i dobrze, najgorzej się przyzwycząć...

Tego nie można słuchać bez uśmiechu, więc nie ma go udawać senności, trzeba otworzyć oczy, unieść głowę i powiedzieć zwyczajnie, jakby nigdy nic:

— Dzień dobry panu.

Śniadanie zjedzone, mleko wypite do ostatniej kropli, bardzo smaczne było gorące mleko. Stary dolewał i zachęcał do picia. Zdaje się, że dla niego prawie nic nie zostało.

W domu Stefan nie chce pić gorącego mleka; z łaski, tylko dlatego, że mamie na tym zależy, wypija szklankę zsiadłego wieczorem przed snem. Ale teraz oblizuje się niczym kot nad pustą miską.

— Smakowało? — pyta stary i dodaje mrużąc filuternie czerwone, bezrzęse powieki. — Na kaca nie ma jak gorące mleko. Ale musisz coś zjeść, bułkę, jajka... Nie masz apetytu? No, dobrze, zjesz później.

Stefan rumieni się. 'Ładne musi mieć o nim wyobrażenie ten stary, dobry człowiek! Znalazł go leżącego

157

w krzakach, pijanego, tak, nie ma co ukrywać, pijanego do nieprzytomności!

— Proszę pana — zaczyna niepewnie. — Ja sam nie wiem, jak to się stało, ja... naprawdę pierwszy raz... i wcale nie miałem ochoty, pan nie wie...

Stary przerywa mu ruchem ręki.

— I nie chcę wiedzieć. Twoja sprawa, nie moja. Ja nie ksiądz, żebyś się przede mną spowiadał. Ale myślę, że masz dość... na długo, co?

— O tak! — wybucha Stefan. — To było wstrętne, ohydne! A jeszcze teraz... — urywa i odruchowo przykładą dłoń do pulsujących skroni.

— Boli? — pyta stary i nie czekając na odpowiedź znika za firanką.

Po chwili podaje Stefanowi szmatę umoczoną w zimnej wodzie.

„Gdyby mnie teraz mama widziała! — myśli Stefan. — Z tymi zapuchniętymi oczyma, z tym kompresem na głowie. A ojciec...” — wstrząsa nim nagły dreszcz.

Stary człowiek zrozumiał to po swojemu. Wstaje, kręci się po izbie, szuka czegoś w starej, dziurawej walizce, wreszcie podaje chłopcu szary, ciepły sweter.

— Zmarzłeś, chłodno tutaj. Nic, później rozpalimy pod kuchnią, ugotujemy obiad.

— Miau! — odzywa się spod stołu kot.

— Ty też, ty też dostaniesz obiad — uspokaja go stary. — Widzisz, jakie to mądre stworzenie? Mądrzejsze niż niejeden człowiek. Wszystko rozumie, zna mnóstwo słów, obiad, śniadanie, mleko, mysz... Czekaj, coś ci pokażę. Maciuś!

Kot wyłazi spod stołu i wyczekująco patrzy w górę.

— Maciuś, schowaj się, Klipa idzie! Kot błyskawicznie znika pod łóżkiem.

— Wyjdź, Maciusiu, Klipa już poszedł.

158

Kot wyczołguje się powoli, patrzy nieufnie, stroszy wąsy, wreszcie z radosnym miauknięciem skacze staremu na kolana.

— Klipa to taki tam głupi smarkacz, drażni się zawsze z nim, dokucza...

— Dlaczego?

— Odgrywa się na kocie za wszystko złe, co go w życiu spotkało. Żaden człowiek nie jest zły bez przyczyny, zapamiętaj to sobie!

Stefan słucha z niedowierzaniem, pierwszy raz słyszy takie opinie o ludziach. Wreszcie mówi z ironią:

— Niech to pan wytłumaczy kotu.

— Kot swoje rozumiał — uśmiecha się dobrodusznie stary. — Wie, że Klipę lepiej obchodzić z daleka, a najlepiej — chować się przed nim. A ja też wiem swoje. Klipa doznał tyłu krzywd, że nie można się dziwić jego złości do całego świata.

— A przecież pan też jest samotny, ubogi, na pewno ktoś pana skrzywdził, a jednak... — Stefan urwał zmieszany. Pięknie się zachował, nie ma co! Garbatemu nie wypomina się garbu. — Przepraszam — bąka cały czerwony.

Ale stary człowiek wcale nie czuje się dotknięty. Uśmiecha się do chłopca; wyblakłe, niebieskie oczy prawie giną w fałdach zmarszczek, rozsunięte wargi ukazują żółte, mocne zęby.

— Za co przepraszasz? — dziwi się. — Jestem samotny i żyję w nędzy, to przecież prawda. A z tą krzywdą... — macha ręką i ciągnie dalej. — Ale ja jestem stary, bardzo stary, i kiedyś miałem dobre, piękne życie, a teraz niewiele mi już potrzeba. Mam dobre wspomnienia, rozumiesz? Wspomnienia mi teraz starczą za wszystko, za ładne mieszkanie, za ciepły piec, za dobry obiad. Nie, ty tego nie możesz zrozumieć, jakie ty możesz mieć wspomnienia w twoim

159

wieku? Dla ciebie najważniejsze to, co się dzieje dziś, w tej chwili. Ale dla takiego starego jak ja... żebyś ty wiedział, jakie mam dobre, miłe wspomnienia, jak one grzeją, sycą...

— Nie wiem, czy wspomnienia mogą starczyć za wszystko — uśmiecha się sceptycznie Stefan. — Ja bym wolał prawdziwy piec, realny obiad... Przecież panu musi być bardzo ciężko, ja widzę, mieszka pan w takiej budzie, sam pan wszystko musi robić, nawet wodę nosić ze studni. A przecież jest pan dobry! Przyniósł mnie pan do domu, położył na swoim łóżku, nakarmił... Prawda! Gdzie pan spał dzisiejszej nocy?

— Ii, mnie już niewiele snu potrzeba. Podrzemię do północy, a potem więcej myślenia niż spania. Tutaj przesiedziałem — wskazał ręką na ruszony zębem czasu fotel.

— I przecież nie wiedział pan, kim jestem... Może ze mnie chuligan, może złodziej, może jeszcze coś gorszego?

Stary patrzy uważnie na chłopca wyblakłymi oczyma, twarz ma łagodną, dobrą.

— Oj, dziecko, dziecko! — mówi cicho.

Grzebie w kieszeni, wyjmuje zmiętą paczkę sportów, pociera kółko prymitywnej zapalniczki sporządzonej z łuski pocisku. Jakby zapomniał o gościu, patrzy gdzieś daleko, poza brudne okno, poza zapuszczony, nędzny pokój

— Powiadasz: mieszkam w budzie — zaczyna po chwili — mieszkam, bo chcę! Myślisz, że mnie ktoś zmuszał? Mogłem dostać miejsce w domu starców, syn się wystarał. Ładny pokój, firaneczki, obrazki, podłoga froterowana. A mnie co po tym? Poszedłem, obejrzałem, powiedziałem: nie! To nie dla mnie.

— Ale dlaczego? — dziwi się Stefan. — Miałby pan opiekę, wyżywienie, towarzystwo...

160

— Właśnie — mruczy stary — „towarzystwo"! Same grzyby spróchniałe, nic tylko różaniec klepią, o śmierci gadają, kłócą się, który starszy, który bardziej chory... A jak nikt nie patrzy, jeden drugiemu landrynki spod poduszki kradnie. Sam widziałem! — roześmiał się nagle młodym, zaraźliwym śmiechem.

Stefan mu mimo woli zawtórował.

— Nie dziw się, że wolałem tutaj... brudno tu, nędznie, wodę trzeba ze studni nosić, elektryki nie ma, do sklepu daleko, najgorzej jak siły opuszczają, jak choroba przyjdzie. Ale tu weselej, ptaki śpiewają, wiatr świszczę, słońce świeci, Maciuś mnie odwiedza, czasem Klipa zajdzie; jak jest w dobrym humorze, to i wody przyniesie, drzewa narąbie... I nikt mi za uszami nie trzeszczy! — zakończył uderzając w stół suchą, brunatną ręką poznaczoną ciemnymi plamami, oplecioną sinymi sznurami wzdętych żył. Obejrzał się wokoło, zmarszczył brwi, pokiwał głową.

— Brudno tu, prawda. Trzeba by okno umyć, pajęczyny omieść, przecie wiosna idzie. Ale jakoś sił nie mam. Szkoda, że akurat teraz do mnie trafiłeś... Bo za jakieś parę dni ho! ho! nie poznałbyś mojej budy! Anka przyjdzie, zrobi porządki, może nawet ściany pobielimy,

zobaczysz wtedy, jak tu będzie elegancko. Teraz jakoś dawno nie była, pewno nauki ma dużo...

— Kto to jest Anka? — spytał Stefan.

Stary ożywił się, oczy mu błysnęły, zaczął mówić szybko, radośnie:

— To moja wnuczka, najstarsza. Za dwa lata kończy medycynę, lekarką będzie. Co to za dziewczyna, mówię ci, migdał nie dziewczyna! Do mojej Celiny podobna. Chłopcy za nią oczy wypatrują, a ona żadnego nie chce. Zawsze mówi: „poczekaj, dziaduniu, niech ja tylko studia skończę, zaraz zabiorę cię do siebie. Wezmę posadę na wsi albo w małym miasteczku i będzie-

11 _ Telefon zaufania

161

my razem gospodarzyć". Dobra, dobra dziewczyna... Aldona już nie taka, w matkę się podała, imię ma głupie i fiu-fiu w głowie. Ale też nie można powiedzieć, zła nie jest. Julek... ten to znowuż durny jakiś... dziadka się wstydzi. Podszedłem kiedyś na ulicy... z kolegami stał, zagadałem... plecami się obrócił. „Kto to?” — spytał któryś. „Nie wiem, powiada, jakiś dziad”. No, ale on jeszcze młody, głupi, ledwie mu na siedemnasty rok idzie. Podrośnie, to przecież zmądrzeje. Prawda, Maciusiu?

Stefan potarł palcami czoło. To po prostu nie mieści się w głowie!

— Więc pan ma rodzinę, syna, wnuki, a żyje pan jak... — chciał powiedzieć „dziad”, ale wstrzymał się, zastanowił — jak pustelnik? — dokończył. — Czy nikt pana nie odwiedza, nikt nie pomaga?

Staremu nagle poczerwieniały powieki, odwrócił szybko głowę.

— Mówiłem ci, że Anka przychodzi — powiedział cicho. — Posprząta, wypierze bieliznę, ugotuje na kilka dni. Kiedy byłem chory, robiła mi zastrzyki. Ale ona też nie zawsze ma czas. I kawał świata do mnie, zaszyłem się na tym odludziu jak borsuk w norze.

— A... reszta? — spytał Stefan.

— Ciekawy jesteś! — burknął opryskliwie stary. — Za dużo chcesz wiedzieć. Ja cię nie pytałem, skąd się wzięłeś w krzakach, gdzieś podział buty, płaszcz, czemu się wafęszasz po nocy. Daj i ty spokój!

Stefanowi zrobiło się przykro. Rozgniewał staruszka, rzeczywiście był wścibski, niedyskretny. Milczał. Po chwili poczuł dotknięcie suchej, gorącej dłoni.

— Nie gniewaj się, chłopcze — usłyszał miękki głos — zdziwaczałem, odwykłem od towarzystwa, nie umiem już rozmawiać z ludźmi. Nie gniewaj się.

— Co pan mówi! — zachnął się Stefan. — To ja

162

przepraszam. — Zerwał się od stołu, podszedł do drzwi. Stary z niepokojem uniósł głowę, wstał.

— Chcesz odejść? Poczekaj. Nie możesz iść boso, nie ubrany. Słońce świeci, ale jest zimno. Zostań... jakiś czas. Ja ci skombinuję buty, coś na grzbiet... Zostań!

— Wcale nie chciałem odejść — przerwał mu Stefan — muszę wyjść na chwilę. Zaraz wrócę.

— Za domem, na prawo — objaśnił go stary i zaczął sprzątać ze stołu resztki śniadania. Gdy Stefan wrócił, gospodarz siedział na niskim stołeczku i obierał ziemniaki. Kot usadowił się naprzeciwko i z zajęciem śledził spadające do koszyka łupiny.

— Siadaj! — stary wskazał chłopcu trzonkiem noża miejsce na drewnianym kufierku.

Stefan usiadł, zaintrygowany zmianą w zachowaniu starego człowieka. Był jakiś odmłodzony, rażniejszy, nawet głos miał inny, bez chrypki.

— Chcesz tu zostać? — spytał bez wstępów.

— Chcę — odparł nie namyślając się długo Stefan.

— Więc musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań. Ale masz mówić prawdę. Uważaj, ja zaraz poznam, czy łżesz.

— Będę mówił prawdę.

— Masz rodziców, dom?

— Nie mam — odparł Stefan pewnie. To przecież prawda. Miał rodziców, miał siostrę, miał dom... kiedyś, dawno.

— Gdzie byłeś do tej pory?

— Nie chcę tam wracać — odparł wymijająco Stefan. — Nie mogę wracać!

— W porządku. Jeszcze tylko jedno pytanie. Uważaj. Jesteś uczciwy? Nie masz nic na sumieniu?

Stefan zerwał się z kuferka, przypadł do kolan starego człowieka.

ii»

163

— Ja daję panu słowo! Nie zrobiłem nic złego, naprawdę! To raczej mnie... — umilkł, zdusił w gardle nie wypowiedziane słowa. Poczul na twarzy, na włosach wilgoć. Ręka starego była mokra, pachniała ziemią, trochę stęchlizną piwniczną.

— Biedaku — postyszał cichy głos — ktoś cię skrzywdził, sponiewierał... Jak to piskłę nieopierzone, wyrzucone z gniazda. Nie bój się, nie zginiesz. Minie jakiś czas, zapomnisz. No, cicho, cicho — twarde, sękate palce objęły głowę chłopca, kołysały nią delikatnie — będzie nam dobrze razem, zobaczysz. To nieprawda, że starzy nie rozumieją młodych. Ja rozumiem. Gdzieś czytałem, że z sercem nie jest tak, jak z ludzką twarzą, nie robią się na nim na starość zmarszczki... Święta racja. Nawet Celina zawsze mówiła: „Ej, stary, stary, kiedy ty się postarzejesz?”

— Kto to Celina? — spytał szeptem Stefan.

— Moja żona. Umarła. Dawno. Nawet lepiej, że umarła. Płakałaby nade mną, nad sobą, a najbardziej nad nim.

— Nad kim?

Stary wyprostował się, odsunął lekko Stefana, wyłowił z miski upuszczony nóż. Szara struga obierzyny spłynęła do koszyka.

— Nad naszym synem Kazimierzem — powiedział sucho. — Nad nim trzeba płakać, nie nade mną, rozumiesz?

— Nie — odparł uczciwie Stefan. Nic nie rozumiał. Stary człowiek nie przestając obierać kartofli, zaczął

mówić spokojnie, obojętnie, jak gdyby opowiadał o kimś obcym:

— Miałem ich dwóch. Starszy Adam zginął tragicznie, utonął podczas kąpieli, dawno, będzie ze dwadzieścia lat. Pojechał nad morze i wrócił w trumnie. Dzieci nie miał, synowa szybko znalazła drugiego męża,

164

wyjechała z Wrocławia. Słyszę, w Warszawie mieszka, samochodem jeździ, ma dwie córeczki. Bóg z nią, obca przecież, z Adamem krótko żyli, co ja dla niej? Też obcy.

— A ten drugi?

— Kazik? Póki będę klepał, niezły był syn. Mieszkaliśmy wszyscy na kupie, ja z Celiną, on z żoną. Mieszkanie było moje, nieduże, dwa pokoje, kuchnia, w starym domu. Zaczęły przychodzić dzieci. Anka, potem Aldona, wreszcie Julek. Ciasno im było w jednym pokoju, Kazik na jakieś kursą się zapisał, potem na prawo zaczął chodzić. Spokoju potrzebował, więc ustąpiliśmy do kuchni. Celina dzieci niańczyła, prowadziła gospodarstwo, ja jeszcze wtedy pracowałem. „Dziadunio, babunia” — tak nas wtedy nazywały wnuki. Małe to było, miłe, grzeczne. I synowa dogadzała, prezenty kupowała na gwiazdkę, na imieniny. Wygodę z nami mieli, mogli pracować, kończyć studia, dom, dzieci, wszystko zdjęliśmy im z głowy. Potem Celina umarła. Myła okna przed świętami, bo Kazikowie gości na-spraszali, trzeba było

mieszkanie wysprzątać na glanc. Mróz chwycił, zgrzała się pewnie, zawiąło ją, nie była już młoda. Chorowała tylko tydzień, na zapalenie płuc. W szpitalu umarła. Jakoś w rok potem poszedłem na emeryturę, a syn awansował, dyrektorem został. Dzieci podrosły, już nie potrzebowały niańki. Synowa zaczęła narzekać, że mieszkają jak dziady, że wstyd przed znajomymi, ciasnota, kamienica stara, odrapana. Miała rację, nie można powiedzieć. I nie dziwota, że każdy człowiek za lepszym się ogląda. No to zakręcił się mój Kazik i mieszkanie otrzymał. Chciałem na tym starym zostać, sublokatora bym wziął na jeden pokój, a w drugim bym mieszkał. Kazik mi wytłumaczył, że nie można, że stare mieszkanie trzeba zdać do kwaterunku i że na mnie osobny pokój w tym nowym przydzielą. Do-

165

stali cztery pokoje w nowych blokach, na Grabiszyńskiej. Piękne mieszkanie. Jeden pokój zajęły dziewczęta, drugi — malutki Julek, trzeci — syn z żoną. W czwartym, w największym, urządzili salon. Kanapa, fotele, palma, telewizor, dywan. Gości tam przyjmowali.

— A pan? Dla pana nie było miejsca?

— A no jakoś tak... łóżko składane kupili, w ogóle umeblowali się od nowa, starych gratów syn nie chciał zabrać, ledwo parę sztuk uratowałem, a i to do piwnicy poszły. To łóżko rozstawiałem sobie na noc w kuchni. A w dzień... obijałem się po kątach, stary śmieć. Póki lato, ciepło, łąziłem po mieście, miałem swoją ławkę na skwerku pod pedetem, znajomi się schodzili, pogadaliśmy, popatrzyliśmy na ludzi i dzień minął. W zimie tośmy do Klubu Prasy zachodzili, ale... Jak ubranie zaczęło ze mnie spadać, to krzywo patrzyli w tym Klubie...

— Przecież miał pan chyba rentę...

— Pewno, że miałem... Ale z tą rentą... Niebogata, nie. Zwyczajnym magazynierem byłem, nie zarabiałem tysięcy, to i renta niewielka. A może nie umiałem się dobrze obliczyć, pieniądz mi przez palce przeciekał; to Aldonka potrzebowała na kino, to znowuż Julkowi zamarzyły się te... wrotki czy jak tam... to znowuż Anka pożyczyła na wieczne nieoddanie.

— Iw końcu wygnali pana z domu! — krzyknął Stefan.

— A niech Bóg broni! Nikt mnie nie wyganiał, nie. Sam poszedłem. Synowa narzekała, że w kuchni obrócić się nie sposób, że moje łóżko zawadza. Prawda, nieraz kładłem się kiedy oni jeszcze nie spali, z wieczora najbardziej byłem zmęczony. Chrapałem też bardzo głośno, spać przez to nie mogli. Wiesz, w nowych domach ściany cienkie, wszystko słyhać. Gości spr-

166

szali, raz po raz ktoś wpadał do kuchni, stawał jak głupi, bąkał „przepraszam” i uciekał. Tłumacz każdemu, że ojciec stary dziwak, odludek, wyglądało na to, że się mnie wstydzą. Roboty żadnej dla mnie nie mieli, czasami coś tam naprawiłem, światło albo obłuzowaną klamkę i tyle. Do Anki, do Aldonki zaczęły przychodzić koledzy, urządzali te... jak tam... prywatki. Widziałem, że się mną krępowali. Wreszcie Kazik powiada: „Tacie by najlepiej było w domu starców. Czysto ciepło, sucho, jedzenie pod nos podadzą, sam bym chciał takiej wygody na starość”.

— I wtedy pan się zbuntował?

— A masz rację, zbuntowałem się. Nawet powiedziałem im parę przykrych słów.

Niepotrzebnie. Bo oni nie są źli, nie, im się tylko zdaje, że zawsze będą młodzi i zdrowi, że na nich starość nie przyjdzie. No i wyniosłem się z domu. Zabrałem te parę gratów z piwnicy i przewiozłem tutaj. Pomieszkać jeszcze dwa lata, a potem Anka mnie zabierze, będę jej ogródek uprawiał, kwiaty, truskawki... będzie dobrze, zobaczysz. To dobra dziewczyna, tylko...

— Ale jak pan tu trafił? Co to za dom? Widziałem obok jakieś pole, to chyba truskawki, prawda?

— A tak, truskawki. Jeden mój znajomy, a właściwie jego syn, ma plantację. Sam mieszka daleko, przy spirytusowni, a jak przyjdzie pora — pilnować trzeba, bo wszystko by rozkradli. Na ten czas przyprowadzają mi złego psa i razem stróżujemy. Tu kiedyś było gospodarstwo,

tam dalej są jeszcze fundamenty po spalonym domu i sad, ale już zupełnie zdziczały. Została tylko ta buda. Pozwolili mi tu zamieszkać, w drugiej części trzymają kury i króliki. No cóż, każdy chce sobie dorobić na masło do chleba. Wyporządziłem izbę, wstawiłem piecyk, studnia jest niedaleko, tyle że światła brakuje. Obrządzam te kury i te króliki, za to dostaję

167

mieszkanie i opał. Dobrzy ludzie, nie mogę powiedzieć, kiedy w zeszłym roku chorowałem, zawiadomili Opiekę Społeczną, chcieli mnie brać do szpitala. Ale jakoś się wymigałem. Wy tłumaczyłem im, że każdy ma prawo żyć i mieszkać, jak mu się podoba.

— Ale przecież... — zaczął Stefan i urwał. Chciał przypomnieć staremu człowiekowi, że opowiadał o wnuczce przychodzącej tu podczas choroby, robiącej zastrzyki, ale się powstrzymał. Nie wiadomo, jak z tą wnuczką było naprawdę... — ■ Przecież tu jest strasznie! — powiedział tylko. — Takie odludzie, pustkowicie! Pan nie powinien, pan nie może tu mieszkać! Co będzie, jeśli kiedyś zachoruje pan poważnie?

Stary wstał, garnek z obranymi ziemniakami postawił na kuchni, wyniósł do sieni koszyk pełen obie-rzyn, wrócił i dopiero wtedy powiedział spokojnie:

— Choroba, śmierć to dla starego człowieka zwyczajna rzecz. Nie trzeba o tym myśleć, sama przyjdzie. Mówisz, że tu jest strasznie... a przecież chcesz zostać, prawda? Czasami straszniej może być w mieszkaniu z łazienką, z telewizorem i lodówką. Zresztą, ja cię nie trzymam. Chcesz, wracaj, skądś przyszedł.

Podszedł do drzwi, otworzył je szeroko i prawie krzyknął:

-Idź!

Stefan milczał, dopiero po dłuższej chwili powiedział cicho:

— Nie pójdę. Zostanę z panem.

Dyrektor długo pocierał sobie kark, krzywiąc się, jakby połknął coś bardzo gorzkiego.

— Przykra sprawa — powiedział w końcu — tym przykrzejsza, że Lewandowski... że pański syn jest chłopcem spokojnym i zrównoważonym, jego postępek

168

jest dla mnie zupełnie niezrozumiały. Czy pan wie, co go skłoniło do ucieczki?

— Wiem — odparł krótko inżynier Lewandowski. Zawahał się i dodał po chwili: — Wolałbym o tym nie mówić, sprawa jest zbyt osobista.

— No cóż — dyrektor zerknął na zegarek — zaraz będzie przerwa. Przyślę tu wychowawcę syna, może on udzieli panu jakichś informacji, a w każdym razie będzie umiał wskazać jego przyjaciół. Bo ja... — rozłożył bezradnie ręce — sam pan rozumie, mamy przeszło trzystu uczniów, nie sposób znać wszystkich. Przepraszam na chwilę.

Inżynier został sam w gabinecie dyrektora. Patrzył bezmyślnie na biurko założone papierami, na zasuszone liście i kwiaty przykryte szybą, potem przeniósł wzrok na gablotki, w których znajdowały się wyroby z metalu, drzewa, kartonu, prawdopodobnie prace uczniowskie. Nagle drgnął. Barwna plama obrazka zawieszona między oknami była jakaś znajoma, coś mu przypominała. Wstał i podszedłszy bliżej, odczytał umieszczony w rogu podpis — S.

Lawandowski ki. 1 B.

Rysunek był kompozycją barwnych plam, zielonych, brązowych, ciemnoczerwonych, jednak po chwili inżynier dostrzegł coś jakby zarys rogatywki, długą lufę karabinu, kontury orzełka na czapce. Wyteżył wzrok, w gabinecie było ciemnowo, dzień był chmurny i zanosilo się na deszcz. Na zielonym tle munduru, z lewej strony widniała czerwona róża. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym bije serce...

Inżynier poczuł nagły skurcz gardła. Nie mógł oderwać wzroku od obrazka, nie zwrócił uwagi na dźwięk dzwonka i na straszliwy hałas, który zapanował na korytarzach. Nie słyszał nawet otwarcia drzwi. Dopiero dość głośne chrząknięcie przywołało go do rzeczywistości.

171

— Jestem wychowawcą klasy Ib — powiedział ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku.
— Dyrektor mi powiedział, co się wydarzyło.

Usiedli przy małym stoliku, nauczyciel bawił się nerwowo długopisem, wreszcie zaczął:

— Obawiam się, że nie będę mógł panu pomóc, niewiele wiem o Stefku. Jest dobrym uczniem, chyba tylko chemia sprawia mu trudności, i miał jakieś zatargi z nauczycielem wychowania fizycznego. Polonistka bardzo go chwali, a nauczycielka rysunków wprost nie ma słów. Jest lubiany w klasie, choć raczej mało się udziela, dotąd uchylał się jakoś od funkcji społecznych. Posiada pewnego rodzaju autorytet wśród kolegów, często zwracają się do niego z prośbą o pomoc w rozstrzygnięciu klasowych konfliktów, chociaż niektórzy uważają, że jest zbyt surowy w sądach, za mało pobłażliwy dla cudzych słabości. Ja sam zauważyłem, że Stefan jest bardzo wrażliwy, silnie reaguje na wszelkie przejawy niesprawiedliwości, przy tym potrafi bronić swojego zdania, jeśli tylko jest przekonany, że ma rację. Wiem, że bliżej przyjaźni się z Kaweckim, Marcem i Józwiakiem. Już mówiłem im, że chce pan z nimi rozmawiać. Przyznam się panu, że wiadomość o ucieczce Stefana zaskoczyła mnie całkowicie. To nie jest chłopiec z żyłką awanturniczą, amator przygód. Nie jest też tchórzem, nie uciekałby przed ciężarem problemów lub konsekwencją błędów. Inżynier Lewandowski poruszył się niecierpliwie. Wychowawca tłumaczył mu rzeczy, które nie wymagały tłumaczenia, nie takich potrzebował informacji.

— Wiem, co skłoniło mojego syna do ucieczki — powiedział nieco szorstkim tonem. — Sądziłem, że rozmowa z panem, z kolegami Stefka pozwoli mi zorientować się w jego planach. Szukałem go całą noc i dalej będę szukał. Nie przypuszczam, by Stefan wyje-

172
chał do Gdyni i próbował wsiąść na okręt, to nie w jego stylu. Ale przecież gdzieś musi mieszkać, spać, może któryś z kolegów udzielił mu schronienia, może ktoś coś wie, domyśla się.

— A rodzina, znajomi? — wtrącił wychowawca.

— Zajęliśmy się tym natychmiast. We Wrocławiu nie mamy krewnych, depeszowaliśmy do Lublina, jeszcze w nocy. Czekamy na odpowiedź. Z przyjaciółmi, ze znajomymi też się skontaktowałem. Bez rezultatów.

Wychowawca wstał.

— Nie chciałbym pana pozbawiać nadziei, rozumiem, że chce pan wyczerpać wszelkie możliwości, ale... Nie sądzę, by uzyskał pan informację od kolegów Stefana. To chłopiec nieskłonny do wyznań... wątpię, by komukolwiek powierzył podobną tajemnicę.

— Jednak spróbuję.

— Jak pan uważa — wychowawca skłonił się i spojrzął na inżyniera ze współczuciem, lecz bez sympatii. — „Założę się, że sporo w tym jego winy — pomyślał — stwarzają dzieciom piekło w domu, a potem szukają ratunku w szkole.”

— Chwileczkę — usłyszał głos inżyniera. — Kaweckiego proszę mi nie przysyłać, rozmawiałem z nim dziś rano, mieszkamy po sąsiedzku.

Wychowawca wprowadził do gabinetu niedużego chłopca w przepisowym mundurku, powiedział: — To jest Bogdan Marzec — i zamknął drzwi.

— Podejdź bliżej — pan Lewandowski patrzył ze źle ukrywaną niechęcią na niepozorną figurkę chłopca, na jego wąskie ramiona i szczupłe, wątłe ręce. — „Mój syn dobiera sobie dziwnych przyjaciół!” — stwierdził.

Jednak gdy spojrzął w oczy Bogdana Marca, pomyślał, że słaby fizycznie, niepokąźny chłopiec musiał się odznaczać siłą charakteru, inteligencją, nieprzecięt-

, 173

nymi walorami umysłu. Na twarzy miał wypisaną prawość i szczerłość, ciemne oczy patrzyły spokojnie i mądrze. Zachowywał się z całym szacunkiem, lecz tak, jakby miał do czynienia z rówieśnikiem. Nie czekając na pytania, powiedział:

— Przykro mi, proszę pana, ale chyba w niczym nie będę mógł pomóc. Wiem od Romka, co zaszło, ta wiadomość była dla mnie zupełnie nieprawdopodobna. Nie znam powodów, Kawecki nic mi na ten temat nie powiedział, ale przypuszczam, że sprawa musiała być bardzo poważna. Ostatnio Stefan się zmienił, stał się małowówny, szorstki, opryskliwy, domyślaliśmy się, że coś go gnębi, ale skoro sam o tym nie mówił, nie mamy zwyczaju włożyć komuś z kaloszami do duszy, Myślę... to jest... jestem pewien, że Stefan wróci, proszę się o niego nie martwić. On chyba czymś bardzo się przejął, bo on taki właśnie jest. Nie potrafi być obojętny. I on nigdy nie ustępuje, dałby się porąbać za słuszną sprawę...

— Nie to chciałem wiedzieć! — przerwał niecierpliwie inżynier. — Powiedz mi, dokąd, twoim zdaniem, mógł pójść, gdzie należałoby go szukać? Chyba rozumiesz, że nie będę z założonymi rękami czekał, aż Stefan się namyśli i sam raczy wrócić do domu! Czy miał znajomych poza szkołą? Może jakąś dziewczynę? Czy spotykał się z kimś popołudniami? Wiem, że chodził na lekcje rysunku do Domu Kultury, może tam nawiązał jakieś kontakty? Marzec potrząsnął głową.

— Nic o tym nie wiem. Chociaż... Stefan często opowiadał o kierowniku sekcji, bardzo go chwalił. To podobno młody i zdolny plastyk, świetnie się rozumieli nawzajem. A co do dziewcząt... Stefan trzymał się od nich z daleka, chyba nie lubił ich, w każdym razie w szkole żadnej nie wyróżniał, to znaczy nie

174

w ten sposób, jaki pan ma na myśli. Miał podobno jakieś przykrości, ale to stara historia, jeszcze z zeszłego roku. Nie znałem wtedy Stefka, nie chodziliśmy razem do podstawówki. Może Józwiak albo Kawecki będą wiedzieli coś więcej, znają się od wielu lat.

— Dobrze, spytam ich — inżynier spojrzał bystro na chłopca. Wierzył w siłę swego spojrzenia, był pewien, że potrafi każdego zmusić do szczerości, że odróżni kłamstwo od prawdy.

— Kiedy po raz ostatni widziałeś Stefana? — spytał.

— Wczoraj, w szkole — odparł spokojnie Bogdan.

— A później? Wieczorem, w nocy?

— Nie, proszę pana, nie widziałem go ani nie rozmawiałem z nim. Sam żałuję... może udałoby mi się powstrzymać go, przekonać...

— Dobrze. Dziękuję ci — słowa inżyniera zabrzmiały niespodziewanie szorstko — poproś tu Józwiaka.

Adam Józwiak był całkowitym przeciwieństwem Bogdana. Wysoki, barczysty, wyglądał na osiemnasto-latkę, nie na ucznia pierwszej licealnej. Twarz miał miłą, dobroduszną, choć nie tryskającą inteligencją. Ot, przeciętny, sympatyczny chłopak, jeden z tych, którzy nie wymyślą prochu, ale są dobrymi kolegami, „morowymi kumplami”.

I on już wiedział o ucieczce Stefana, ale na wszystkie pytania inżyniera odpowiadał, nie odrywając oczu od podłogi: „Nie wiem”. Dopiero gdy Lewandowski spytał go, czy zna powody ucieczki Stefana, podniósł wzrok i zacisnął pięści.

— Nie wiem, dlaczego to zrobił, ale myślę, że ktoś musiał go bardzo skrzywdzić. Gdybym dostał w ręce tego... byłoby mu gorąco!

Ożywił się, słysząc pytanie dotyczące stosunku Stefana do dziewcząt. Zaczął z przejęciem opowiadać:

175

— Nie, proszę pana, Stefan z żadną nie chodził, na pewno. Raz się sparzył i potem miał dość. To przez Wandę, jeszcze na początku ósmej klasy. Ona była bardzo ładna, wszyscyśmy się do niej dowalali, ale wybrała Stefana. A potem okazało się, że tak naprawdę to chodziła z jednym chłopcem ze swojej kamienicy, a Stefan był jej potrzebny do podpowiadania, do rozwiązywania zadań z algebry i do noszenia teczek. <б>π to bardzo przeżył, nawet musiałem

wyniuchać, do którego liceum Wanda będzie zdawać, bo za nic nie chciał być z nią w jednej szkole.

Inżynier skinął głową. Pamiętał doskonale namiętny opór syna, gdy padła propozycja zapisania go do liceum, które miało najlepszą opinię w mieście, znakomitych pedagogów, świetne warunki. Wolał iść do szkoły mieszczącej się w starym, ponurym budynku, dość odległej i... „Więc to dlatego” — pomyślał i nagle przypomniał sobie słowa żony: „Nic o nim nie wiemy, nic!”.

Zrezygnował z dalszych pytań, to naprawdę nie miało sensu, koledzy nie mogli znać planów Stefka. Czy w ogóle je miał, czy decyzja opuszczenia domu nie była spontanicznym, nie przemyślanym odruchem? To było bardzo prawdopodobne, na to wskazywałoby jego szaleńcze zachowanie.

Rzucił okiem na aparat telefoniczny stojący na biurku. Przyszło mu na myśl, by zadzwonić do komendy, może mieli jakieś wiadomości? Szybko nakręcił numer podany mu przez dyżurnego oficera, w dwóch słowach opisał sprawę.

— Dobrze, że pan dzwoni — usłyszał nieznajomy głos — właśnie mieliśmy telefonować do domu. Przed kwadransiem przyniesiono do komendy pański pistolet. Parabellum HW 283671. Zgadza się?

— Zgadza się — inżynier Lewandowski nie poznał
176

własnego głosu, był jakiś ochryply, nienaturalny. — Czy... czy?...

Nie mógł dalej mówić, osunął się na stojące obok biurka krzesło, ścisnął słuchawkę, aż zatrzeszczały stawy palców.

— Pistolet nie był nabity. I nie strzelano z niego. Nawet pobieżne oględziny wystarczyły, by to stwierdzić. Zresztą dla pewności oddamy pistolet do ekspertyzy rusznikarskiej.

— Kto? Kiedy? — inżynier nie był w stanie wykrztusić nic więcej.

Napięcie opadło zbyt nagle, nerwy odmówiły posłuszeństwa.

— Pistolet przyniósł starszy człowiek, emerytowany kolejarz. Jest właścicielem ogródka działkowego, przytykającego do ulicy Kruczej. Miał zamiar skopać grządkę pod płotem i tam właśnie na przymie kompostu znalazł pistolet. To jakiś rozsądny obywatel, nie dotykał broni, owinał ją w chusteczkę i przywiózł prosto do komendy.

—i W ogródkach przy Kruczej? — powtórzył inżynier. — Ależ to niedaleko naszego domu! Może Stefan tam się ukrył, może nocował w jakiejś altance? Trzeba przeszukać ten teren.

— Wysłałem na miejsce dwóch funkcjonariuszy, ale wątpię, czy coś znajdą. Raczej wygląda na to, że chłopak zabrał z domu pistolet w niewiadomym celu, a potem stchórzył i wolał pozbyć się niebezpiecznego przedmiotu. Prawdopodobnie szedł Kruczą i korzystając z ciemności, przerzucił broń przez płot. Znalazca twierdzi, że lufa zaryła się w wilgotną ziemię dość głęboko, to wskazywałoby, że broń została rzucona z pewnej odległości.

■— Dziękuję panu — inżynier Lewandowski odzyskał zdolność normalnego formułowania zdań — bar-

12 — Telefon zaufania

177

dzo dziękuję. To wspinała wiadomość! Jeszcze raz serdecznie dziękuję.

Odłożył słuchawkę i odetchnął pełną piersią. Najgorsze miał za sobą, nie musiał lękać się o życie Stefana. Dyżurny oficer miał rację, albo chłopak usiłując odbezpieczyć i załadować pistolet oprzytomniał i zląkł się tego, co chciał zrobić, albo rzeczywiście zabrał broń z szuflady, licząc na efekt.

Lewandowski wstał, spojrział w okno. Niebo pojaśniało, zza ustępujących chmur błysnęło słońce.

„Zdaje się, że nareszcie będzie pogoda” — pomyślał idąc ku drzwiom. Już z ręką na klamce obejrzał się jeszcze, by spojrzeć na obrazek wykonany ręką syna.

— Pan doktor teraz uważa, trzeba schylić głowę, bo stropy niskie — zachrypiał Loniek idący przodem przez ciemne, wilgotne korytarze.

Werner posłusznie wykonał polecenie, mimo to uderzył boleśnie ramieniem o sterzący, żelazny pręt. Wyjął zapalki, zapłonęło wątle światełko.

— Rany boskie, Loniek, gdzie my jesteśmy? To jakieś piwnice, tu chyba nikt nie mieszka?

— Czemu nie? — usłyszał stłumiony głos Lońka. — Nie każdemu przydzielają M-4. Zresztą pomieszczenie jest komfortowe, tylko wejście szmatławe. Pan doktor zobaczy.

Werner syknął, zwęglona zapalka sparzyła mu palec. Chciał zapalić następną, ale w dalekiej perspektywie korytarza zobaczył nagle wąski pasek światła, już nie musieli posuwać się omackiem, dotykać zimnych i wilgotnych ścian i lękać się, że w każdej chwili natrafiają na przeszkodę, wyrzną o coś głową lub spadną z niewidzialnych schodów.

Korytarz rozszerzył się, stąpali teraz po względnie

178

równej podłodze z cegieł, po obu stronach widniały drewniane drzwi opatrzone potężnymi kłódkami. Zapachniało stęchlizną i butwiejącymi ziemniakami. Skręcili w prawo, potem jeszcze raz w prawo i znowu w lewo i Werner pomyślał, że Loniek celowo kluczy po piwnicznych korytarzach, że na pewno istnieje inne wejście, wygodniejsze i prostsze, ale obcy nie powinien go poznać, zapamiętać.

— Długo jeszcze tej ciuciubabki? — spytał.

— Już, już... pan doktor strasznie nerwowy ostatnimi czasy :— odparł Loniek i nagle zaklął grubo, potrafiwszy coś, co potoczyło się z ogłuszającym hałasem.

Jakby w odpowiedzi otworzyły się jakieś drzwi i ostry głos kobiecy spytał mało uprzejmie:

— Kogo tam diabli noszą? Ślepy jakiś czy co? Baniaka wystawić nie można, bo zaraz jeden z drugim wlezie jak krowa w szkodę!

— Szanowanie pani Kopciowej! — Loniek zdał z głowy zmiętoszony kapelusz, choć urągająca kobieta nie mogła tego widzieć. — Coś w złym humorku jesteśmy przy wtorku... Szkoda nerwów, baniakowi nic się nie stało, to ja wyrzniętem się w kostkie, a nie płacze, królowo mojej piękności...

— A to pan — drzwi otwarto szerzej i Werner zobaczył rozkudłaną głowę kobiecą i ramiona okryte czymś brudnym, ale bardzo kolorowym. — I po co pan przyłazi, panie Lońku, mówiłam panu, że stary nic dla pana nie ma i nie będzie miał! — podniosła głos. — Widzisz go, jeszcze jednego długu nie oddał, a zno-wuż kredytu poszukuje!

— Spokojnie, kwiecie lotosu, spokojnie — zachrypiał w odpowiedzi Loniek, nie zrażony mało uprzejmym przyjęciem — tym razem nie rozchodzi się o kredyt ani o pani starego. Pivko jest?

12»

179

— A jest — odparła niechętnie kobieta — Pivko, Łamaga i Dulek... Cholera, hotel sobie znaleźli. U pani Kopciowej, mówią, ciepło, przytulnie. Ja im kiedyś kota popędzę, ja kiedyś stracę cierpliwość, marna ich godzina będzie! No, wlaż pan, tylko buty dobrze wyczyścić, błoto na dworze.

Loniek pociągnął towarzysza za rękaw płaszcza, obaj znaleźli się w smudze światła.

— A ten co? — kobieta dopiero teraz zauważyła Wenera i zasłoniła sobą wejście do mieszkania. — Kogo mi pan tu sprowadził?

— Pani Kopciowa najdroższa, nie szuraj pani od samego rana! Zdrowia i urody szkoda! Taka przystojna kobita i nie wie, że uśmiech największą ozdobą każdej twarzy? A ten pan to mój znajomy, jesteśmy obaj umówione z Pivkiem. Interes mamy.

— Interes, interes — burknęła kobieta owijając się ciasniej przybrudzonym szlafrokiem w duże, czerwone chryzantemy — znam te wasze interesy... Piwko niedawno z kicia wyszedł i znowuż „interesy”? Stęsknił się za mamrem?

— Pani Kopciowa, przecież pani mnie zna nie od wczoraj... — Loniek przyoblekł twarz w najpiękniejszy uśmiech —■ ja bym Piwkę sprowadził z drogi cnoty? Ja?! Wszyscy wiedzą, że Loniek żyje zgodnie z kodeksem, prawo poważa, milicja się go nie czepia, chyba że na świeżym powietrzu nocuje. No, kwiecie różany, dość tych salonowych pogwarek, czasu mamy mało.

Kobieta usunęła się, zrobiła przejście.

Werner wszedł za Lońkiem do ciemnego pomieszczenia i w pierwszej chwili aż się cofnął, taki tu panował zaduch. Na płycie kuchennej parował kocioł z bielizną, garnek z kapustą po prostu obrzydliwie cuchnął, rozrzucone na łózkach bety wydzielały zapach stęchlizny

180
i zastarzałego potu. Mimo to pokój wcale nie wyglądał nędznie. Werner zauważył ciemny, fornirowany kredens, porządną wersalkę, trzydrzwiową szafę, na ścianach haftowane makatki, a w kryształowym flakonie pęk przeraźliwie różowych kwiatów, wykonanych z farbowanych piór. Ktoś leżał na szerokim łóżku, przykryty pierzyną bez powłoczki, i chrapał donośnie.

— To gospodarz, pan Kopeć — objaśnił szeptem Lo-niek — największy ochlapus w okolicy. Kopciowa otworzyła drzwi i wpuściła obu mężczyzn do następnego pokoju. Było tu równie ciemno jak w poprzednim, ale mniej duszno, bo przez wysoko umieszczone, uchylone okienko sączyła się strużka świeżego powietrza. Na tapczanie spał młody mężczyzna ubrany tylko w spodnie i podkoszulek, przy stole okrytym siatkową serwetą siedziało dwóch innych i grało w karty. Prawie cały stół był zastawiony pustymi butelkami po piwie. Pokój był porządnieumeblowany, w rogu stał telewizor w płóciennym pokrowcu, a na podłodze leżał nowiutki, bardzo kolorowy dywan.

— Cześć, Piwko — powiedział Loniek siadając bez zaproszenia przy stole — klejenta ci przyprowadziłem... no, wiesz już na co.

Mężczyzna, a właściwie młodzieniec, nie mógł mieć bowiem więcej niż dwadzieścia lat, nie przerwał gry i nie patrząc na przybyłych, mruknął:

— Dwa brudasy.

Loniek wznosił oczy do sufitu, ale widać kątem oka dostrzegł między pustymi butelkami jedną pełną, bo zamiast odpowiedzieć, zręcznie oderwał kapslę i przechylił szyjkę do ust. Opróżniwszy flaszkę do połowy, otarł rękawem pianę i rzekł dramatycznym szeptem:

— Piwko, oszalałeś? Za co dwa brudasy?!

— Za mus — odparł flegmatycznie Piwko i teraz

183

dopiero spojrzał na Lońka — widać facet napalony na towar jak łysy na grzebień, a jak napalony, to zapłaci.

Werener rozpiął płaszcz, rzucił kapelusz na stół i usiadł.

— Zaraz, zaraz — powiedział — najpierw muszę wiedzieć za co pan żąda aż tysiąc złotych. Piwko obrócił ku doktorowi zmiętą, poźółkłą twarz i niespodziewanie uśmiechnął się.

— A czy to nie wszystko jedno? Widać coś panu potrzebne, nie ja pana szukałem, tylko pan mnie.

— O płaceniu pomówimy później — oświadczył twardo Werner — na razie chciałbym coś usłyszeć o tym chłopcu, którego widzieliście na cmentarzu, na Sępolnie.

— Na cmentarzu? — udał zdziwienie Piwko. — Czy myśmy byli na cmentarzu? Dulek, wiesz coś o tym?

Zagadnięty wzruszył ramionami i zaczął tasować lepkie od brudu karty. Werner rzucił wściekle spojrzenie na Lońka, ale ten uspokajająco mrugnął okiem.

— Piwko, nie rób z tata wariata! — powiedział tonem perswazji. — Nic nas nie obchodzi, co robiliście w nocy w parku sztywnych, to wasza sprawa. Ten pan poszukuje jednego szczeniaka, tylko on go interesuje. Mówiłeś, że chłopak coś zakopywał... Puszczaj farbę. Werner usiłując zachować spokój, kiwnął głową. Wyjął sto złotych i rzucił na stół.

— Na odświeżenie pamięci — powiedział. Czerwony banknot zniknął przykryty sękatą dłonią.

— Tak trzeba było od razu — powiedział Piwko. — Już sobie zaczynam przypominać... To było tak. Parę minut po jedenastej przywalcował na cmentarz jakiś pętaś. Dulek i ja jesteśmy ciekawskie z natury, a zresztą doświadczenie nasz uczy, że ciekawość popłaca. Więc poszli my za chłopakiem, bo chcieliśmy wiedzieć,

184

co za interesy można mieć w nocy, na cmentarzu. Szczeniak pruł jak lokomotywa, widać nerwowo. Zatrzymał się przy jednym grobie, tam podobnież leży jakiś sławny partyzant. Wyjął finkę i zaczął kopać dziurę. Nie wtrącalim się, każdy powinien swoją robotę zrobić do końca. Potem coś włożył w dołek, zasypał ziemią, uklepał i chodu! No to wtedy już nie mogliśmy z tej ciekawości wytrzymać i odkopaliśmy dołek. Ale prawdę mówiąc, cholernie żeśmy się nacięli, a właściwie Dulek, bo on był rozmarzony, liczył, że w dołku znajdzie forszę albo zegarki, albo coś w tym rodzaju.

Dulek ożywił się, pstryknął kartami i powiedział:

— No właśnie, myślałem, że choć raz się poszczęści, a tymczasem...

— Cicho! — burknął Piwko. — Nie gadaj, przecież się poszczęściło. Pan da dwa brudasy i wykopalisko jest pańskie.

— Tak w ciemno? — skrzywił się Werner. — Muszę wiedzieć, za co płacę. Zresztą możecie sobie schować swoje „wykopalisko”, ja chcę usłyszeć, co się stało z chłopakiem? Ale, ale... coś mi tu nie gra, panowie, Loniek twierdzi, że rozpoznaliście chłopca na fotografii... Jakim cudem, skoro noc była ciemna, bez księżyca?

Piwko wzruszył ramionami.

— Zaraz widać, że pan wieczorami w domciu, przy telewizorze przesiaduje. Przy bramie eleganckie latarnie zainstalowane, jasno jak w dzień. A jeśli rozchodzi się o szczeniaka... Skąd możemy wiedzieć, co się z nim stało? Nie poszliśmy za nim. Słyszeliśmy hałasy w krzakach, kto wie, może smarkacz miał jakieś nieporozumienie towarzyskie, ale nie z nami. My spokojne chłopaki.

Werner poczuł wzbierającą pasję. Po diabła tu przy-

185

szedł, po diabła wciągnął Lońka w swoje sprawy! Nic nie załatwi z tymi ludźmi, niczego się od nich nie dowie. Igrają z nim jak kot z myszą, czują swoją przewagę. Wstał odsuwając z hałasem krzesło.

— No to do widzenia panom. Widzę, że się nie dogadamy.

— Oj, szefie! — Loniek chwycił Wernera za ramię. — Nie bądź pan taki nerwowo.

Wszystko da się załatwić. Piwko, pokaż panu, coś wykopał. I spuść trochę z ceny, tu nie „Jubiler”, ktoś by myślał, że brylanty sprzedajesz!

Piwko sięgnął do kieszeni, wyjął małe zawiniątko zrobione z przybrudzonej chustki, potrząsnął nim, zaczął wabić doktora metalicznym brzękiem jak dziecko grzechotką.

— Pięćset — powiedział wreszcie i rzucił zawiniątko na stół. — Chyba warto...

Na siatkowej serwecie błysnął Krzyż Walecznych. W tym samym momencie Piwko uchylił się zręcznie i odskoczył do tyłu. Kopciowa, która weszła po cichu do pokoju, podsunęła mu pod nos drewnianą kopystkę, służącą do wynajmowania bielizny z kotła.

— Pięćset? — powtórzyła. — Ty łajdacka duszo! W moim domu będziesz handlował takimi rzeczami? A ty wiesz, co to jest? Ty masz pojęcie, za co to się dostaje? Ty pajacu, ty pokrako,

choćbyś żył tysiąc lat, jeszcze byś czegoś takiego nie wysłużył! Oddajesz darmo albo łachy pod pachy i won! U Kop-ciowej nie handluje się orderami!

Werner patrzył ze zdumieniem, jak kobieta zebrała troskliwie odznaczenia do chustki, związała i podała mu zawiniątko.

— Niech pan bierze. Ja rozumiem, co to dla pana znaczy. Mój tatuś nieboszczyk miał Wirtuti. Kiedy umierał, kazał to sobie nad łóżkiem zawiesić. A w ostat-

186

nim słowie nakazał, żeby mu mamusia krzyż do trumny włożyła. A ty łapserdaku... — zamierzyła się kopyścią na Piwkę, który cofnął się gwałtownie, stracił równowagę i upadł na tapczan, przygniatając śpiącego mężczyznę.

— Co jest do jasnej! — krzyknął obudzony. — Wariacki dom, nawet pospać nie dadzą!

— Zamknij się, Łamaga! — wrzasnęła Kopciowa. — Widzisz go, wariacki dom! To po co tu przyłazisz? Płakać po tobie nie będę.

— Oj, ciotka coś nie w sztosie — ziewnęła szeroko Łamaga. — Może by tak setuchnę na lepszy humor?

Loniek szarpnął Wenera za rękaw.

— Chodźmy, szefie, tu się zaraz może zacząć rodzinne nieporozumienie, łóżko pod Kopciem już trzeszczy, znaczy się, wstaje.

— Zaraz.

Werner skłonił się przed Kopciową.

— Serdecznie pani dziękuję, ale... — zaczął.

— Nie ma za co.

— Ale prosilibym jeszcze o jedną drobną przysługę.

— No?

— Może pani skłoni tego pana — wskazał na Piwkę — by był nieco rozmowniejszy. Chętnie zapłacę za informację...

Kopciowa groźnym ruchem uniosła kopystkę.

— Nic z tego, mój panie, informacje to na dworcu. Ordery żem panu oddała, bo mam swoje zasady, ale gadać nie lubię. Lepiej wynoście się obaj, bo jak mój stary wstanie, to Łońka będzie pan w szpitalu odwiedzał. No już!

Podała Wernerowi kapelusz, popchnęła go ku drzwiom.

— A ty — zwróciła się do Łońka — jak mi do ty-

187

godnia czasu tej stowy w zębach nie przyniesiesz, marny twój los! Pamiętaj!

— Oj, królowo, o jedno sto złotych tyle krzyku? Od wczoraj się znamy?

Gdy po chwili znaleźli się na ulicy, Werner głęboko wciągnął czyste, chłodne powietrze. Po tamtych smrodach zdawało mu się, że nagle wylądował w Zakopanem. Jak ci ludzie żyją, jak mieszkają... Przecież nie są ubodzy, to widać! Nagle uprzytomnił sobie, że wyszli na inną ulicę, przecież wejście wyglądało zupełnie inaczej. Oczywiście, Loniek zadbał, by stracić ślad.

„Co mnie to wreszcie obchodzi — wzruszył ramionami Werner — niech sobie gniją w spokoju.”

Zatrzymał się, wyjął dwieście złotych, podał Łońkowi.

— Masz — powiedział — a nie przepij wszystkiego od razu, bo trafisz do szpitala.

Loniek zawahał się. Sięgnął po pieniądze i cofnął rękę.

— Przecież dalej nie wiemy nic o chłopaku — bąknął.

— Bierz. Nagoniłeś się solidnie. A to — zabrzączał schowanymi w kieszeni odznaczeniami

— przepadłoby bez ciebie.

Wcisnął Łońkowi pieniądze i mruknąwszy: — Trzymaj się — ruszył przed siebie.

„Zajdę do Lewandowskich i oddam im te odznaczenia, ucieszą się. Nie — postanowił po namyśle — zaczekam, to trzeba chyba inaczej rozegrać. Zupełnie inaczej”.

Minęło południe. Dzień zrobił się nieoczekiwanie jasny i słoneczny, ostry wiatr przegnał chmury, zapachniało prawdziwą, choć spóźnioną wiosną.

188

Stefan siedział na ławeczce przed domem, jeśli można było tak nazwać to coś, sklecone ze zmurszałych cegieł, desek i papy, wyciągnął przed siebie nogi obute w jakieś rozdeptane, o wiele za duże chodaki i z rozkoszą wygrzewał się w słońcu. Stary, a właściwie pan Antoni, opuścił go przed godziną i poszedł w kierunku widniejących w oddali zabudowań.

— Dziś dwudziesty siódmy — powiedział — listonosz przyniesie moją rentę. Kupię też coś na obiad. Wrócę koło drugiej, a ty posiedź sobie, odpocznij.

Stefan przeciąga się leniwie, dobrze mu tu, na tej ławce, w ciszy i spokoju. Daleko huczy gwarne miasto, a tu tylko wiatr wygrywa melodie w uschłych badylach i wysoko pod chmurami dzwonią skowronki. „Chyba zostanę tutaj — myśli Stefan. — Razem z panem Antonim wyporządkirny budę, zrobimy z niej porządne mieszkanie. Trzeba będzie wysprzątać izbę, wymalować, wstawić brakujące szyby. To nic trudnego, na pewno potrafię, w domu nieraz naprawiałem zepsute zamki, przepalone żelazka, przecież nawet zupełnie sam układałem linoleum w kuchni i w łazience, bo ojcu obierał palec u prawej ręki i nie mógł nią ruszać.

Zmarszczył brwi. Wciąż wracał myślami do domu, do rodziców, o czymkolwiek wspomniał, wszystko miało związek z ojcem albo z matką. Czy tak będzie zawsze? Najwyższy czas przestać myśleć o tych sprawach. Jest sam i musi sam sobie radzić. W końcu... jakoś to będzie, nie warto łamać sobie głowy zawczasu. Może pan Antoni znajdzie mu jakąś pracę, przecież trzeba zarabiać na swoje utrzymanie, nie sposób wisieć staruszkowi na karku. Gdzieś w pobliżu jest podobno gospodarstwo doświadczałne Wyższej Szkoły Rolniczej, na pewno będą potrzebni robotnicy, zwłaszcza teraz, na wiosnę... A szkoła? No cóż, na razie koniec z nauką, musi mu wystarczyć osiem klas, może później...

189

Stefan poruszył się niespokojnie, zmarszczył brwi. Jakoś niemile uderzyła go myśl o konieczności porzucenia nauki. Nie zastanawiał się nad tym dotąd.

Więc nie usiądzie już w trzecim rzędzie od okna, w swojej ławce obok Romka, nie wyjmie z teczki książek, zeszytów, nie będzie musiał odrabiać lekcji, rozwiązywać zadań, pisać wypracowań? Więc wszystko, do czego przywykł, co polubił, co robił przez blisko dziewięć lat, ma się skończyć? A popołudniowe lekcje rysunków? Więc już nigdy nie weźmie do ręki ołówek, pędzla, pasteli, nie odczuje podniecenia ogarniającego go zawsze na widok białej, czystej płaszczyzny papieru? A jego plany, marzenia, ambicje?

Chciał przecież studiować medycynę, obaj z Romkiem postanowili, że będą lekarzami, że wybiorą chirurgię. Bo chociaż Stefan lubi rysować, chociaż pan Witek, opiekun sekcji, twierdzi, że ma zdolności, chłopiec porzucił zamiar pójścia na ASP. Bo kiedy pan Witek zapytał: „Czy jesteś zupełnie pewny, że przez całe życie chcesz właśnie to robić? Że nic nie jest dla ciebie ważniejsze, bardziej pociągające?” Stefan nie mógł dać twierdzącej odpowiedzi.

Stefan ze złością uderza obcasem w miękką, wilgotną ziemię. Trudno, nie pójdzie na medycynę, nie zostanie lekarzem! Świat nic nie straci na tym, że będzie o jednego chirurga mniej! A zresztą... jeszcze nie wiadomo, jak ułoży się życie, może za parę lat będzie mógł zdać maturę i jednak studiować medycynę, są przecież stypendia, domy akademickie. Zresztą to są jeszcze odległe sprawy, teraz ma ważniejsze problemy. Musi zapracować trochę pieniędzy i kupić sobie buty, jakąś bluzę, koszulę, na zmianę, skarpetki.

„...kiedy oni zdarli ze mnie płaszcz, wiatrówkę, nic nie czułem, nic nie pamiętam. Ilu ich w końcu było? Z początku chyba czterech, potem doszli jeszcze dwaj.

190

No tak, mogłem się spodziewać, że w nocy, na takim odludziu, nie spotkam harcerzy ani członków Towarzystwa Miłośników Wrocławia. Trzeba było wyjść przez bramę, tak jak wszedłem, a nie pchać się w zarośla. Tylko że przy bramie też ktoś był, słyszałem wyraźnie jakieś kroki...”

Wstrząsnął się na wspomnienie ubiegłej nocy:

Wypadł z domu podniecony, prawie nieprzytomny i pędził pustymi ulicami na oślep, nie zastanawiając się, dokąd biegnie. W pewnej chwili zobaczył z daleka błyskające, niebieskie światło milicyjnego radiowozu. Oprzytomniał, stanął. Pomyślał, że zachowuje się idiotycznie, zwraca na siebie uwagę lecąc jak wariat. Już jakiś zapóźniony przechodzień obejrzał się za chłopcem uprawiającym sprinty w środku nocy, na pustej ulicy. Na szczęście radiowóz skręcił w przecznicę, ale przecież za jakiś czas mógł nadjechać następny patrol.

Schylił się, by poprawić niedokładnie zawiązane sznurowadło, i poczuł twardy ucisk pistoletu, wsuniętego za pasek. Zadrżał. Był szalony, niepoczytalny, jak mógł zrobić coś podobnego?! Gdyby zatrzymano go i znaleziono przy nim broń... Rozejrzał się niespokojnie. Ulica była pusta, tylko po jednej jej stronie stały domy, po drugiej chodnik biegł wzdłuż ogrodzonych siatką ogrodów działkowych. Nie zastanawiał się długo, przebiegł jezdnię, wyjął pistolet i przerzucił go przez płot. Usłyszał pacnięcie ciężkiego przedmiotu o miękką ziemię i odetchnął. Przynajmniej o to jedno nie musiał się martwić.

Znalazł się na ulicy Grabiszyńskiej przy „żyłtekow-cu” prawie równocześnie z nadjeżdżającą „szesnastką”. Mimo spóźnionej pory tramwaj był dość pełny i właśnie dlatego Stefan zdecydował się wsiąść. „Nikt nie zwróci na mnie uwagi, nikt nie zapamięta mego wyglądu”.

191

Na szczęście miał trochę drobnych w kieszeni, starczyło mu na bilet. Pomyślał, że „szesnastka” jedzie aż za Stadion Olimpijski, na Sępolno. To była długa trasa, tramwaj przecinał całe miasto z południowego zachodu na północny wschód. To doskonale, im dalej znajdzie się od domu, tym lepiej.

Nagle uprzytomnił sobie, że nie tak dawno jechał z ojcem tą samą trasą. Wysiedli na ostatnim przystanku i poszli ulicą Monte Cassino na cmentarz. To była chyba jakaś rocznica, ojciec złożył wiązankę kwiatów na grobie Ponurego, wokół pomnika stało kilkunastu mężczyzn. „Właściwie dlaczego wybrałem Ponurego? — myśli Stefan wpatruje się w kałużę odbijającą intensywny błękit nieba. — Niewiele o nim wiem, słyszałem tylko, że był dowódcą oddziału partyzanckiego gdzieś w Kieleckiem. Ojciec nie miał nic wspólnego z Ponurym, po konspiracyjnej wyspie ukrywał się jakiś czas u babci Wiktorii, potem poszedł do oddziału Podkowy. Skończył tam podchorążówkę, przybrał pseudonim Klim. Świetnie sobie radził, znał okolicę na wylot, pochodził przecież z Zamościa.

Właśnie wtedy na platformie tramwaju Stefan postanowił zakopać przy grobie Ponurego zabrane z domu odznaczenia. Wprawdzie przez moment zawahał się, gdy wysiadłszy z tramwaju zaczął iść wyludnioną ulicą i potem, gdy znalazł się w pobliżu cmentarza. Czy naprawdę musiał to zrobić teraz, w nocy? Wiatr kołysał nagimi ramionami wysokich drzew, w zaroślach coś szumiało, zdawało mu się, że słyszy jakieś kroki, szepty, ale nic nie widział. Noc była pochmurna, na niebie ani jednej gwiazdy, ani skrawka księżyca.

Przemógł się, stłumił odruch lęku, musi to zrobić właśnie teraz! Oderwać się natychmiast od wszystkiego, co go jeszcze łączyło z domem, potargać nici, które

192

ciągnęły z powrotem, zagłuszyć głos powtarzający uparcie: „Wróć, zanim będzie za późno”.

Biegł przez cmentarz na oślep, potykając się o mogiły, zawadzając o krzyże, na szczęście dobrze pamiętał, w którym miejscu leży Ponury. Zresztą masyw tego okazałego pomnika rysował się wyraźnie.

Zabrał z domu finkę, przydała się; przy pomocy mocnego ostrza wykopał dość głęboki otwór, wrzucił weń owinięte w chustkę odznaczenia i szybko zasypał ziemią.

Podniósł się z klęczek z poczuciem zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, ale już w następnej chwili ogarnął go niesmak i zwątpienie.

Czy rzeczywiście słusznie postąpił? Czy miał prawo tak postąpić? Kto go upoważnił do sądzenia własnego ojca? Ojca?!

Stefan z satysfakcją przydeptał poruszoną ziemię, zatarł butem ślady. Przecież nie ojcu odebrał odznaczenia, lecz obcemu człowiekowi. W dodatku otrzymał je Klim, a Klima już dawno nie było.

Postanowił, że opuści cmentarz krótszą drogą, nie miał ochoty iść znowu między grobami do głównej bramy. Poszedł w kierunku zarośli obrastających cmentarz od strony nadodrzańskich wałów. I tam właśnie...

Stefan zrywa się z ławki, zaczyna spacerować szybkim krokiem po wyłożonej kamieniami dróżce. Idiota, niedorozwinięty pajac! Żeby dać się tak głupio zaskoczyć! Co prawda napastników było czterech, co prawda zarzucili mu na głowę coś miękkiego, z czym nie sposób było walczyć, co krępowało ruchy, co prawda podcięto mu nogi.

...powiedzieli, że zrobili to dla draki, nie mieli względem niego złych zamiarów, po prostu nudzili się sie-

195

dząc w krzakach i zobaczyli wychodzącą z mroków cmentarza postać, przyszło im na myśl, by postraszyć amatora nocnych spacerów. Potem, gdy zaczął się szamotać i na oślep wymierzać ciosy, musieli przyłożyć mu parę szturchańców, by się uspokoił i nie psuł im zabawy.

...nieśli go dość długo, trzymając jakąś płachtę za cztery rogi, kołysali, podrzucali, słyszał ich przyciszone głosy, szum wody, widać szli brzegiem kanału. Potem coś zaczęło głucho dudnić pod stopami idących, poczuł chłód, woda zaszumiała gwałtownie, pomyślał, że pewno idą przez most na słuzach. Próbował wydostać się z tej matni, ale to nie było łatwe. Gdy tylko udawało mu się przewyciężyć opór napiętej tkaniny i dotknąć stopami ziemi, niosący unosili go wyżej i znów tracił grunt pod nogami. Nie wiedział, jak długo trwała ta wędrówka, w końcu przestał się szamotać, zaniechał oporu. Niech się dzieje, co chce, wszystko jedno, kto go niesie i dokąd. Zatrzymali się wreszcie, puścili równocześnie rogi płachty, upadł na ziemię bezwładnie jak worek. Zapiszczały przeraźliwie otwierane drzwi, ktoś wepchnął go do środka.

...to była jakaś szopa, magazyn czy coś w tym rodzaju. W bladym, pełgającym blasku świecy Stefan zobaczył puste, pachnące smołą beczki, ułamki narzędzi, porozrzucane papiery, szmaty... Zobaczył też nareszcie napastników. Stali wokół niego i po prostu pękali ze śmiechu. Wszyscy czterej byli młodzi, najstarszy miał najwyżej siedemnaście lat, pozostali — mniej. Przestali się wreszcie śmiać, zaczęli wypytywać, co robił na cmentarzu, przypuszczali, że chodziło o zakład, że Stefan miał przed kimś wykazać swoją odwagę.

— Morowy jesteś! — pochwalił go najstarszy. — Nie każdy odważyłby się przyjść na cmentarz w nocy, zupełnie sam. Klarnet, ty byś się spietrał, no nie?

196

ч

Klarnet, wysoki i bardzo chudy piegowaty blondynek, wtulił głowę w ramiona i nic nie odpowiedział.

Usiedli na stercie pustych worków, któryś wyciągnął z kąta flaszkę owocowego wina, odkorkował i puścił w krąg.

Stefan zdjął okulary (jakie szczęście, że nie zginęły, nie stłukły się podczas bójki!), przymknął oczy i stał tak nieruchomo, oparty o ścianę domu.

Spodobał się tym chłopakom, czuł, że zaimponował im odwagą, uważali go za „chojraka”, za „swego chłopca”. Dopiero gdy odmówił udziału w libacji, gdy odsunął brudną, lepłą flaszkę, znów zaczęli się śmiać. „Pa-niczek”, „maminsynek”. Zmusili go do otwarcia ust, wlewali mu wino wprost do gardła, krztusił się, dławił, prychnął, musiał tykać kwaśny płyn, nie było innej rady.

Dopiero gdy powiedział, że uciekł z domu, spojrzeli na niego z szacunkiem, uznali za swego. Oni też, wszyscy czterej, „byli na ucieczce”, tak właśnie wyraził się Klarnet. Jeden od paru dni, drugi od wczoraj, dwaj pozostali już przeszło tydzień.

— I tak nas zgarną prędzej czy później — mruknął najstarszy. — Trzeba użyć póki co — i otworzył następną flaszkę.

Klarnet uciekł z domu już czwarty raz i na pewno nie ostatni.

— Nie trzymają mnie pod kluczem — mówił — zawsze mogę dać nogę w świat. Jak wracam z ucieczki, ona jest przez jakiś czas lepsza, daje mi spokój, potem znów zaczyna. To ja wtedy znów uciekam.

„Ona” to była druga żona jego ojca, macocha. Nie lubiła Klarneta, nie dawała mu jeść, kochała tylko własne dzieci. Ojciec jest taksówkarzem, rzadko bywa w domu, zresztą przy ojcu ona jest inna. Tylko wciąż skarży „Klarnet to, Klarnet tamto”... A właściwie nie Klarnet, tylko Bolek, to jest jego prawdziwe imię.

113

— No to ja mam tego dość, tata jest nerwowy, zaraz łapie za pas i...

Jak mnie odstawią do domu, też dostanę wały, ale przynajmniej ze dwa tygodnie będzie spokój. A na wakacje i tak pojedę do babci.

— Dlaczego nie opowiesz wszystkiego ojcu, dlaczego mu nie wytłumaczysz? — spytał Stefan ze współczuciem, patrząc na wymizerowaną twarz Klarneta, na jego sińce pod oczami i chude, patykowate ręce.

— Iii tam — wzruszył ramionami Klarnet. — Myślisz, że z moim tatą można pogadać! „Masz się słuchać” — i koniec. Jak mama żyła, też mnie łał, tylko rzadziej, bo mama nie dawała.

Klarnet mówił o biciu jak o czymś zwyczajnym, chodziło mu tylko o to, żeby w tej czynności „nie przekraczać normy”.

Jego, Stefana, nikt nigdy nie uderzył. A ten drugi, niski i krępy, uciekł z domu, bo...

— To nie był dom — powiedział. — W więzieniu ludzie mają więcej swobody. Do szkoły, ze szkoły i ani kroku dalej. Nie pozwalali mi iść ani na wycieczkę, ani do kina, nie puszczali do kolegów, nawet na podwórze nie zawsze mogłem wyjść. „Masz się uczyć” — słyszałem cały czas. Bo mama wbiła sobie do głowy, że muszę zostać doktorem albo adwokatem. No, co ja zrobię, że z tej nauki niewiele mi we łbie zostawało? Uczyłem się i uczyłem, w domu wszystko świetnie umiałem, a na drugi dzień w szkole — ani w ząb! Powtarzałem już dwie klasy, piątą i szóstą, i teraz też... z pewnością... Tata powiedział, że mnie zabije.

Tylko jeden z całej czwórki uciekł z domu, „Bo miał takie usposobienie”, jak sam o sobie powiedział. Sepleniał mocno, pewno dlatego wołali go „Pscół”. ;

— Lubię być na ucieczce — wyznał. — Lubię kawałek świata zobaczyć. Złapią to złapią, ale co zobacę, to

200

moje. A w domu nudno, nic tylko do szkoły chodzić, urwać się można. • •

■■<.*

Najstarszy, ten który wyglądał na siedemnaście lat, nie był rozmowny i skłonny do zwierzeń. Klarnet szepnął Stefanowi, że Kosa zwiął z poprawczaka już drugi raz. Dostał wyrok za włamanie do kiosków...

— On jest cwany — powiedział z szacunkiem — ma wszędzie chody, wie, gdzie się obrócić, jak nie podpaść; to właśnie jego melina. I forszę ma. Dlatego się go trzymamy, Pscół a i ja. Przypadał nas koło dworca, nie wiadomo, po czym poznał, żeśmy nawiali z domu. Bo ja razem z Pscół a przyjechaliśmy aż z Poznania.

Jakie Kosa miał „chody” i skąd pochodziła jego forsa, Stefan wkrótce się przekonał. Właśnie wykończyli drugą flaszkę wina, gdy na zewnątrz ktoś zagwizdał w specjalny sposób. Kosa uchylił drzwi szopy i wpuścił dwóch wyrostków. Przez chwilę rozmawiali szeptem, coś wzięli od Kosy, coś mu podali, chyba pieniądze, bo Kosa chuchnął w rękę i schował mały pakiecik do woreczka pod koszulę. Dopiero po załatwieniu transakcji, jeden z przybyłych wyjął flaszkę wina i znów zaczęła się libacja.

Tym razem Stefan się nie wzbraniał, zobojętniał na wszystko, szumiało mu w głowie, nie jadł przecież kolacji i wino wypite na pusty żołądek zamroczyło go. Pociągnął spory łyk, potem drugi i trzeci, nagle poczuł się jakoś dziwnie. Wprawdzie zauważył, że jeden z nowo przybyłych ogląda z wielkim zainteresowaniem jego buty, że drugi rozchylił mu płaszcz i ze znanstwem obmacuje porządną, wełnianą wiatrówkę, ale nie zwrócił na to uwagi. Miał ochotę gadać, wszystko jedno co, ale język był oporny, sztywny, słowa uciekały z pamięci, jakoś trudno było wymówić cokolwiek. Rozśmieszyło go to, usłyszał własny dziwnie piskliwy chichot, zrobiło mu się wesoło. Chciał wstać, przekonać

201

się, że ciężkie nogi i ręce znajdują się na swoim miejscu, ale to okazało się zbyt trudne, właściwie niewykonalne. Potem film się urwał.

„Widocznie .wtedy zdjęli ze mnie płaszcz i resztę — rozmyśla Stefan patrząc na kota, który przycupnął na progu domu i nastawił grzbiet pod ciepłe promienie słońca. Płaszcz marny, czapka też do niczego, ale buty były prawie nowe, wiatrówka bardzo ładna i skarpetki dziś po raz pierwszy włożone. Finka też mi zginęła. Dobrze, że chociaż zostawili koszulę i spodnie. Łobuzy! Na pewno opylą moje rzeczy za parę złotych i kupią to wstrętne wińsko! I co teraz będzie? Nie mogę przecież używać rzeczy pana Antoniego. W zbyt obszernym swetrze wyglądam jak strach na wróble, a rozczłapane chodaki spadają mi z nóg. W tym stroju nie pokażę się ludziom, ładne bym zrobił wrażenie!”

Poczuł nagły skurcz serca, niemiły dreszcz przebiegł po plecach. To był lęk! Stefan uświadomił sobie, że jest zupełnie sam, że nie może liczyć na niczyją pomoc, że jest zdany na własne siły. Pan Antoni... no cóż, dobry człowiek, ale co może dla niego zrobić? Nakarmił go, odstąpił własne łóżko, pożyczył sweter — i co dalej? „Kiepski początek” — pomyślał.

Chciał wstać z ławki, gdy wtem zauważył dziwne zachowanie kota. Maciuś, siedzący spokojnie na progu, nagle miauknął przeraźliwie, jednym susem wskoczył na okratowanie okna, a stamtąd na dach. Jakiś cień przesłonił Stefanowi słońce. Chłopiec podniósł wzrok i zobaczył przed sobą wysoką, chudą postać. Nie wiadomo dlaczego, przyszło mu na myśl, że ten patrzący spode łba wyrostek to Klipa.

Klipa już dawno odszedł, zostało po nim tylko kilka niedopałków wdeptanych w ziemię i zmięte opakowa-

202

nie sportów rzucone pod ławkę, a Stefan wciąż siedział bez ruchu i nie miał odwagi podnieść spuszczonego oczu.

Och, jaki wstyd! Miał ochotę zapaść się pod ziemię, nigdy w życiu nie czuł się taki speszony, zbity z tropu. Gdybyż te wszystkie gorzkie słowa usłyszał od kogoś, kto budził szacunek, zaufanie, może wstyd byłby mniejszy, rumieniec nie taki palący. Ale od Klipy? Od dręczyciela kotów i łobuza?

— Dureń! — powiedział Klipa. — Idiota! Kretyn! Miałbym ochotę przyłożyć ci takiego kopa w krzyże, żebyś fruwał do domu jak odrzutowiec! Bałwan! Uciekł z domu, bo jakaś małpa chlapnęła coś jęzorem! A gdyby nawet powiedziała prawdę — to co z tego? Bili cię, głodzili,

katowali? Sam powiedziałeś, że byli dobrzy dla ciebie. Och ty!... Co ty wiesz o prawdziwych nieszczęściach! Popróbowalbyś żyć tak jak ja... Nic, tylko rób i haruj, i nawet dobrego słowa nie usłyszysz. Chciałem się uczyć dalej, chciałem być tokarzem, nie pozwolili. „Obcych będziemy wynajmować?” No pewno, obcy nie robiłby tego co ja, za wyrko w kuchni, za żarcie i za te byle jakie łachy. Gdybym ja... gdyby mnie ktoś wziął za syna, kochał i wychowywał, to mógłby mnie co dzień bić, jeszcze bym go w rękę całował! Rzeczywiście! Straszne nieszczęście cię spotkało, boś się dowiedział, że cię wzięli z domu dziecka, żeś adoptowany, nie rodzony! No to leć, szukaj tych rodzonych, co się ciebie wyparli, czemu tu sterczysz z durną miną i czekasz nie wiadomo na co?

Stefan zerwał się i z pasją kopnął leżący na ścieżce kamień. Po kiego licha wdał się w rozmowę z tym... z tym Klipą? Dlaczego opowiedział mu o sobie? Też

203

znalazł powiernika! Ale to stało się tak nagle... chyba dlatego że z początku Klipa wziął go za kogoś z rodziny pana Antoniego. Spojrzał i zagwizdał z podziwem.

— W kominie zapisać! — powiedział. — Jaśnie państwo przypomnieli sobie o starym dziadzie? A może na przeszpiegi cię przysłali, żebyś wyniuchał, czy jeszcze zipie, czy już niedługo kitę odwali? Szkoda fatygi, spadku i tak nie będzie, panie... Julku.

Więc Stefan wyjaśnił Klipie jego pomyłkę, powiedział, że nie nazywa się Julek i nie jest wnukiem pana Antoniego.

— Ja... ja nie nocowałem w domu, no, tak się złożyło, i zadałem się z jakimiś łobuzami, którzy mnie pobili, okradli, a potem przynieśli tutaj i zostawili w krzakach. Pan Antoni się mną zaopiekował.

W pierwszej chwili Klipa nie zwrócił uwagi na słowa Stefana, usiadł na ławce, zapalił sporta i zaczął mruzczyć z pasją:

— No pewno, jaśnie państwo mają w nosie starego grzyba, niech siedzi w gnoju, niech zdycha! Grunt, że im w domu nie śmierdzi. Wiesz — zwrócił się nagle do Stefana — niedługo będzie trzy lata, jak stary tu mieszka i Filipiakom kury pasie. Za ten czas dwa... nie, trzy razy zajrzał tu jego synalek. Strasznie troskliwy, prawda? Myślisz, że przychodził tu, żeby ojca odwiedzić, żeby mu pomóc? Akurat! Namawiał go na ten dom starców, bo się między znajomymi rozniosło, że wygonili starego z domu, więc bali się ludzkiego gadania! Stefan spojrział z niedowierzaniem. Przecież pan Antoni opowiadał mu zupełnie co innego.

— A wnuczka? — spytał. — Podobno często tu przychodzi, pierze, sprząta? Ta jakaś Anka.

— Akurat! — parsknął niemiłym śmiechem Klipa. <—

204

Już ci stary zdążył bajek naopowiadać? On każdemu mydli oczy tą wnuczką, studentką medycyny. Słuchaj, ja dobrze wiem, jak to jest naprawdę. Była tutaj raz, rozumiesz, jeden raz! Przyjechała z matką, taksówka została na drodze, a one tu przyszły piechotą, bo kierowca jak zobaczył te dziury na drodze, to wolał zaczekać. Więc ta smarkuła jeszcze bardziej pyskowała niż matka: „Dziadek nam wstyd przynosi, co sobie ludzie pomyślą, już sąsiedzi gadają, żeśmy dziadka wyrzucili!” — pisał wysokim, cienkim głosem, naśladując dziewczynę.

— No dobrze, w takim razie dlaczego pan Antoni opowiada?...

— Durny jesteś! — przerwał mu Klipa. — Szkoda, że tyle lat do szkoły chodzisz. Nie rozumiesz, że każdy człowiek musi mieć... no, musi mieć coś takiego... nie potrafię ci wytłumaczyć, ale jak jeszcze chodziłem do szkoły, to opowiadałem w klasie, jakie piękne prezenty dostałem na gwiazdkę, albo że ciotka specjalnie dla mnie usmażyła pączki... okrzykli mnie kłamcą, bo wydało się, że ani prezntów, ani pączków. Więc buchnąłem jednemu chłopakowi łyżwy, drugiemu futbolów-kę, bo chciałem się pochwalić, nie mogłem być gorszy od innych. Koledzy wciąż opowiadali o domu, o rodzicach, więc ja sobie

wymyśliłem dobrą ciocię... Ale i to nie pomogło, tyle że mnie złodziejem zrobili i matki nie pozwalały swoim dzieciom bawić się ze mną.

— Więc ty nie masz nikogo? — Stefan spojrział na Klipę z zainteresowaniem, wydało mu się, że ich losy są w jakiś sposób podobne.

— Nie. Matka umarła, jak byłem bardzo mały, nawet jej nie pamiętam. Ojciec szybko ożenił się drugi raz. Właśnie szedłem do pierwszej klasy, gdy wpadł po pijanemu pod traktor. Po trzech miesiącach macocha się wydała, bo gospodarstwo było duże i bez chło-

205
pa ani rusz. No i dzieci małe zostały, niby moja przyrodnia siostra i brat. No to teraz mam macochę i ojczyma, jestem u nich za parobka, trzymają mnie niby z łaski, ale dobrze im tę łaskę muszę odrobić. Tamci, to znaczy brat i siostra, chodzą do szkoły, uczą się, Maryśka już zdała do technikum, Jacek w tym roku pójdzie do liceum. A ja dalej gnój rozrucam.

— Więc ty mieszkasz na wsi, nie we Wrocławiu?

— Coś ty, przecież tu mieszkam, niedaleko. Widzisz ten wysoki komin i te blaszane dachy obok? To nasze. Tu jest jeszcze miasto, ale ludzie żyją jak na wsi, mają pola, krowy, świnie. Pracują w mieście, a po południu na swoim. Mój ojczym jest nawet fachowcem, na budowie robi jako posadzkarz. To ty nawet nie wiesz, gdzie jesteś?

— Nie.

— Ta dzielnica nazywa się Wojnów, a tam dalej za torami — Strachocin. Bardziej w lewo — Swojczyce. Tam jest duże gospodarstwo doświadczone i stacja metę... no wiesz, taka stacja, gdzie badają temperaturę, opady, wiatr...

Stefan ożywił się. Zaczął zadawać Klipie pytania. A gdzie ta stacja, a czy nie potrzebują tam kogoś do pracy i tak jakoś wygadał się, że jest bez forsy, w pożyczonych butach, że uciekł z domu i nie ma zamiaru wracać. Gdy wyjawiał przyczynę ucieczki, Klipa zerwał się z ławki i zaczął mu urągać. To było takie niespodziewane, że Stefan w pierwszej chwili zapomniał języka w gębie, stulił uszy i słuchał. A potem... potem poczuł taki palący wstyd, że wbił oczy w ziemię i nie odezwał się ani jednym słowem.

Klipa w rozdrażnieniu zaczął biegać po ścieżce, wreszcie zatrzymał się i stanął tak, że Stefan zobaczył dokładnie całą jego twarz. Bo przedtem tak manewrował, że zawsze był obrócony lewym profilem.

206

Teraz dopiero stało się jasne, dlaczego to robił. Klipa miał z jednej strony twarz zniekształconą, policzek poprzerzynany głębokimi, czerwonymi bliznami, skrzywiony kącik ust i jedno oko przymknięte. Twarz Klipy z jednej strony gładka i przystojna, z drugiej była przerażająca. Stefan mimo woli odwrócił wzrok. Klipa to zauważył, musiał też podchwycić iskierkę współczucia w oczach chłopca, bo nagle zatrzymał się i wrzasnął:

— No, co się tak gapisz? Nigdy nie widziałeś takiej gęby jak moja? Ładnie wyglądam, prawda?... Ciekaw jestem, czy twoi rodzice pozwoliliby, żebyś został taki śliczny? Na pewno ze skóry by wyłazili, żeby cię ładnie pozszywać, wygładzić...

— Czy to był wypadek? — z trudem wykrztusił Stefan.

— Pewno, że wypadek. Benzyna wybuchła mi przed samym nosem, bo rzuciłem nieostroźnie niedopałek papierosa. Popatrz — podciągnął rękaw koszuli, pokazał ramię poznaczone głębokimi bliznami — byłem przeszło trzy miesiące w szpitalu, doktorzy robili, co mogli, ale potem powiedzieli macosze, że potrzebna jest operacja plastyczna, że muszą mnie zawieźć do specjalnej kliniki. Macocha tylko ramionami rzuciła: „z taką twarzą też można żyć, do filmu nie pójdzie”. I zabrała mnie do domu. Bo żniwa się zbliżały, roboty było moc, a doktor wyliczył, że musiałbym stracić ze dwa miesiące, że jedna operacja nie wystarczy. No więc chodzę taki urodziwy i ludzi straszę. Czy ci twoi też by tak zrobili?

Stefan musiał zaprzeczyć.

— Ja na ich miejscu — oświadczył Klipa — gdybyś się namyślił i wrócił do domu, zamknąłbym ci drzwi przed nosem! „Idź, skądś przyszedł!” — tak bym powiedział. Ale ty nie z takich, co potrafią sami sobie

14 — Telefon zaufania

209

radzić. Co będziesz robić? Kraść? Rozbijać kioski, ukręcać kłódki w piwnicach? A może masz zamiar siedzieć staremu na karku? To by było najłatwiejsze, co? On by cię wziął do siebie, straszno tu samemu. On już i mnie namawiał, żebym z nim zamieszkał...

— Więc czemu nie skorzystałeś z propozycji?

— Albo ja głupi? Przecież połowa gospodarki mnie się należy, po matce. Na razie muszę cicho siedzieć, ale poczekaj, niech tylko skończę te dwadzieścia jeden lat, zaraz upomnę się o swoje, i hajda! Ani minuty tu nie zostanę. A stary ciebie by chętnie zatrzymał, już dziś rano w sklepie opowiadał, że ma gościa, że we dwóch raźniej, przyjemniej. Mleka więcej kupił i masło, i jaja. Zaraz pomyślałem, że coś w tym jest. No więc jak, zostaniesz ze starym?

— Nie wiem jeszcze... może jakiś czas.

— A co będziesz robił? On ma niedużą rentę, na dwóch nie starczy.

— Coś ty! — oburzył się Stefan. — Przecież ja chcę pracować! Dlatego pytałem, czy nie wiesz o jakim zajęciu.

Klipa gwizdnął lekceważąco.

— A co ty potrafisz? Na siłacza nie wyglądasz... Można w gospodarstwie robić na dniówkę, ale tam trzeba papiery pokazać, zameldowanie, na piękne oczy nikogo nie przyjmą. A zresztą... chłopie, prędko byś uciekł gdzie pieprz rośnie. Myślisz, że to lekka praca, co? Przyjemna, bo na świeżym powietrzu? Akurat! Po dziurki w nosie mam tej pracy, urywam się, kiedy tylko można. Potem dostanę od ojczyma po karku, ale co tam! Zresztą teraz on już nie taki chybki do bicia, wie, że potrafię oddać.

Wstał z ławki, przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy, i powiedział:

— Ja ci radzę, zjeżdżaj stąd! Wracaj do starych, bo

210

potem będziesz żałował, żeś tego nie zrobił. Już ja wiem, jak to bywa.

Urwał nagle i tupnął nogą.

— Ach, ty baranie! Szkoda z tobą gadać i tak nic nie rozumiesz!

Po chwili usiadł na ławce i rozsznurował trampki.

— Co robisz? — zaciekawił się Stefan. Klipa ściągnął buty i mruknął ze złością:

— Patrzeć nie mogę na takiego głupola! Wkładaj trampiszony, bo w tych krypach daleko nie zajdziesz, i pryskaj stąd. Tylko zaraz, zanim stary wróci. Już ja z nim załatwię zamianę. Słyszałeś? Lepiej żebyś sobie poszedł od razu, bo i tak długo nie wytrzymasz. Po co truć starego? Przyzwyczai się do ciebie, polubi, a potem: Adju, Fruziu, pisz do mnie na Berdyczów!

Stefan machinalnie zdjął buty i podał je chłopcu.

— Zajrzę tu po południu, marny twój los, jeśli cię zastanę — powiedział Klipa. Pogroził Stefanowi pięścią i odszedł wolno, człapiąc butami, które i na niego były za duże.

Stefan drgnął i ocknął się z zamyślenia. Poczuł na bosych stopach miękkie dotknięcie. Nawet nie zauważył, kiedy Maciuś zeskoczył z dachu i zaczął się ocierać o niego. Spojrzał na pozostawione przez Klipę trampki. Były zupełnie porządne, tylko bardzo zabłocone. Włożył je, zasznurował. Można wytrzymać, są luźne, ale nie spadają z nóg. Nie, to przecież niemożliwe! Przyjął prawie nowe buty od takiego biedaka? Dlaczego się zgodził, dlaczego nie protestował? Nie będzie mógł oddać Klipie pożyczonych trampek, nawet nie wie, gdzie go szukać. I co za upokorzenie!

— Wiesz, Maciusiu, Klipa wcale nie jest taki zły — powiedział schylając się i głaszcząc kota. — „A w dodatku miał rację — pomyślał. — Nie powinienem tu zostać i... szczerze mówiąc... nie mam ochoty. W pierw-

szej chwili zdawało mi się, że tak będzie najlepiej, ale teraz... co ja bym tu robił? Ani do szkoły, ani do pracy... siedzieć na ławce i grzać się w słońcu to dobre na jeden dzień". Stefan podrapał kota za uszmi, potem wstał i pewnym krokiem wszedł do izby. Rozejrzał się. Po chwili znalazł na oknie kawałek papieru i ogryzek ołówka. Zaczął pisać: Bardzo dziękuję za wszystko i przepraszam za kłopot. Postaram się jak najprędzej zwrócić panu sweter, na razie muszę go sobie pożyczyć. Odwiedzę pana, gdy tylko będę mógł. Proszę spytać Klipę, on panu u^ojaśni, dlaczego musiałem odejść. Położył papier na stole i wybiegł z izby, jakby go ktoś gonił.

N

CZEŚĆ IV

Doktor Werner zatrzymał się i rozejrzał. Był niewyspany, zmęczony, marzył o filiżance kawy, która postawiłaby go na nogi. Niestety, w najbliższej okolicy nie było kawiarni, do domu nie miał ochoty wracać, pozostawał więc szpital.

Rozpiął guziki płaszcza, zrobiło się ciepło, słońce grzało jak w maju, chcąc w jednym dniu nadrobić zaległości.

Werner ruszył w kierunku przystanku autobusowego, ale w połowie drogi rozmyślił się. Grzać wodę, myć szklanki?... nie, nie miał do tego cierpliwości, a zresztą wiedział, że gdy tylko pokaże się w klinice, prędko z niej nie wyjdzie, bo mimo wolnego dnia trzeba będzie załatwić sto spraw. Zresztą i tak jego zapas kawy wyczerpał się, należało wstąpić do sklepu, zrobić zakupy... Za dużo zachodu!

„A jednak muszę usiąść gdzieś na chwilę i napić się czegoś gorącego — pomyślał. — Już nie te lata, dawniej gwizdało się na nie przespaną noc, wystarczyła krótka drzemka, chłodny prysznic i zmęczenie spływało jak po gęsi woda".

Ruszył w stronę śródmieścia, pomyślał bowiem, że najwyższy czas zająć się pozostawionym na łasce opatrności samochodem. Wprawdzie jego staruszka sy-

v 213

rena wywoływała raczej uśmiech politowania niż błysk pożądliwości, ale nigdy nic nie wiadomo, lepiej uruchomić ją, zanim zostanie rozebrana na części.

„Wstąpię do sklepu Motozbytu, kupię pas klinowy, a potem skoczę na kawę" — postanowił. Szedł ulicami zalanymi wiosennym słońcem — ostatecznie nie wsiadł do tramwaju. Ten pierwszy od wielu dni ciepły dzień zachęcał do spaceru, zresztą czy warto jechać dwa przystanki? Na rogu Pereca zauważył starą kobietę z koszem pełnym fiołków. Machinalnie sięgnął do kieszeni, nagle zapragnął poczuć w palcach chłód wilgotnych łądyżek, powąchać drobne, fioletowo-niebieskie kwiatki. Przystanął nawet na chwilę, potem szybko poszedł, ścigany zachęcającymi okrzykami kobiety: — tylko pięć złotych, świeże, pachnące...

Komu miał kupować kwiaty? Od wielu lat taka pozycja nie istniała w jego budżecie, jeśli nie liczyć imienninowych wiązanek wręczanych koleżankom z pracy.

„Głupstwo — pomyślał — są ludzie, którzy przez całe życie nie kupili ani jednego kwiatka, choć mają kamu je kupować".

U Lewandowskich cały róg dużego pokoju był zastawiony kwiatami. Kaktusy, filodendron, palmy, na ścianie jakaś pnąca roślina, której nazwy nie znał. Widać pani Anna lubi zieleń, bez niej mieszkanie jest puste i martwe.

Właściwie dlaczego nie oddał inżynierowi odzyskanych odznaczeń? Na co liczył, czego się spodziewał? Już wówczas, gdy rozstał się z Lońkiem, pomyślał, że odznaczenia powinien zwrócić ojcu Stefan. I że pewno zechce to zrobić. Tylko kiedy? I w jaki sposób?

Wchodząc do mieszkania Lewandowskich, które przybrało już normalny wygląd, jeśli nie liczyć pękniętego lustra w przedpokoju, Werner na końcu języka miał wiadomość o znalezieniu odznaczeń. Włożył nawet rękę

do kieszeni, namacał brzęczące zawiniątko, ale w chwilę później cofnął rękę. Nie. Ta sprawa musiała się rozstrzygnąć między ojcem a synem, pośrednictwo obcego człowieka nie było ani pożądane, ani właściwe.

Lewandowscy byli spokojniejsi, zresztą on sam słysząc o odnalezieniu pistoletu, odetchnął z ulgą. Przecież nigdy nie wiadomo, co mogło smarkaczowi strzelić do głowy. Życie zaczyna się cenić dopiero po czterdziestce, gdy człowiek coraz częściej usiłuje zatrzymać uciekający zbyt szybko czas.

Wysłuchał relacji inżyniera, sam opowiedział o swoich poszukiwaniach, zatajając wizytę w mieszkaniu Kopciów. Dowiedział się, że kilkakrotnie dzwonił Wacek, zainteresowany sprawą nocnego telefonu.

— Nie jest wykluczone, że ostatecznie Stefan wylądował u kogoś z rodziny — powiedział inżynier — wysłaliśmy depesze jeszcze w nocy, dostaliśmy negatywne odpowiedzi, co jest zrozumiałe, wzięwszy pod uwagę odległość. Do Lublina przeszło czterysta kilometrów.

— Rozmawiał pan z jego kolegami? — spytał Werner.

— Owszem — przyznał niechętnie Lewandowski — ale oni o niczym nie wiedzą, niczego nie podejrzewali. Niepotrzebnie traciłem czas i... Wprawdzie powiedzieli mi o Stefku wiele ciekawych rzeczy, ale obraz Stefana, nakreślony przez jego przyjaciół, różni się zasadniczo od tego, co ja wiem o nim.

— To jasne — uśmiechnął się niewesoło Werner — rodzicom przecież nie mówi się wszystkiego, nie o wszystkim się z nimi dyskutuje. Istnieją sprawy i problemy zamknięte przed nami na klucz, niemożliwe do zrozumienia, przynajmniej w pojęciu młodych. Inżynier słuchał z roztargnieniem. Werner odniósł wrażenie, że coś chowa w zanadru, że o czymś ważnym nie chce czy nie może mówić. Bąknął parę słów

o jakimś obrazku widzianym w gabinecie dyrektora liceum, w końcu machnął ręką i powiedział:

— Głupstwo, to nie należy do rzeczy, zresztą pewno mi się przywidziało. Mój syn hołduje nowoczesnemu malarstwu, a jak pan wie, trudno coś wiedzieć na pewno, patrząc na te bazgroły.

Werner wszedł do sklepu z częściami samochodowymi i na chwilę zapomniał o wszystkich innych sprawach. Wyszedł po kilkunastu minutach, mocując się ze źle opakowanym zakupem, wreszcie zmiął papier, a elastyczną, gumową obręcz zwinął i wcisnął do kieszeni płaszcza.

Wstąpił do baru Tempo, wypił na stojąco dużą kawę i poszedł machinalnie prosto przed siebie, w stronę głównego dworca. Dopiero gdy minął gmach poczty, uprzytomnił sobie, że idzie w złym kierunku, że powinien zawrócić i wsiąść do „zerówki”. Zerknął na zegarek. Było jeszcze wcześniej, zaledwie wpół do jedenastej, lekcje przeważnie trwają do drugiej. Teraz dopiero pojął, że impuls pchnął go w okolice szkoły, do której uczęszczał Leszek. „Po co ja tam idę?” — pomyślał, ale nie zawrócił.

Po chwili znalazł się przed szkołą. Zapalił i patrzył z napięciem na drzwi wejściowe. Były zamknięte, ale po paru minutach Werner usłyszał stłumiony dźwięk dzwonka, daleki gwar, drzwi otwarto z impetem zdolnym wyrwać najcięższe zawiasy i na podwórzu wysypała się chmara młodych chłopców i dziewcząt.

„Prawda — pomyślał — duża przerwa”.

Spacerował wzdłuż ogrodzenia, nie usiłując nawet w masie jasnych i ciemnych głów odnaleźć Leszka, gdy nagle usłyszał znajomy głos:

— Ojciec do mnie? Czy coś się stało?

Leszek stał po drugiej stronie siatki i patrzył na niego chłodno, spokojnie, wyczekująco.

— Nie. Chociaż... Chciałbym porozmawiać z tobą — odparł szybko Werner dziwiąc się, że dopiero teraz wpadł na ten pomysł.

— Dobrze się składa — powiedział Leszek idąc w stronę bramy — właśnie miałem ojca zawiadomić, że pierwszego nie będę miał czasu.

— Ale teraz chyba też?... — Werner urwał, bo do syna podbiegła śliczna, czarnowłosa dziewczyna i chwyciła go pod ramię.

— Wiec jak będzie, Lechu? — powiedziała, patrząc błagalnie na chłopca — przyjdiesz?

— Mogę przyjść — odparł cicho chłopak — chociaż nie wiem po co, wiesz, że nie tańczę.

— \y charakterze podpory intelektualnej — zaśmiała się dziewczyna — a jeśli chodzi o tańce... gdybyś tylko chciał... — Rzecz w tym, że nie chcę! — uciał Leszek. — Więc o której?

— Osiemnasta zero zero. Odeszła szybkim, lekkim krokiem. Leszek patrzył za nią przez chwilę, potem powiedział do ojca:

— Mamy całą godzinę wolnego czasu, teraz będzie gimnastyka.

Werner poruszył się niespokojnie.

— jak t0? — spytał. — Wcale nie ćwiczysz? Masz zwolnienie?

— A jak ojciec myślał?

— No, nie wiem... — Werner speszył się jak zwykle, gdy była mowa o kalectwie Leszka. — Myślę, że niektóre ćwiczenia nawet dobrze by ci zrobiły — spojrzał z troską na szczupłą, wiotką postać syna.

— Nie bawi mnie to — mruknął Leszek. Uchylił bra-
217

mę i gestem zaprosił ojca do środka. — Jest ciepło — powiedział — możemy posiedzieć na ławce. Zaraz będzie dzwonek.

Rzeczywiście, po chwili podwórze opustoszało. Woźny kręcił się jeszcze jakiś czas, podniósł zgubioną przez kogoś chusteczkę, wrzucił do kosza zatłuszczony papier, wreszcie i on zniknął za drzwiami szkoły.

— Słucham — powiedział Leszek — o czym chciał ojciec ze mną mówić?

— Jak sądzisz — zaczął bez wstępów Werner — jeśli szesnastoletni chłopiec dowiaduje się od kogoś „uczynnego”, że jest dzieckiem adoptowanym, o czym do tej pory nie wiedział, czy twoim zdaniem to jest wystarczający powód, by uciec z domu? Nie chodzi o nikogo znajomego, wczoraj wieczorem Wacek Rajewski dyżurując przy telefonie miał taki przypadek — uprzedził ewentualne pytania syna.

Leszek zamyślił się i dopiero po chwili odpowiedział:

— To zależy.

— Od czego?

— Od wielu spraw. Od tego, czy kochał rodziców, czy oni go kochali, ale tak naprawdę, nie dlatego, że wypełniają uczciwie przyjęte zobowiązania, jak był traktowany... no w ogóle od jego warunków domowych.

— Wszystko było w absolutnym porządku — odparł .spiesznie Werner.

— Od kogo o tym wiesz?

— Od jego rodziców. Leszek machnął ręką.

— To nie ma znaczenia — powiedział lekceważąco. — Rodzice zawsze wiedzą najmniej i wcale nie to, co najważniejsze.

— On sam o tym mówił Wackowi — przypomniał sobie Werner — powiedział, że w domu było mu bar-

218

dzo dobrze. Mimo to uciekł. Zdemolował mieszkanie, zabrał pamiątkowy pistolet ojca, jego odznaczenia wojskowe i uciekł.

— Ooo — Leszek spojrzał na ojca z nagłym zainteresowaniem — to ciekawe. Czy mógłbym poznać szczegóły?

— Oczywiście. — Werner skwapliwie przekazał synowi wszystko, co wiedział o Stefanie, o jego rodzicach i okolicznościach ucieczki.

Chłopiec słuchał uważnie, nie przerywając ojcu. Gdy ten skończył, milczał jeszcze jakiś czas, wreszcie spytał:

— Dlaczego ojciec tak interesuje się tym chłopcem? Sprawa jest szczególna, ale w swojej praktyce spotkał ojciec wiele równie niecodziennych. Chociaż... nie musi mi ojciec odpowiadać, wiem, skąd bierze się to zaangażowanie, domyślam się. To z powodu jego samobójczych projektów, prawda? Coś podobnego już raz przeżyliśmy...

Werner zbladł, spojrzał na syna prawie z odrazą. Czy można być aż tak okrutnym? Opanował się jednak, odpowiedział spokojnie:

— Chyba masz rację.

Leszek uśmiechnął się szeroko, jak gdyby słysząc coś niesłychanie miłego i zabawnego, i mówił dalej zwyczajnym głosem, bez cienia zdenerwowania czy napięcia:

— Interesuje mnie ten chłopak. Nie dlatego, że chciał się zastrzelić. Zresztą myślę, że wcale nie miał takich zamiarów, choć ojciec twierdzi, że się w porę opamiętał czy stchórzył.

Wszystko układa się w bardzo logiczny ciąg: wiadomość o adopcji — wyłamanie szuflady — zdemolowanie mieszkania — przekreślenie rodzinnego zdjęcia — podpis N. N. — to wszystko mogłoby świadczyć, że przeżył ciężki szok z powodu czy-

219

jejs, nazwijmy to delikatnie, niedyskrecji. Ale zabranie odznaczeń ojca, zakopanie ich przy grobie dowódcy oddziału partyzanckiego, zniszczenie prezentów — to już inna sprawa.

Myślę, że ten chłopak przeżył jakieś rozczarowanie, sparzył się, zawiódł... I myślę, że ta utrata złudzeń dałaby o sobie znać prędzej czy później, choć może nie w tak ostrej formie.

Wiadomość o adopcji była tylko katalizatorem, przyspieszyła przebieg reakcji.

Leszek umilkł i uważnie spojrzał na słuchającego w skupieniu ojca.

— Czy nie mam racji? — spytał.

— Nie wiem, może... — odparł Werner. — W takim razie chłopiec po jakimś czasie przegryzie w sobie wszystko, przetrawi i wróci.

— Nie jestem tego zupełnie pewien; nie wiadomo, czy odebrano mu wszystkie złudzenia, czy coś jednak mu pozostało — powiedział powoli Leszek. — Spojrzał na ojca prawie z gniewem. — Co wy o nas wiecie? — „Źle wychowani, pewni siebie, cyniczni” — prawda? „Długowłose tajemnicze stwory w obcisłych portkach i z gitarami. Żyją, by jeść, słuchać płyt i wymyślać coraz dziwniejsze stroje i rozrywki. Bezmyślni epigoni, zjadacze okruchów ze stołu bogatszych rówieśników z Anglii, Francji, Ameryki” — tak? „Bezkrzytyczni naśladowcy, zbuntowani z niejasnych powodów, sami niepewni, przeciw czemu się buntują!” A przecież my też mamy swoje bóstwa, wierzymy im i gdy się zawalą... to gorsze niż trzęsienie ziemi, wiesz?

Werner spojrzał na syna ze zdumieniem. Pierwszy raz słyszał z jego ust podobne zwierzenia. Ale Leszek miał w oczach tak wyraźną kpinę, że ojciec poczuł wzbierający gniew. Nie dogadają się nigdy, to niemożliwe, zbyt wiele narosło między nimi nieporozumień. Wstał.

220

— Dziękuję ci za rozmowę — powiedział sztywno. — Daj mi znać, kiedy mam cię oczekiwać.

— Dobrze — bąknął chłopiec i wstał także. Werner odszedł już kilkanaście kroków, gdy postyszał głos Leszka.

— Tatus...

Drgnął, poczuł nagłe, obezwładniające wzruszenie. Ileż to lat nie słyszał tego słowa? Leszek mówił do niego per „ojciec”. Zawrócił.

— Czy mogę przyjść do ciebie dzisiaj? Będiesz miał czas wieczorem?

— Oczywiście, Leszku. O której? —■ O siódmej. I jeszcze coś...

Werner zbliżył się do syna, uderzył go dziwny, bolesny wyraz zaciśniętych ust, ściągniętych brwi. Leszek pasował się z czymś, co przychodziło mu pokonać z ogromnym trudem.

Wreszcie przemówił:

— Tamto... to był wypadek. Już dawno chciałem ci o tym powiedzieć.

Odwrócił się i pobiegł w stronę szkoły tak szybko, jak pozwalała mu na to nieco krótsza noga. Stefan opuściwszy mieszkanie pana Antoniego szedł szybko przez pola, nie oglądając się za siebie, jakby w obawie, że coś skłoni go do powrotu. Trochę żałował swojej decyzji; ta obskurna buda, zastawiona prymi[^] tywnymi sprzętami, była jednak jakąś przystanią, schronieniem, czuł się tam bezpiecznie, a zresztą pan Antoni ofiarował mu coś więcej niż łóżko i śniadanie, coś, co go podniosło na duchu, zmyło gorzki osad, pozostały po spotkaniu z panią M., z Kosą, z jego kumplami. Właściwie szkoda, że po rozmowie z Klipą zrozumiał bezcelowość pozostania u tego starego człowieka, to by było takie proste...

221

Pola skończyły się, Stefan szedł teraz ulicą, mijały go samochody, autobusy, grupki ludzi. Pomyślał, że niedługo znajdzie się w mieście, że może spotkać kogoś ze znajomych, że ojciec prawdopodobnie zawiadomił o jego ucieczce milicję i że na pewno go szukają, choćby dlatego, że ma przy sobie broń.

„To było straszne głupstwo! — stwierdził poniewczasie. — Po co zabierałem parabelkę? Niechby ją sobie czyścił i oglądał raz na miesiąc, niechby po raz setny opowiadał o potyczce pod Kozakami, o zasadzce na żandarmów patrolujących linie telefoniczne, o wysadzeniu torów... Właściwie dlaczego zaczęły mnie drażnić jego w-sponmienia?”

Włożył rękę do kieszeni, namacał pudełko z nabojami. Jakim cudem nie wypadło podczas szamotaniny z napastnikami na cmentarzu? Chyba tylko dlatego, że spodnie były bardzo obcisłe, kieszenie przylegały tak mocno, że z trudnością można było wsunąć dłoń.

„Jednak na coś się przydała moda — pomyślał. — A ojciec zawsze wyśmiewał moje spodnie, twierdził, że wyglądają jak skurczone w praniu.”

Przeszedł przez most, zawahał się, nie wiedział dokąd iść. Nie miał już pieniędzy na tramwaj, zresztą wcale nie uśmiechała mu się jazda do śródmieścia. Mógł powłóczyć się po dwóch pobliskich dzielnicach, po Sępolnie albo Biskupinie, to nawet było bezpieczne, ludzie mieszkali tu przeważnie w willach odgradzonych od ulicy sztachetami i ogródkami, nie zwracali uwagi na przechodniów. I oczywiście nie spotykało się tu tyle milicji, co w centrum. Jednak wolał nie ryzykować. Tu też przecież docierały patrole, kręcili się dzielnicowi. Jeśli mają jego rysopis...

Zszedł w dół obok mostu i włókł się powoli wzdłuż kanału powodziowego. Nie wiedział, która godzina, ale sądząc po słońcu i po uczuciu głodu musiała minąć pora

222

obiadu. Przy którejś z kolei kępie zarośli zatrzymał się, usiadł na kamiennym słupku i siedział wpatrzony w leniwie płynącą wodę. Teraz dopiero zdał sobie dokładnie sprawę ze swego położenia. Siedział tu bez grosza, w pożyczonym swetrze, w którym wyglądał jak strach na wróble, nie wiedział, co będzie robił, dokąd pójdzie, gdzie spędzi dzisiejszą noc. Przecież nie można bez końca tkwić w zaroślach, spacerować, kryć się przed ludźmi, przed milicją. A jeśli ktoś go rozpozna? Jeśli w końcu trafi na komisariat?

Stefan zerwał się z kamienia, poczuł przyspieszony łomot serca. Nie, tylko nie to! Miałby wrócić do domu pod eskortą milicji, doprowadzony na miejsce jak złoczyńca?!

„Dlaczego postąpiłem tak pochopnie, tak bez zastanowienia — rozważa z żalem — trzeba było wszystko obmyśleć, przygotować. Mam przecież trochę pieniędzy na książeczce PKO, starczyłoby na bilet. Pojechałbym gdzieś na drugi koniec Polski, zgłosiłbym się do pracy, przecież małoletnich też przyjmują. Mógłbym mieszkać w hotelu robotniczym, uczyć się w wieczorowej szkole. Ale kto zechce gadać z takim obdartu-sem, przecież wystarczy mój wygląd, by wzbudzić podejrzenia. W dodatku nie mam żadnych papierów, świadectw, zostawiłem nawet legitymację szkolną. Ach, jakież ze mnie głupiec”.

Zaczął machinalnie iść dalej brzegiem kanału. Słońce zaszło na chwilę, pochłodziło, Stefan poczuł niemile dreszcze na plecach i ramionach, zaczął je rozcierać, pomyślał, że gdyby teraz zachorował...

„Nie, nie jestem chory — pocieszał się — to ta nie przespana noc daje mi się we znaki”. Od wody, od wilgotnej ziemi ciągnął chłód, chłopiec bez zastanowienia zbiegł z nasypu i skręcił w pierwszą z brzegu ulicę. Po chwili stwierdził, że zawędrował aż

223
na Zalesie, znajdował się w pobliżu kąpieliska Morskie Oko, często tu przychodzili z Romkiem, choć bliżej mieli na Krzyki.

Romek... Ależ tak! Czemu wcześniej o tym nie pomyślał! Tylko Romek mógł mu pomóc, na niego można liczyć, to morowy chłop, spód ziemi wytrząśnie pieniądze, postara się o porządne buty, coś na miejsce spłowiałego, rozciągniętego swetra. Tylko jak go zawiadomić? O tym, by Stefan mógł pójść pod szkołę, nie było mowy, tym bardziej pokazanie się w pobliżu domu Romka było niebezpieczne, mieszkali przecież bardzo blisko siebie. Gdyby choć wiedział, która godzina, dziś lekcje kończą się przed drugą.

Romek chyba już zdążył wrócić do domu. Po prostu zatelefonuje do niego.

Ktoś nadchodzi z przeciwnika, jakiś starszy, porządnie ubrany pan. — Przepraszam, która godzina? — zagadnął Stefan.

Zapytany machinalnie uniósł rękę, nagle jakoś dziwnie spojrzął na chłopaka, zacisnął usta i mruknął:

— Nie mam zegarka.

Odszedł przyspieszając kroku i oglądając się podejrzliwie.

— Co mu się stało? — zdziwił się Stefan. — Czemu mi nie odpowiedział? Jestem pewien, że miał zegarek. A może?...

Krew buchnęła mu do twarzy, zaczął iść szybko, oddalać się od tego miejsca, od tego człowieka.

„Więc wyglądam aż tak podejrzanie? Więc można przestraszyć się niewinnego pytania o godzinę? No tak, zdarzają się takie wypadki, odludna uliczka, samotny przechodzień, wystarczy jedno uderzenie i zegarek zmienia właściciela. Ładna historia, muszę mieć piękną powierzchowność, nie myłem się dziś, nie cesałem,

224

spodnie zabłocone, sweter jak ze starszego brata, ponura mina... Tym bardziej muszę skontaktować się z Romkiem. Za wszelką cenę!

Ruszył dalej. Szczęście mu sprzyjało, w pobliskiej willi otwarto okno, jakaś kobieta zawołała do dziewczynki bawiącej się w ogrodzie:

— Małgosiu, wracaj na górę, już trzecia, zaraz musimy wyjść!

Trzecia, a więc Romek na pewno jest w domu, chyba właśnie siada do obiadu... Zobaczył na rogu ulicy budkę telefoniczną. Podbiegł i nagle uprzytomnił sobie, że nie ma ani grosza. Jakże uruchomi automat, potrzebna jest pięćdziesięciogroszówka! Zaczął gorączkowo przeszukiwać kieszenie, może jednak coś znajdzie. Niestety, poza pudełkiem z grzechoczącymi wewnątrz nabojami, w kieszeniach nie było absolutnie nic. Stefan usiadł na kamiennym podmurowaniu

sztachet otaczających niewielką willę, łokcie oparł na kolanach, palce utopił we włosach. Ogarnęła go rozpacz. Z powodu braku pięćdziesięciu groszy nie mógł porozumieć się z przyjacielem? To przecież absurd! Musi zdobyć te pieniądze, choćby miał kogoś poprosić, choćby miał je ukraść!

Tak, dobrze powiedzieć, poprosić, ukraść... Uliczka pusta jak wymieciona, ani śladu człowieka. Czy ma dzwonić do drzwi, żebrać?! •

Cóż, trzeba poczekać, niedługo mieszkańcy okolicznych domów będą Wracać z pracy na obiad i może wtedy... Na myśl o jedzeniu poczuł ślinę napływającą do ust. Był głodny, tak głodny, że połknąłby nie jeden, ale trzy obiady. Rano wypił przecież tylko mleko, nie mógł przełknąć ani kęsa, wczoraj też wyszedł bez kolacji.

Postłyszał tupot nóg, podniósł głowę. Mała dziewczynka w różowym sweterku skakała na jednej nodze,

15 — Telefon zaufania

225

£

zręcznie przerzucając nad głową skakankę. Stefan wstał.

— Czekaj — powiedział ochryplym głosem — nie bój się — dodał widząc, że oczy dziecka robią się okrągłe ze strachu — przynieś mi pięćdziesiąt groszy. Idź do domu i poproś mamusię, żeby ci dała pięćdziesiąt groszy. Słyszysz? Szybko!

W odpowiedzi mała przymknęła oczy, za to otworzyła szeroko usta i krzyknęła. Nie, to za słabe określenie, rozdarła się z całych sił.

— Maaamaaa!

Stefan zdrętwiał. Tylko tego brakowało! Syknął:

— Nie rycz, żartowałem przecież. Zmykaj.

Wrócił na swoje miejsce, oparł się plecami o sztachety. Był absolutnie bezradny, nie widział żadnych możliwości zdobycia tych durnych pięćdziesięciu groszy. Miał rację Klipa, nie był z tych, którzy potrafią sobie sami radzić. Nagle drgnął, poczuł lekkie szturchnięcie w ramię. Obejrzał się. W ogrodzie, wystawiwszy łeb przez sztachety, stał duży wilczur i poufale trącał go nosem. Stefan uśmiechnął się i zagadał do psa. Lubił zwierzęta, nie obawiał się ich, więc widząc, że wilczur macha przyjaźnie ogonem, wsunął rękę między żelazne pręty, chcąc go pogłaskać. W tym samym momencie poczuł ostry ból i odruchowo krzyknął. Pies capnął go za ramię i trzymał, nie puszczając.

Stefan usłyszał dziewczęcy głos:

— Czort, do nogi!

Wilczur machnął ogonem, ale nie zwolnił uchwytu. Właściwie nie trzymał zbyt mocno, Stefan mógł łatwo wyszarpnąć rękę, ale z doświadczenia wiedział, że wtedy właśnie powstają najmocniejsze skaleczenia, a zresztą walka z przeciwnikiem posiadającym broń w postaci mocnych, wilczych kłów wcale mu się nie uśmiechała.

226

_**

— Czort! Nie wolno! Puść, słyszysz?

Ścieżką nadbiegła dziewczyna w mini spódniczce i czerwonym swetrze, chwyciła za obrozę. Pies otworzył pysk i uwolnił jeńca.

— Ugryzł cię? — spytała z niepokojem. — Mocno? Bardzo mi przykro, Czort wcale nie jest zły, jest tylko strasznie czujny. Czy chciałeś wejść do ogrodu?

— Nie — odparł ponuro Stefan rozcierając zdrętwiałe palce — siedziałem zwyczajnie na podmurówce. Ale to moja wina, chciałem go pogłaskać i...

— Ojej! — przerwała mu dziewczyna. — Masz krew na dłoni! Widać mocno chwycił. Ach, ty! — zamierzyła się na psa, który szczebkał wesoło, wcale nie zawstydzony swoim wybrykiem. — Trzeba ranę obmyć i opatrzyć. Nie denerwuj się, bo Czort jest zupełnie

zdrowy, co roku szczepimy go przeciwko wścieklicznie, ale zawsze lepsza ostrożność. Chodź, otworzę furtkę.

Po chwili Stefan znalazł się w dość zaniedbanym ogrodzie i poszedł za dziewczyną ku drzwiom prowadzącym ku willi.

Na schodach nieznajoma właścicielka psa przystanęła, zawahała się.

— Może lepiej wejdziemy bokiem, ojciec gniewałby się, że nie pilnuję Czorta, sama ci zrobię opatrunek.

Poprowadziła Stefana przez wąskie drzwiczki, korytarzem, do ciemnego hallu, gestem wskazała mu schody.

— Idź na górę, ja zaraz przyjdę — szepnęła. Wróciła po chwili, niosąc bandaż, jodynę, watę.

— Właż — zaprosiła chłopca do swego pokoju. Stefan podciągnął rękaw swetra, na przedramieniu

widniały -cztery niewielkie ranki, ślady kłów Czorta, krew sączyła się z nich coraz wolniej, właściwie już przestała płynąć.

— Niepotrzebnie robisz tyle szumu — burknął Ste-

fan, gdy dziewczyna obmywszy mu rękę wodą utlenioną, sięgnęła po jodynę — nic mi nie będzie!

Wstydził się, było mu głupio, że ta śliczna dziewczyna (teraz dopiero zauważył, jaka była ładna), czysta i ubrana jak lalka, widzi jego brudne ręce, stary sweter, zabłocone trampki.

— Gotowe! — właścicielka Czorta zawiązała starannie końce bandaża i odgarnęła włosy opadające na policzek. — Do jutra nie będzie śladu. Gniewasz się? — spytała nieśmiało, widząc pochmurną twarz pacjenta.

— Skądże. Przecież nic się nie stało. Wstał z tapczanu, rozejrzał się bezradnie.

— Musisz mnie wyprowadzić — powiedział — nie chciałbym znów mieć zatargu z twoim psem.

— Oczywiście, chociaż jeśli już wszedłeś do domu, Czort uznał cię za swojego.

Wyszli z pokoju, dziewczyna przechyliła się przez poręcz schodów, szepnęła:

— Droga wolna.

Ale Stefan zamiast zejść po schodach, wlepił oczy w uchylone drzwi, dostrzegł biel kafelków, połysk niklowanych kranów. To była łazienka.

— Czy mógłbym się umyć? — spytał nieśmiało. Ach, co to za rozkosz po nocy spędzonej nie wiadomo

gdzie, zdjąc z siebie brudny, przepocony łach i poczuć na skórze łagodne, ciepłe strużki wody, pachnącą pianę dobrego mydła, a potem szorstkość włochatego ręcznika. Ze wstrętem naciągnął z powrotem sweter, znalezionym na półce grzebieniem przeczesał włosy „na mokro”. Spojrzał w lustro. Nareszcie odzyskał ludzki wygląd, nawet nie przypuszczał, że był aż tak brudny.

Gdy wyszedł z łazienki, dziewczyna czatująca pod drzwiami, położyła palec na ustach i wciągnęła go do swego pokoju.

228

— Rodzice są w hallu na dole, nie możesz teraz wyjść.

Stefan pomyślał, że wcale mu się nie śpieszy. Miły pokój i towarzystwo sympatycznej dziewczyny było znacznie bardziej pociągające niż samotność na ulicy. A co najważniejsze — bezpieczne.

Usiadł i nagle dostrzegł stojący na stoliku talerz pełen herbatników i cukierków. Przełknął ślinę, nie mógł oderwać wzroku od słodczy. Dziewczyna musiała zauważyć dziwny wyraz jego twarzy, bo szybko przysunęła talerz i powiedziała:

— Poczęstuj się.

Stefan sięgnął po pierwszy z brzegu herbatnik i nagle cofnął rękę.

— Dziękuję — powiedział obojętnie — nie jestem głodny.

Nagle drgnął, jakiś dźwięk spowodował, że podskoczył na fotelu.

— Czy to telefon? — spytał z nadzieją. Dziewczyna skinęła głową.

— Czy mógłbym... czy pozwoliłabyś mi zadzwonić?

— Jasne. Ale musisz poczekać, aparat jest na dole. To nie potrwa długo, mama wybiera się na czwartą do fryzjera, a ojciec popołudniami nigdy nie siedzi w domu. Jedz — ponownie podsunęła Stefanowi talerz z herbatnikami i sama wzięła cukierek — strasznie lubię słodczyce, a ty? Mama zawsze mówi, że będę gruba jak beczka, jeśli nie przestanę opychać się czekoladą i ciastkami.

Stefan uśmiechnął się blado. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić, by ta wysoka, długonoga dziewczyna mogła upodobnić się do beczki.

Zjadł kilka herbatników, dwa cukierki, poczuł się lepiej, niemiłe ssanie w dołku ustąpiło.

— Właściwie... — zaczął — właściwie powinienem

231

ci coś wyjaśnić. Wiem, że wyglądam dość podejrzanie, ale... Dziewczyna syknęła „cicho” i podbiegła do drzwi.

— Joasiu, wychodzimy — Stefan usłyszał kobiecy głos. — Ja idę do fryzjera, wrócę koło siódmej. Będziesz w domu?

— Tak, mamo.

— Gdyby dzwoniła pani Zosia, powiedz, że jestem u fryzjera w rynku.

— Dobrze.

„Ładne ma imię — pomyślał Stefan — Joasia. Nie znałem dotąd żadnej Joanny, ona jest pierwsza”. Dziewczyna zamknęła drzwi, podeszła do okna.

— Widzisz — powiedziała — wychodzą oboje. Jeszcze tylko parę minut i zostaniemy sami.

— Sa-mi, sa-mi — zaczęła podśpiewywać, podskakując na jednej nodze — lubię być sama w domu, a ty?

Stefan wzruszył ramionami.,

— Nie wiem — odparł — u nas zawsze ktoś jest w domu. Mam małą siostrę, mama po powrocie z pracy rzadko wychodzi, ojciec też nie lubi być poza domem, mówi, że kiedyś trzeba odmieszkać czynsz.

— To ładne — zamyśliła się Joasia. — My nie płacimy czynszu, tylko jakiś podatek, ta willa jest nasza, dziadek zajął ją natychmiast po przyjeździe do Wrocławia, jeszcze w czterdziestym piątym roku. Może dlatego zawsze tu pusto? Słuchaj — powiedziała innym tonem — przyniosę ci coś do zjedzenia, na pewno zostało mięso z obiadu. Nie udawaj, widziałam, jak łykałeś ślinkę, patrząc na herbatniki. Jesteś głodny i musisz zjeść porządny kotlet, cukierki to dobre na deser.

Stefan nie zdążył zaprotestować, dziewczyna wybiegła szybko z pokoju, usłyszał tylko tupot nóg na schodach. Usiadł wygodnie w fotelu, przymknął oczy.

232

„A jednak mam szczęście — pomyślał. — Teraz zjem porządny obiad, potem zadzwonię do Romka, jutro będę miał trochę pieniędzy, bieliznę, może jakieś buty. Jak to dobrze, że Joasia ma psa, jak to dobrze, że Czort mnie ugryzł”.

Wyprostował się. Wracała Joanna, a sądząc po jej wolnych, ostrożnych krokach, musiała dźwigać nie lada ciężar. Przełknął ślinę, utkwiał wzrok w drzwiach.

Stefan odłożył słuchawkę i odetchnął z głęboką ulgą. Nareszcie, po serii niepowodzeń, szczęście uśmiechnęło się do niego. Roman był w domu, Sam podeszedł do telefonu i tak bardzo ucieszył się, słysząc głos przyjaciela, że Stefan poczuł niemęskie wzruszenie. Nigdy nie przypuszczał, że Romkowi aż tak zależało na nim, że przejmie się jego sprawą jak własną. Tylko po co opowiadał mu o rozmowie z ojcem, o swojej bytności w domu, o mamie? Stefan nie«chciał tego słuchać, to było zupełnie niepotrzebne, te namowy, by wrócił, by zmienić plany. Musiał porządnie objechać Romka, krzyknął na niego, by wreszcie zamilkł, by

zrozumiał, że postanowienie jest nieodwołalne. Ale ten jeszcze oponował, jeszcze usiłował tłumaczyć Stefanowi, że robi straszne głupstwo, że przecież wszystko można jakoś załatwić, wyjaśnić, że...

— Przestań! — powiedział w końcu Stefan. — Nie szalej! Robisz takie tragedie, jakbym chciał na zawsze wyjechać do Ameryki. Ja chyba w końcu wrócę do domu, ale nie teraz. Teraz jeszcze nie mogę, muszę jakoś wszystko sobie ułożyć, uporządkować, mam w głowie zupełny mętlik. Już sam nie wiem; czego chcę, na czym mi zależy, a na co gwizdę. Musiał to powiedzieć, musiał okłamać Romka, inaczej nie uzyskałby od niego pomocy, bo było zupełnie

233

jasne, że chłopak łamał się, chciał być lojalny wobec przyjaciela i wobec jego rodziców. W końcu Romek dał się przekonać, obiecał zdobyć bieliznę, buty, kurtkę, tylko co do pieniędzy wyłoniły się nieoczekiwane trudności.

— Nie mam dużo forsy, nie potrafię oszczędzać, może uzbieram ze sto złotych, jeśli ojciec da mi d conto tygodniówki — powiedział z żalem.

No cóż, dobre i sto złotych, chyba można zajechać za te pieniądze do Warszawy, oczywiście drugą klasą, osobowym pociągiem. A potem trzeba będzie sobie radzić inaczej.

Stefan chciał, by Romek dostarczył mu rzeczy i pieniądze jeszcze dziś wieczorem, nie miał ochoty nocować w krzakach, sądził, że uda mu się wyjechać nocnym pociągiem. Ale to okazało się niewykonalne.

— Nie da rady, chłopie — oświadczył Romek stanowczo. — Ojciec wyszedł, wróci późno, Lilka też ma po południu ćwiczenia, ona by mi może pożyczyła, to dusigrosz, zawsze jest nadziana forszą po dziurki w nosie. No i muszę jakoś dyskretnie wyciągnąć z pawlacza walizkę, buty i kurtkę, z których wyrosłem. Mama jest w domu, zaraz by zaczęła śledztwo. Musisz wziąć na wstrzymanie.

W końcu uzgodnili, że Romek urwie się po dwóch lekcjach, nie pójdzie na wychowanie fizyczne, powie, że coś go boli i nie może ćwiczyć. Rano dom jest pusty, wszyscy wychodzą, wtedy łatwo przygotuje wszystko. Spotkają się w parku Szczytnickim, przy japońskiej bramie.

— Tylko pamiętaj — powiedział groźnie Stefan — jeśli piśniesz komuś choć słówko, jeśli mnie wydasz... — urwał, nie wiedział, jakimi słowami zakląć Romka, jak go przekonać, by milczał, by nie próbował zdrady.

234

— Nie bój się — odparł ponuro Roman. — Nikomu nie powiem. Wiem, że robię głupstwo, ale trudno. Tylko jedno mi musisz przyrzec. Zrób coś, żeby matka wiedziała, że nic ci się nie stało, że jesteś cały i zdrowy. Gdybyś widział, jak ona wygląda, jak się męczy...

— Więc ty zadzwoń...

— Tak, żeby się wydało, że okłamałem ich, że wiedziałem o wszystkim i milczałem, a w końcu pomogłem ci w tym wariactwie. Nie, bracie. To już sobie sam załatwiał! Napisz albo zadzwoń, w ogóle rób, co chcesz!

— Napiszę. Później. Zostaw mnie! Będę czekał jutro od dziesiątej. Cześć!

Stefan obejrzał się. Skrzypnęły drzwi, to wróciła Joanna. Wyszła z pokoju, gdy telefonował, widać wyczuła, że Stefan chce mówić bez świadków, że ma do załatwienia coś bardzo ważnego i woli być sam. Uśmiechnęła się.

— Wszystko w porządku? — spytała.

— Tak. Chyba już pójdę... — Stefan podniósł się i spojrzał niepewnie.

— Spieszysz się? Posiedź jeszcze trochę, mama nie wróci przed siódmą, a ojciec późno w nocy.

— Nie spieszę się, prawdę mówiąc nie mam nic do roboty.

— Więc zostań. Lubię takich nieoczekiwanych gości. Spadłeś jak z nieba, a ja uwielbiam niespodzianki. Nudzę się, gdy mija dzień za dniem zwyczajnie, bez żadnych sensacji.

— Ale może ja zabieram ci czas? — Stefan miał wielką ochotę zostać, czuł się jednak skrepowany swoim wyglądem i sytuacją — pewno musisz odrobić lekcje.

— Powinam ■ — skinęła głową Joanna — ale nie muszę. Nic wielkiego się nie stanie, jak raz pójde do

235

szkoły nie przygotowana. Zresztą jutro nie ma ważnych przedmiotów. A ty? Ty już nie chodzisz do szkoły? — spytała.

— Chodzę. Do liceum. To znaczy... chodziłem. Skończyłem z nauką, idę do pracy — powiedział zupełnie nieoczekiwanie dla samego siebie Stefan. Aż sam się zdziwił swojej otwartości. Chyba zrobił to po to, by zaimponować dziewczynie, bo gdy zobaczył błysk zainteresowania w jej oczach, poczuł satysfakcję. Nie chciał, żeby wzięła go za włóczęgę, za obdartego łazika, za byle kogo, wołał, by uznała go za osobę tajemniczą, zagadkową, niech wie, że ma do czynienia z kimś intrygującym, niezwykłym... Osiągnął cel, bo dziewczyna usiadła na kanapce, podciągnęła wysoko kolana i oparłszy na nich podbródek, patrzyła na chłopca z podziwem i ciekawością.

— Jak to „pójdziesz do pracy”? — spytała. — Czy musisz to zrobić? A może nie chcesz się uczyć? A co na to twoi rodzice? Tak nagle zdecydowałaś się porzucić szkołę? Dlaczego? Może cię wylali?

Stefan po raz pierwszy od paru dni roześmiał się serdecznie.

— Czy nie za wiele pytań na raz? Odpowiem ci po kolei. Lubię się uczyć, zawsze chciałem zdać maturę i pójść na studia... chyba na medycynę. Nie wylali mnie ze szkoły, sam odszedłem. Nie mam innego wyjścia. Trzeba z czegoś żyć, a więc muszę zarabiać. Jasne? Dziewczyna spoważniała, spojrzała na Stefana ze współczuciem.

— A więc straciłeś rodziców. To straszne! — stwierdziła. — Czy nie masz rodziny? Czy nikt nie może ci pomóc? Powinieneś starać się o stypendium, o internat, przecież z każdej sytuacji można znaleźć jakieś wyjście.

236

Stefan poczerwieniał. Zapomniał, jakie są dziewczęta, zresztą nigdy nie umiał z nimi rozmawiać. Sam wyzwolił tę lawinę pytań i teraz nie potrafił jej zatrzymać. Joanna nie zamilknie, póki nie zaspokoi swojej ciekawości. Ale co jej powiedzieć? Prawdę? Po co? Lepiej wymyślić jakąś prawdopodobną a smutną historię, będzie zachwycona. Dziewczyna nie spuszczała z niego oka, pod jej baczny, przenikliwym spojrzeniem Stefan zmieszał się, odwrócił głowę. Usłyszał cichy głos Joanny:

— Zwiąłeś z domu, prawda? Nie mów nic, nie zaprzeczaj, strasznie nie lubię, gdy ktoś kłamie, zresztą ja się od razu domyśliłam. To przez kontrast między twoim wyglądem a zachowaniem. W pierwszej chwili pomyślałam: włóczęga, obdartus, może chuligan? Trochę się bałam, gdy szedłeś za mną po schodach na górę. Ale potem gdy zaczęliśmy rozmawiać, zrozumiałam swoją pomyłkę. Jesteś dobrze wychowany, ładnie jesz, jesteś inteligentny, obyty. Nie spałeś w domu, długo nie jadłeś nic porządnego, prawda? Miałeś żdźbła trawy we włosach i plamy błota na spodniach. I gdy tylko zobaczyłeś łazienkę, zapragnąłeś się umyć, to znaczy, że nie jesteś przyzwyczajony do niechlujstwa. No i ten telefon. Bardzo ci zależało, żeby móc zadzwonić, byłeś czerwony jak burak nakręcając numer, na pewno nie chodziło o jakieś głupstwa.

— Sherlock z ciebie... — uśmiechnął się Stefan.

— Daj spokój! Nic mnie nie obchodzi, dlaczego uciekłeś. Nie chcę wiedzieć, to twoja sprawa. Coś ci powiem... Ja to rozumiem, ja sama nieraz miałam ochotę gwizdnąć na wszystko i znaleźć się daleko od domu. Nawet raz byłam już przygotowana, spakowałam

walizkę, podjęłam pieniądze z książeczki... Nic z tego nie wyszło, bałam się, nie wiedziałam, dokąd pójść, co robić.

237

Stefan spojrzął z niedowierzaniem. Więc ona też? Ale dlaczego? Wyglądała na szczęśliwą i zadowoloną z życia, była wesoła, pogodna.

— Dziwisz się? — spytała smutno Joanna, jakby czytając w jego myślach. — Założę się, że w tej chwili zachodzisz w głowę, co mnie do tego skłoniło, rozważasz: „Czego ona może chcieć, przecież ma wszystko, powinna być zadowolona”!

— Nie —■ zmieszał się Stefan — ja nie o tym... chociaż coś w tym rodzaju przyszło mi na myśl. Nie wyglądasz na cierpiącą ofiarę! — dodał z nagłym zniecierpliwieniem.

No bo co taka wymuskana laleczka może wiedzieć o prawdziwych kłopotach? Pewno obraziła się na ro~ dziców, bo nie chcieli jej kupić jeszcze jednej kiecki albo zabronili chodzić na „ubawy”, albo dali po uszach za spóźnione powroty do domu. Nieraz słyszał w szkole skargi „nieszczęśliwych” koleżanek.

Joanna roześmiała się głośno, srebrzyście.

— Chciałbyś, żebym bez przerwy ocierała łzy? Nie potrafię długo się martwić, zawsze wierzę, że będzie lepiej, inaczej. Pewno dlatego nie uciekłam z domu, choć bardzo chciałam. I wiesz... codziennie rano budzę się i myślę: „dzisiaj będzie z pewnością przyjemny dzień”. Potem... potem wcale nie jest przyjemnie, ale wczoraj, gdy kładę się spać, znów mówię sobie: „To nic, od jutra wszystko się zmieni”.

— I nie zmienia się? — spytał z zainteresowaniem Stefan.

— Nie. To jest, owszem, zmienia się, ale na gor- sze — odparła cicho i posmutniała. Stefan zamyślił się. Wcale nie mógł zrozumieć, o czym mówiła Joanna. Może miała jakieś kłopoty w szkole? Może była chora? Chętnie spytałby, o co chodzi, ale dziewczyna onieśmiała go, była jakaś

238

dziwna, wpadała z nienacką w przygnębienie, milkła, by po chwili śmiać się i żartować. Jakby były w niej dwie różne osoby...

„Niezrównoważona”! — pomyślał Stefan i nagle przyszło mu do głowy, że dziewczyna jest taka sama, jak mieszkanie, w którym się znalazł przez przypadek. Jej pokój na piętorku był słoneczny, wesoły, miał mało mebli, a za to dużo śmiesznych drobiazgów, kolorowe zasłony, abażury, na ścianach wycięte z czasopism zdjęcia aktorów i piosenkarzy. Może panował w nim nieporządek, może należało poskładać te porzucane książki, zeszyty, kolorowe fatałaszkę, płyty, ale wtedy utraciłby swój charakter, stałby się banalny, zwyczajny. Gabinet, w którym siedzieli teraz, był zupełnym przeciwieństwem pokoju Joanny, jakby znajdował się w innym mieszkaniu, więcej, w innym stuleciu. Ciężkie ciemne meble, sztywne palmy i fikusy, na drzwiach aksamitne portiery, na ścianach sztychy i obrazy w grubych, złotonych ramach — wszystko to stwarzało niemiłą, dość ponurą atmosferę. Stefan pomyślał, że pokój wygląda jak dekoracja do dziewiętnastowiecznej sztuki teatralnej i że wszystkie te meble stoją na swoich miejscach od wielu lat, kto wie, czy nie od czasów pierwszej wojny światowej, a nawet dużo wcześniej.

Chciał to powiedzieć Joasi, spytać, dlaczego rodzice nie przemeblowali gabinetu, obrócił się ku niej i nagle spostrzegł, że dziewczyna płacze.

Położyła głowę na kolanach, skuliła się, tylko po drzeniu pleców Stefan poznał, że usiłuje opanować szloch. Stał bezradny, zmieszany, gdyby na miejscu Joasi siedziała Monika, wiedziałby doskonale, co zrobić. Po prostu wyjąłby chustkę i wytarł małej oczy i nos. Ale to była Joanna, nie Monika. A zresztą i tak nie miał chustki.

239

Nagle Joanna podniosła głowę, odrzuciła w tył rozsypane wokół twarzy włosy i powiedziała zupełnie spokojnie:

— Wiesz? Moi rodzice nie kochają się.

Stefan zbaraniał. Nie tylko dlatego, że Joanna powiedziała taką rzecz, lecz dlatego, że wbrew jego przypuszczeniom wcale nie płakała. W każdym razie oczy miała suche. Musiał zrobić głupią minę, bo dziewczyna zerwała się z kanapy i stanawszy przed nim, krzyknęła:

— No, co tak patrzysz? Oni się nie cierpią, patrzeć nie mogą na siebie, dawno by się rozeszli, gdyby nie ja! Kłóca się prawie co dzień, zamykają się w pokoju i wydaje im się, że ja nie słyszę, nie domyślam się. Mama krzyczy, trzaska drzwiami i wychodzi. Dawniej ojciec też krzyczał, też trzaskał drzwiami, teraz po prostu milczy. I to jest jeszcze gorsze, mama tego nie znosi, mówi, że nie można kłócić się ze ścianą. A ja... ja już nie mogę tego wytrzymać, czasami zatykam uszy, a czasami mam ochotę też krzyczeć i rzucać talerzami! I płacę, bardzo często płacę, gdy nikt nie widzi.

Joanna umilkła i tylko nerwowo skubała frędzle serwety okrywającej stolik.

— To bardzo przykre — powiedział Stefan. — A o co oni się kłóca?

— O wszystko! — machnęła ręką Joanna. — O ważne sprawy i o drobiazgi, czasami mi się wydaje, że im wszystko jedno, o co robią awantury, po prostu chcą sobie dokuczyć. Ojciec zachowuje się specjalnie tak, żeby mamę doprowadzić do pasji, drażni ją, docina, jest złośliwy, przykry. To dziwne, bo w ogóle to jest bardzo miły, dobry, wszyscy go lubią.

— Nie kochasz matki? — spytał Stefan. Joanna wzruszyła ramionami.

240

— Kocham, oczywiście, że kocham. Kiedy była • w szpitalu i robili jej operację, myślałam, że zwariuję

ze strachu. Wciąż zdawało mi się, że umrze, widziałam ją w trumnie, bladą, nieruchomą. Ale tak na co dzień... Wiesz, wracam ze szkoły i przez całą drogę rozmyślam — czy mama będzie dziś w dobrym humorze, czy odejdzie od stołu w połowie obiadu? Czy znów oberwie się ojcu, a przy okazji i mnie, gdy będę próbowała ją uspokoić? Najgorsze, że nigdy nie wiadomo, o co się rozgniewa, co ją wyprowadzi z równowagi.

— Na ciebie też krzyczy?

— Jasne! O byle co. Że za długo rozmawiam przez telefon, że nie podlałam kwiatów, że nie sprzątnęłam po sobie łazienki, że siedzę u koleżanek. Czasami oczywiście ma rację, że mnie też niezłe ziółko, wcale nie twierdzą, że nie.

— A ojciec?

— Tatuś nigdy na mnie nie krzyczy, chyba że mu poprzewracam papiery na biurku. Na wszystko mi pozwala, wprost przeciwnie niż mama. Ojciec jest dla mnie bardzo dobry, ale on nie interesuje się moją nauką, nie chodzi na wywiadówki, nie zna moich kolegów i koleżanek, prawie nic o mnie nie wie. Ostatnio bardzo rzadko bywa w domu. Wraca z pracy, zjada obiad i zaraz wychodzi. Teraz wyszli razem, ale myślisz, że to ma jakieś znaczenie? Na pewno na rogu się rozstali, mama wsiadła do jednego tramwaju, on do drugiego, mama poszła do fryzjera, a ojciec... nie wiadomo dokąd. Ja go rozumiem, ja bym też wolała iść do kawiarni, do kina, do znajomych niż siedzieć w domu i wysłuchiwać krzyków.

— A mówiłaś, że lubisz być w domu.

— Lubię być sama, to co innego. Wtedy jest tak miło, spokojnie, mogę słuchać radia albo płyt, godzinami gadać przez telefon, mogę robić, co mi się po-

14 — Telefon zau tania

241

doba. Słuchaj — spojrzała badawczo na Stefka — czy twoi rodzice się kochają? Prawda! — spłoszyła się nagle — przepraszam, zapomniałam, że ty nie masz rodziców.

— Kto ci to powiedział? — burknął Stefan cały czerwony. — Mam rodziców, to znaczy... miałem. Ech, mniejsza z tym, ale jeśli cię to interesuje... tak, bardzo się kochali, w naszym domu nigdy nie było awantur, ojciec mówił do mamy „Aniu, Anusiu”, oczywiście, czasem się kłócili, ale zaraz żalowali tego, jedno drugie przepraszało. Chodzili razem do kina, do teatru,

na spacer. I cały czas gadali. Mnie się to najwięcej podobało, że zawsze mieli o czym mówić ze sobą. Bo skoro jest się małżeństwem tyle lat, to już wszystko wiadomo o drugim człowieku. A moi rodzice wciąż mają sobie coś do powiedzenia.

— Więc jak to w końcu jest? — spytała Joanna. — Masz rodziców czy nie?

— Mam — odparł niechętnie Stefan — ale...

— I ty... ty uciekłeś z takiego domu? — nie wiadomo, czy we wzroku Joanny było więcej zdumienia, czy oburzenia. — To przecież wspaniały dom, cudowni rodzice! Dlaczego to zrobiłeś? Czekał, czekał... zdaje mi się, że' (ty wszystko zełgałeś, uciekłeś z domu, bo masz coś na sumieniu i boisz się wracać, tak?

Stefan zerwał się gwałtownie, potracił stolik, duża, mosiężna popielniczka spadła na ziemię. Na szczęście była pusta.

— Co cię to obchodzi?! — krzyknął. — Przecież na początku powiedziałaś, że o niczym nie chcesz wiedzieć, że ci jest wszystko jedno! Zapomniałaś o tym?

Joanna spojrzała na niego chłodno, wyniośle.

— Zdaje się, że popełniłam omyłkę. Jesteś jednak źle wychowany. Cóż to za zwyczaje: krzyczeć na kobietę, w dodatku w jej własnym domu?

242

Gniew opadł, Stefan miał ochotę roześmiać się; choć z trudem, zachował jednak powagę. Paradna była ta obrażona mina Joasi, jej słowa wypowiedziane tonem zgorznej ciotki. Ale miała rację, zachował się niegrzecznie i ordynarnie.

— Przepraszam — powiedział — jestem po prostu zdenerwowany, byle co wyprowadza mnie z równowagi. Lepiej już pójdę.

Joanna gwałtownie skoczyła ku drzwiom, położyła dłoń na klamce.

— Nigdzie nie pójdziesz! — oświadczyła stanowczo. — Gdzie będziesz spał tej nocy?

Dopiero jutro ten ktoś, do kogo telefonowałeś, przyniesie ci rzeczy i pieniądze... — urwała, rumieniec zalał jej policzki, czoło, nawet szyję. Spuściła oczy.

— Podśłuchiwałaś! — stwierdził Stefan, bardziej rozśmieszony niż zły.

— Podśłuchiwałam — przyznała Joanna. — Wiedziałam od początku, że coś jest z tobą niekławo, musiałam wiedzieć co.

— Teraz już wiesz?

— Nie wszystko. Ale wystarczająco dużo, żeby ci powiedzieć, że jesteś idiotą. Ale ponieważ nawet idioci muszą gdzieś spać... przenocujesz u nas. Mamy taki mały pokój na mansardzie, to jest właściwie rupiecarnia, ale nikt tam nie zagląda, chyba że robi się wielkie porządki. Przyniosę ci tam składane łóżko turystyczne i pościel. Ktoś w końcu musi się tobą zająć!

— Obejdzie się! — wybuchnął Stefan. — Nie potrzebuję niczyjej pomocy, świetnie sam sobie poradzę.

— Akurat! — Joanna zmrużyła ironicznie oczy. — Przecież nie miałaś nawet na telefon, gdyby nie ja, a właściwie gdyby nie Czort... — roześmiała się, po-

245

stąpiła parę kroków w kierunku Stefana, uśmiechnęła się tak jakoś ładnie, miło. — Słuchaj, po co my się kłócimy? — powiedziała miękko. — Cieszę się, że tu jesteś. Jeśli nie chcesz, nie musisz mi nic mówić. Ja powiedziałam ci o sobie, bo jestem inna, lubię pozbyć się tego, co mam na wątrobie, zaraz mi lżej.

Stefan patrzył długo na czubki swoich butów, wreszcie podniósł głowę i powiedział cicho: — Więc dobrze, powiem ci. Kilka tygodni temu dowiedziałem się, że jako zupełnie małe dziecko zostałem adoptowany.

Słońce już prawie zaszło, jeszcze tylko ukośne promienie drżały na drzwiach prowadzących na taras. Pokój, w którym siedzieli, powoli pogrążał się w półmroku, ale ani Stefan, ani Joanna nie myśleli o zapaleniu lampy. Tak właśnie było dobrze, w niebieskawym, łagodnym świetle zmierzchu, w ciszy, w której słyhać było tylko szmer ich oddechów. Stefan już

dawno umilkł, skończył swoje opowiadanie, z początku sądził, że Joanna zareaguje natychmiast, że zacznie mówić dużo, szybko, chaotycznie. Pomylił się. Joanna milczała, nie powiedziała ani jednego słowa, tylko ściągnięte brwi i skupienie widoczne w jej oczach, wskazywały, że dziewczyna myśli intensywnie, że przeżywa wszystko to, co usłyszała. Dźwięk telefonu przerwał brutalnie ciszę, sprawił, że oboje podskoczyli, jakby ukłuci szpilką. Dzwoniła matka Joasi, powiedziała, że od fryzjera pójdzie jeszcze do znajomych, że wróci późno, że na kolację jest biały ser ze szczypiorkiem i żeby Joanna nie siedziała za długo przy telewizji.

Joasia rzuciła słuchawkę na widełki z taką siłą, że aż coś zabrzęczało w aparacie, a Stefan pomyślał, że

246

takie traktowanie nie wróży najlepszemu telefonowi długiego życia.

— Czemu się złościysz? — spytał. Joanna zasyczała z wściekłością:

— Kolacja, serek, szczypiorek, witaminy... to jest najważniejsze! Moja mama zawsze pamięta o tym, żebym porządnie zjadła, żebym miała odpowiednie odżywienie, żebym poszła wcześniej spać i żebym nie wyszła bez ciepłych majtek! Tylko nigdy nie zapyta, co robię sama w domu, o czym myślę, co mnie cieszy, co smuci. Według niej mam jedwabne życie, dostaję przecież wszystko, czego mi potrzeba, nie chodzę ani głodna, ani obdarta, więc powinnam być szczęśliwa. A mnie to nie wystarcza, rozumiesz! To wcale nie jest najważniejsze: witaminy, ciuchy, własny pokój! Mam koleżankę, która mieszka z rodzicami i dwojgiem rodzeństwa w pokoju z kuchnią. Żebyś ty wiedział, jak tam jest dobrze, jak wesoło, jak oni się kochają, rozumieją. To jest prawdziwy dom, prawdziwa rodzina. I ja jej zazdroszczę! Uderzyła pięścią w kolorową poduszkę, zagryzła wargi, umilkła. Stefan doznał uczucia zawodu. Wyglądało na to, że jego historia nie zrobiła na Joannie większego wrażenia, myślała głównie o sobie, przejmowała się tylko swoimi sprawami. Pożałował teraz szczerości, jakże był naiwny, sądził, że znajdzie ulgę wyznając Joannie wszystko, mówiąc otwarcie bez ogródek o tym, co go gnębiło. Była obca, nic o nim nie wiedziała, to mu ułatwiło sytuację, opowiadał jej o sobie bez skrępowania, jakby chodziło o kogoś innego, o cudzy przypadek, wymagający diagnozy.

Czy rzeczywiście wierzył, że ta dziewczyna pomoże mu, że uda się jej to, czego on nie potrafi dokonać? Że znajdzie odpowiedź, radę, rozwiąże dręczące go problemy?

247

Nagle Joanna ocknęła się z zamyślenia i powiedziała coś takiego, co sprawiło, że Stefan drgnął i najpierw zdumiał się, a potem zaniepokoił. Skąd wiedziała, jakim cudem odgadła, przecież to niemożliwe, by domyśliła się... nie padło ani jedno słowo, które mogłoby naprowadzić ją na trop.

Joanna powiedziała:

— Ty wcale nie uciekłeś z domu dlatego, że przypadkowo dowiedziałeś się o swoim pochodzeniu. Tobie chodziło o coś jeszcze...

— Nie! — krzyknął Stefan. — Mylisz się. Chodziło mi tylko o prawdę! Nie mieli mnie prawa okłamywać. Teraz... teraz to są obcy ludzie, nic mnie z nimi nie wiąże poza... wdzięcznością za to, co zrobili dla mego dobra. Dlatego odszedłem z domu, dlatego nie chcę wracać.

— Nonsens — wzruszyła ramionami Joanna. — Sam w to nie wierzysz. Dlaczego więc zabrałeś odznaczenia ojca, jego pistolet? Powiedziałeś, że zakopując order przy grobie tego partyzanta zwróciłeś tylko to, co należało się umarłym... że twój ojciec stracił do nich prawo, że już nie jest dawnym, bohaterskim Klimem. Chciałeś mu to w jakiś sposób okazać, a nie miałeś odwagi powiedzieć wprost. Nie wiem dlaczego... może się go boisz, a może po prostu zanadto kochasz?

— Co takiego?! — Stefan skoczył na równe nogi. Jakim prawem Joanna odgadła sprawy, które sam przed sobą taił, do których się nie przyznawał? Skąd, u licha, wiedziała o nim więcej niż on sam? Czy to była tylko intuicja? A może...

— Ile ty masz lat? — spytał pozornie bez związku.

— W styczniu skończyłam szesnaście — odparła Joasia — chodzę do drugiej licealnej. Nie, to nie mogła być tylko różnica wieku, parę miesięcy nie miało większego znaczenia. A jednak Joanna

248

była dojrzalsza od niego, bez trudu odnalazła przyczynę, której on nie mógł czy też nie chciał odnaleźć.

— A przy tym myślę, że po prostu zazdrościsz swemu ojcu — usłyszał znów głos dziewczyny. — Zazdrościsz mu, że miał okazję być odważnym, że przeżył tyle niezwykłych rzeczy...

W pokoju było już prawie zupełnie ciemno, Stefan widział tylko jasną plamę na miejscu twarzy Joanny i ledwie zarysy oczu, brwi, ust. To lepiej. Wolał nie patrzeć na nią, mówiącą teraz o sprawach, które ledwie sobie uświadamiał, których dopiero się domyślał, lecz wolał ich nie roztrząsać.

Tak, ona miała rację. Zazdrościł ojcu jego przeszłości, tych sytuacji dramatycznych, skomplikowanych, a w gruncie rzeczy prostych. Wtedy ojciec miał przed sobą wyraźny cel, nie szarpał się, nie łamał, wiedział doskonale, co jest dobre, a co złe, co wybrać, a co odrzucić. Wtedy naprawdę, mimo okropności wojny, koszmaru okupacji, żyło się łatwiej. W tamtych czasach młody człowiek miał tylko jedno zadanie: bić Niemców, walczyć o wolność Ojczyzny.

Ocknął się z zamyślenia, zaczął słuchać uważnie tego, co mówiła Joasia:

— Dla mnie to jest zupełnie jasne. Zawsze podziwiałeś ojca, wybudowałeś mu kapliczkę i teraz nie możesz znieść myśli, że kapliczka jest pusta. Mierzi cię, że ojciec zerwał z bohaterską przeszłością, że w jakiś sposób godzi się, a próbuje sytuację, z którymi należałoby walczyć. Że dla świętego spokoju milczy, ustępuje, że chroni się w cztery ściany swego mieszkania i udaje, że nic nie słyszy, o niczym nie wie. Wstydzisz się za ojca, który w młodości był gotów na śmierć, a dziś lęka się zaryzykować awans, posadę, pozycję.

— Tak — powiedział cicho Stefan raczej do siebie niż do Joanny — tak — powtórzył głośno — masz ra-

249

cję! Drażni mnie to, boli. Dla mojego ojca najważniejsza jest przeszłość. Ucieka w nią, zamyka się w niej jak w szklanej wieży, do której nie dochodzą odgłosy codzienności. I gniewa się, denerwuje, że dla mnie to tylko historia, że nie potrafię przeżyć tego jak on. Że jestem tylko widzem i słuchaczem. A zresztą... niechby sobie wspominał, niechby uciekał w swoje młode lata, nie to jest najważniejsze. Ale on z jednej strony opowiada o tamtych, czasach po to, aby mi zaszczepić wielkie ideały, chce, żebym dążył do Wielkiego Celu, a z drugiej strony każe mi wybrać studia, które mi przyniosą korzyści materialne, pieniądze, stanowisko. Udziela mi lekcji obojętności, oportunisty, wygodnictwa... Czy to ma coś wspólnego z ideałami, czy pieniądze są motorem popychającym ludzi naprzód, czy rzeczywiście najlepiej robić swoje i nie wychylać się, czekać, aż inni odwalą za ciebie całą robotę?

Joanna wstała z kanapy, przeszła się parę razy po pokoju.

— Ja też nieraz o tym myślałam — powiedziała po chwili — wciąż przecież słyszę to od rodziców, od koleżanek... Dorośli bywają czasem niekonsekwentni, ale wydaje mi się, że znam przyczynę. Oni sami przeżyli tyle biedy, włożyli tyle wysiłku, aby do czegoś dojść, że chcieliby nam tego oszczędzić. Im się zdaje, że najważniejsze to mieć zabezpieczoną

przyszłość, a reszta sama przyjdzie. To nieprawda! Takie sytuacje rodzą brak woli, brak celu w życiu. Po co się wysilać, skoro wszystko można dostać gotowe: zawód, mieszkanie, telewizor, nawet... poglądy? Wiesz, czasami zazdroszczę tym, którzy musieli zaczynać od nowa, od zera, oni mieli jakiś cel, coś przeżywali, brali, ale i dawali z siebie wszystko, co najlepsze. Mój ojciec miał osiemnaście lat, gdy razem z dziadkami przyjechał do Wrocławia. Ta willa była prawie zupełnie zrujnowana, tak jak i całe mia-

250

sto, pół roku minęło, zanim przywrócili jej ludzki wygląd. Tata nieraz mi opowiadał, jak na plecach wynosił gruzy, śmieci, jak własnym przemysłem zdobywał szyby, by wstawić okna, jakim świętem było naprawienie rozwalonego pieca i pierwszy zapalony w nim ogień. Czy nam zdarzyło się coś podobnego przeżyć?

W pokoju było już zupełnie ciemno. Joanna zapaliła stojącą lampę, osłoniętą kolorowym abażurem. Stefan aż zmrużył oczy, tak nagły był przeskok z mroku do światła. Spojrzał na Joannę oblaną łagodnym, różowym blaskiem i pomyślał, że teraz jest jeszcze ładniejsza, zamyślona, cała jakby wsłuchana w coś, czego on nie słyszał.

— Właściwie... powinnam ci powiedzieć: wracaj do domu — odezwała się zniecka — ale nie zrobię tego. Ja też nie znoszę nieproszonych rad, wolę sama wszystko przemyśleć, zrozumieć i wtedy zdecydować. Chcesz, obejrzymy sobie telewizję? Albo nie, dziś jest kiepski film, lepiej chodźmy się przejść. Tylko najpierw przygotujemy spanie dla ciebie. No, nie rób min, będziesz tu dzisiaj spał, chyba że masz zamówiony apartament w „Monopolu”? Stefan w oszołomieniu mrugał powiekami. Nie mógł się oswoić z nagłymi zmianami nastrojów u Joanny. Dopiero co była poważna, nawet smutna, a już śmieje się i skacze jak mała dziewczynka. Joanna musiała to zauważyć, bo powiedziała wesoło:

— Dziwisz się? Już ci mówiłam, że nie umiem długo się martwić. Chodź, pomożesz mi wyciągnąć łóżko z pawlacza.

Poszedł w milczeniu za Joanną, wspólnymi siłami ściągnęli lekkie, turystyczne łóżko, zanieśli je na mansardę. W hallu przyłączył się do nich Czort, który na widok Stefana zrobił skruszoną minę i przyjacielsko pomachał ogonem. Joanna przyniosła prześcieradło, koc,

251

małą poduszkę. Pokazała mu różową piżamę w kolorowe kwiatki.

— Szkoda, że nie zobaczę cię w tym stroju! — parsknęła śmiechem. — Powinna być w sam raz, jesteście prawie jednego wzrostu. Mogłabym ci dać piżamę ojca, ale on jest ogromny, zginąłbyś w niej i musiałabym cię szukać!

— Słuchaj — zaniepokoił się Stefan — jak ja jutro wyjdę stąd niepostrzeżenie? Przecież rano wszyscy będą w domu.

— Nie — odparła Joanna — rodzice wychodzą znacznie wcześniej niż ja, ojciec zaczyna pracę o siódmej, a mama o wpół do ósmej. Ja wychodzę ostatnia, mam bardzo blisko do szkoły. Nic się nie bój, wszystko będzie okej!

Zeszli z mansardy, przed drzwiami swego pokoju Joanna przystanęła.

— Nie chce mi się przebierać — skrzywiła się kapryśnie — wezmę tylko spodnie, pochłodzi na dworze.

Stefan milczał patrząc w ziemię i nagle powiedział porywczo:

— Nie pójde na spacer. Pójde... muszę jeszcze coś załatwić... — wołał nie precyzować swoich zamiarów, ale Joanna nie dała się zbyć byle czym.

— Oszalałeś? O tej porze?

— Muszę — powtórzył uparcie — nie wiem dlaczego, ale muszę.

Joanna spojrzała na chłopca z niepokojem.

— Przynajmniej powiedz mi, co zamierzasz? Stefan nieśmiało wyciągnął rękę, ujął palce dziewczyny, ścisnął mocno.

— Jesteś wspaniała — szepnął — naprawdę wspaniała! Nie sądziłem, że są na świecie takie dziewczęta...

252

Ja w każdym razie pierwszy raz spotkałem kogoś, kto... Powiem ci. Muszę iść na cmentarz, wiesz po co.

Joanna nie okazała zdziwienia, nie zadawała pytań. Oświadczyła po prostu:

— Idę z tobą,

Stefan chciał protestować, nie dała mu dojść do słowa.

— Musisz mnie słuchać! — potrząsnęła energicznie głową. — Jestem od ciebie starsza.

— O cztery miesiące! Staruszka.

Nie odpowiedziała, otworzyła zamszową konduktorę, zaczęła w niej grzebać. Po chwili mruknęła:

— Psiakość, mam mało forsy, tylko dwadzieścia złotych. No nic, może wystarczy.

— Na co?

— Na taksówkę, głuptasie. Przecież na Sępólno solidny kawał drogi, zmarznę na kość, nie mam ochoty złapać grypy.

Stefan już nie protestował, w gruncie rzeczy był zadowolony, że pójdzie na cmentarz w towarzystwie Joanny. Zawsze we dwoje raźniej, a zresztą Joanna... Joanna! Teraz był skłonny uwierzyć w to, co setki razy oglądał w kinie, w telewizji, o czym czytał w książkach. Jeszcze wczoraj byłby wzruszył ramionami, wykrzywił się lekceważąco, po co mu dziewczyna, sympatia, sentymentalne bzdury? Męska przyjaźń, owszem, ale przyjaźń z dziewczyną? Czuł się zupełnie idiotycznie, nie poznawał sam siebie. Bo niby dlaczego raptem ma ochotę dotknąć policzka Joanny, pogłodzić jej włosy, uścisnąć dłoń? Przypomniał sobie dreszcz biegnący po plecach, gdy objął palcami palce dziewczyny. To nie był dreszcz wywołany chłodem, wilgocią, o nie! To było coś miłego, rozkosznego, jakieś nieznane a wspaniałe uczucie.

Zerknął nieśmiało na Joannę. Czyżby się domyślała?

253

Patrzyła tak jakoś dziwnie... Może i ona? Zawstydził się i burknął niespodziewanie szorstko:

— Chodźmy.

Gdy siedzieli w taksówce, przyszło mu na myśl, że znów zaciągnął nowy dług. Ileż ich miał do spłacenia? Pan Antoni, Klipa, teraz Joasia. Wszyscy troje coś mu ofiarowali, w czymś pomogli, choć nie zawsze chodziło o pomoc materialną. W gruncie rzeczy bilans się wyrównał, napad czterech wyrostków, utrata płaszcza i butów nie miały większego znaczenia wobec postawy tych trojga.

„Jednak naprawdę mam szczęście” — pomyślał.

Wysiedli z taksówki, skęcili dla niepoznaki w boczną ulicę, nie chcieli iść prosto na cmentarz, by nie wzbudzić podejrzeń. Już i tak kierowca przyglądał im się nieufnie, nie pasowali do siebie, dziewczyna ubrana jak lalka i prawie obdarty chłopak.

Brama była oczywiście zamknięta, musieli przejść-przez ogrodzenie.

Przez moment Joanna zawahała się, widać pożałowała swoich pięknych jasnych spodni, ale to trwało tylko chwilę. Przy pomocy Stefana obyło się bez większej tragedii, tylko na jednym kolanie pozostała brudna. smuga.

Trzymając się za ręce, zaczęli iść w głąb cmentarza.. Może to sprawiła obecność Joanny, może cicha, bezwietrzna pogoda, może księżyc oświetlający drogę, ale Stefan czuł się dużo raźniej, wcale nie myślał o niezwykłości miejsca, zdawało mu się, że idą razem na spacer. Znacznie szybciej niż poprzedniej nocy odnalazł mogiłę Ponurego, już po paru minutach zobaczyli przed" sobą ciemniejsze od ciemnego nieba ramiona wysokiego krzyża.

— To tu — szepnął Stefan.

254

Puścił rękę Joanny, powoli, na palcach podszedł do mogiły. Pamiętał doskonale to miejsce, w którym zakopał odznaczenia. Z lewej strony, obok płyty z napisem. Niestety, nie miał przy sobie żadnego narzędzia, obejrzał się bezradnie, namacał jakiś patyk czy korzeń. Spulchnioną ziemię przekopał łatwo, zbyt łatwo, ubił ją przecież dokładnie, udeptał obcasem. Może to nie to miejsce? Nie, na pewno należało szukać z lewej strony. Odrzucił patyk, darł teraz ziemię palcami, czuł, jak mokra i zimna oblepia mu ręce, nie ustawał jednak, pracował jak szalony. Nic z tego! Podniósł się z kolan, spojrzął na Joannę. Stała po drugiej stronie grobu, patrzyła na niego z napięciem, cała sprężona w sobie, jakby szykująca się do skoku.

— Nie ma! Zniknęły! Ale przecież tu je zakopałem, mogę przysiąc!

Objął głowę rękami, z jękiem ścisnął skronie.

— Co ja teraz zrobię? Gdzie będę szukał? Przepadły, na pewno przepadły! — powtarzał z rozpaczą.

— Nie przepadły, nie... — usłyszał ochryply głos i mimo woli cofnął się, zaskoczony i przerażony.

Z krzaków wyszedł obdarty mężczyzna i zbliżał się krok za krokiem. Joanna krzyknęła cicho. Stefan jednym susem znalazł się przy niej, objął ramieniem. Obojgu mocno biły serca, czuli głuche, niespokojne łomotanie. Kim był ten człowiek? Co robił o tej porze na cmentarzu? Może należało uciekać, może miał złe zamiary? Ale w głosie nieznanego Stefan nie wyczuł groźby, jego ton był uspokajający, dobroduszny. I wiedział coś o zniknięciu odznaczeń. Mężczyzna był już zupełnie blisko. Stefan zobaczył jego małe, uśmiechnięte oczka, ginące w fałdach zmarszczek. Mimo to jeszcze nie dowierzał, jeszcze nie pozbył się lęku. I czuł dygotanie Joasi.

255

— Kim pan jest? — spytał ledwo wydobywając głos ze ściśniętego gardła. — Czego pan chce od nas?

— A taki jeden — mężczyzna machnął lekceważąco ręką — nazywają mnie Loniek.

Roześmiał się głośno, nie bacząc na powagę miejsca, i zmrużył chytrze oczka.

— Niech ktoś powie, że Loniek nie ma nosa! — powiedział z przechwałką. — Wiedziałem, że tu przyjdiesz, nie przypuszczałem tylko, że tak szybko. Szykowałem się na parę dobrych nocy. Fajno jest, cholernie nie lubię parkować między nieboszczykami. Niby oni spokojni, krzywdy nie robią, a przecież głupio, no nie?

— Pan mnie zna? — Stefan był zupełnie osłupiały.

— Znani, nie znam, przedstawione sobie nie byliśmy. Znam jednego doktora, którego koita dostał na punkcie poszukiwań. „Muszę go znaleźć” — powiedział, a on zawzięty jak pies na kości.

— Doktora? — powtórzył Stefan. — Nie znam żadnego doktora, to chyba jakaś pomyłka. Loniek poruszył łopatkami, jakby go coś ugryzło.

— Żadna pomyłka; sam się zaraz przekonasz. Nie mam głowy do nazwisk, ale imię zapamiętałem. Nazywasz się Stefan, zwiąłeś wczoraj z domu i zabrałeś tatusiowi różne pamiątkowe drobiazgi. Zgadza się?

Stefan coraz szerzej otwierał oczy. To zaczynało być niesamowite! Skąd ten człowiek znał takie szczegóły? Kim był doktor, o którym wspomniał? Dlaczego go szukał?

Loniek podniósł kołnierz kusej marynarki, ręce wsunął w kieszenie i mówił dalej:

— Doktor to twarda sztuka, zganiał mnie tak, że nóg nie czułem. Ale wiedział, do kogo uderzyć! Loniek jest jak dobry pies milicyjny, choć z milicją raczej się nie kocha.

Wyniuchałem wszystko w try miga! Wczo-

256

Z(

i

I

raj wieczór naznaczyli sobie towarzyskie spotkanie w krzakach tacy dwaj... Piwko i Dulek. Widzieli, jak zakopywałeś te mendale i cholernie napalili się na szybki zysk. Bo uruchomili wyobraźnię i zdawało się im, że skarb wykopią. Jak dostałeś po łbie od tamtych, przyszedli tu i wyjęli twoje pamiątki. Musieli mieć durne miny, kiedy zamiast pierścionka z brylantem znaleźli odznaczenia wojskowe; chciałbym wtedy Piwkę zobaczyć! — zachichotał. Stefan puścił rękę Joanny, przyskoczył do Łońka.

— ■ Pan to znalazł, pan im to odebrał? — spytał bez tchu.

— Powoli. Znajść znalazłem, ale gdyby nie Kopcio-wa, figę byśmy mieli. Łachmaniarze zaśpiewali sobie dwa brudasy, kapujesz? Pana doktora wkurzyło takie handlowanie pamiątkami, a może nie miał przy sobie tyle forsy, i już chciał kichać na Piwkę. Dopiero Kopcio-wa się wtrąciła... niby wściekła baba, pyska ma jak stąd do Winnik, lepiej jej w drogę nie wchodzić, a to właśnie ona honorowo załatwiła sprawę. Z Piwka nie można inaczej, jak zobaczył kopystkę nad łbem, zaraz mu rura zmięknęła i o forsie zapomniał.

Stefan poczuł zawrót głowy. O kim mówił ten człowiek, co to wszystko miało znaczyć? Jakiś Piwko, jakiś Dulek, Kopcio-wa, kopystka, dwa brudasy, które miał zapłacić jakiś doktor? Usłyszał głos Joanny. Ona była spokojna, ona nie straciła głowy.

— Więc u kogo w końcu są te odznaczenia? — spytała.

— Przecie mówię, u pana doktora.

— Pan nam da adres?

Łoniek z irytacją wzruszył ramionami.

— Co za ludzie! — sarknął. — A niby po co szykowałem sobie nocleg w parku sztywnych? Wiedziałem,

17«

259

że kawalera ruszy sumienie, że przyjdzie tu wyjąć to, co zakopał. Pomyślałem sobie: „Mam czas, poczekam, do roboty mi się nie śpieszy, mój urlop trwa dwanaście miesięcy w roku”.

— Broszę pana! — Stefan przypadł do Łońka, chwycił go za ramię. — Ja nie wiem, jak panu dziękować! Gdybym pana nie spotkał... Gdzie mieszka ten doktor? Zaraz tam pojedę!

Łoniek niespodziewanie uśmiechnął się ciepło, życzliwie.

— Przypiliło ci? Masz rację. Szoruj na Karłowice,

a potem do domu. Pewno jutro nie będziesz mógł siedzieć, ale to nieważne. W sumie się opłaci, prawda?

Stefanowi gwałtownie zabiło serce. Na myśl, że jeszcze dzisiaj mógł znaleźć się w domu, poczuł niepokój, wzruszenie i coś jeszcze... Wierzchem dłoni przesunął po oczach.

— No, no, tylko bez mazgajsiwa! — burknął Łoniek. — Popłaczesz sobie w mamusiny fartuch. Cholernie nie lubię...

— Dlaczego pan tak krzyczy? — wtrąciła spokojnie Joanna. — Dlaczego udaje pan gorszego, niż jest?

— Co? Ja jestem twardy jak kamień, mnie tam byle co nie zmiękczy! — wrzasnął Łoniek. — Chłopie! — zwrócił się do Stefana. — Mógłbym ci niejedno opowiedzieć, ale teraz szkoda czasu i atłasu. Powiem ci tylko tyle: popatrz na mnie! Myślisz, że zawsze żyłem tak, jak dziś? Pewno mi nie uwierzysz, ale przeszedłem cały szlak od Lenino do Berlina, odznaczenia mam, pochwały. Byłem miglanc, młodszy od ciebie, kiedy wojna wybuchła, potem człowiek kawałek świata zwiedził, napatrzył się, nasłuchał. Rodziców pochowałem, siostrę, brata... No nic, dowiedziałem się, że polskie wojsko powstaje gdzieś nad Oką — no to noga z kolchozu i jazda! Było nas trzech, trzech fajnych kindrów

260

z Zamarstynowa. Obaj ziemię gryzą gdzieś na Wale Pomorskim, a ja... u czorta na Kuliezkach!

Zamilkł, potarł dłonią nie ogolony policzek, zamyślił się. Stefan patrzył z niedowierzaniem. Ten obdartus, zarośnięty włóczęgą, samym wyglądem budzący niechęć i obawę, miałby być byłym żołnierzem, kościuszkowcem? Nie mieściło mu się to w głowie, nie mógł pojąć, że człowiek może się aż tak zmienić.

Loniek podchwycił jego wzrok, pokiwał głową.

— Wiedziałem, że mi nie uwierzysz. Młody jesteś, nie wiesz jeszcze, co życie może zrobić z kimś, kto... Mniejsza z tym! No nic, wojna się skończyła, chłopaki wrócili do domów, do gospodarstw, do pracy poszli, pobrali żony. Tylko mnie wciąż we łbie szumiało, ani do roboty, ani do żeniaczki. Szurałem, na prawo i lewo, kozak byłem, kto na drodze, te» nieprzyjaciel... potem przyszła wódka, koleżkowie i tak dalej... No i szła jam się po śmietnikach... ile to już lat? Dużo, za dużo, żeby coś zmienić, naprawić... — urwał, mamrotał niezrozumiale, coraz ciszej, coraz niewyraźniej. Nagle wyprostował się, zatarł dłonie i powiedział nieoczekiwanie rześkim i wesołym tonem:

— ■ Dość tych bzdur! Kawaler niech na Karłowice szoruje, a tę śliczną panienkę ja sam odprowadzę do domu.

Joanna uśmiechnęła się z zażenowaniem. Mimo wszystko widać wolała wracać sama.

— Spokojna głowa, pod rękę nie pójdziemy — powiedział szybko Loniek — z daleka będę kikował i w razie czego...

— Wrócę taksówką — odparła Joanna szybko — dziękuję panu bardzo. — Zerknęła na Stefana — gorzej z tobą, jak dostaniesz się na Karłowice? To przecież na drugim końcu miasta.

— Sza! — uspokajająco wtrącił Loniek — fundusz

261

reprezentacyjny się posiada. — Wciisnął w dłoń Stefana zmięty papierek — pruj, szczeniaku, do gabloty i nie oglądaj się za siebie. Adres jest taki: aleja Kasprowicza 140. Trza spytać o doktora Wernera, on tam na sublikatorce mieszka. Ruszyli w stronę bramy.

— Ten doktor Werner jest lekarzem? — spytała

Joanna.

— A jakże. Od czubków — wyjaśnił Loniek. — Morowy gość. Już mnie ze trzy razy za frak z tego błota wyciągał, ale nie dał rady. Zawsze mu kołnierz w rękę został.

Stefan zatrzymał się. Coś mu zaczęło świtać, przypomniał sobie głos pełen troski i życzliwości mówiący: „Zaczekaj, ja ci pomogę"! Telefon zaufania! Więc to był ten sarn człowiek? Ale jakim sposobem znalazł jego nazwisko, skąd wiedział o odznaczeniach? Ach, mniejsza z tym, niedługo pozna doktora Wernera i dowie się o wszystkim.

Przeleźli przez ogrodzenie, szybkim krokiem ruszyli w stronę postoju. Już z daleka zobaczyli rząd samochodów z podświetlonym napisem „taxi”.

— Jeszcze cztery dni do pierwszego — zachichotał Loniek — ludzie nie mają forsy, komunikacja miejska plan wykonuje, a szoferaki stoją.

Stefan przystanął, jeszcze tylko kilka kroków dzieliło ich od najbliższej taksówki. Spojrzał na Joannę.

— Joasiu... — powiedział. Wcisnęła mu do ręki jakiś papierek, popchnęła w stronę samochodu.

— Zapisałam ci mój adres i telefon — szepnęła. — Zadzwoń, dobrze? A nie zapomnij odwołać jutrzejszego spotkania w parku Szczytnickim, twój przyjaciel, gotów zapuścić korzenie czekając — uśmiechnęła się przekornie.

262

— Nie zapomnę — odparł machinalnie — niczego nie zapomnę — dodał gorąco, z przejęciem.

— No, jechać to jechać! — zdenerwował się Loniek. — Później sobie powiecie to, czegoście nie zdążyli. — Otworzył drzwiczki taksówki, wepchnął Stefana do środka.

— Dokąd? — spytał obojętnie kierowca i zapuścił silnik.

Chłopiec nie odpowiedział, patrzył za siebie na Joannę, na stojącego obok Łońka. Chciał coś zrobić, w jakiś sposób okazać im swoją wdzięczność, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Nagle zobaczył, że Loniek unosi zaciśniętą pięść ze sterzącym w górę kciukiem.

„Wszystko w porządku” — oznaczał ten gest. Odruchowo zrobił to samo, choć nie miał pewności, czy tamci widzą go w ciemnym pudle samochodu.

— Na Karłowice — powiedział wreszcie, wciąż patrząc do tyłu. Patrzył jeszcze długo, nawet wówczas, gdy tamtych pochłonęła już noc.

Doktor Werner spojrział na zegarek, potem na syna.

— Leszku — powiedział — już dochodzi dziesiąta, matka się pewno niepokoi, powinieneś wracać do domu.

W odpowiedzi chłopiec podsunął pustą filiżankę pod srebrny kurek samowara i nalał sobie następną porcję.

Werner uśmiechnął się dyskretnie. Leszek nie lubił herbaty, prawdopodobnie spodobała mu się niecodzienna sceneria, antyczny przedmiot oglądany dotychczas tylko na wystawie Desy lub w kania

— Jak w rosyjskim filmie — powiedział podnosząc do ust filiżankę — brakuje tylko bałajki.

263

Werner zerknął na samowar z sympatią. Ułatwił mu zadanie, ożywił rozmowę, zaprzętnął uwagę Leszka, który natychmiast po przywitaniu, zasypał ojca pytaniami.

— Skąd go masz? Czy to prawdziwy? Najlepsze samowary pochodzą z Tuły. To elektryczny, prawda? Powinieneś przerobić go na węgiel, wtedy byłby autentyczny.

Werner w duchu błogosławił Wacka i jego pomysł. Samowar przywiózł mu przyjaciel z wycieczki do Moskwy. Zżymał się wtedy, tłumaczył Wackowi, że herbatę z samowara powinno się pić w większym gronie, a jemu wystarczy czajnik z gwizdkiem.

— Czy ja przyjmuję gości? — mruczał gniewnie.

— Znacznie łatwiej o gości niż* o prawdziwy samowar — odparł flegmatycznie Wacek.

Goście byli jednak rzadkością w pokoju Wenera, dopiero dziś wyjął z szafy samowar i nastawił go, czekając na Leszka.

— Mama będzie niespokojna — powtórzył wpatrując się w twarz syna.

— Mama wyjechała po południu do wujka, do Katowic — powiedział Leszek — wraca dopiero w niedzielę wieczór. Mogę nawet nocować u ciebie... — zerknął wyczekująco na ojca.

— Jak to? — spłoszył się Werner. — Jesteś sam w domu? A obiady? Kolacje? Dasz sobie radę z gotowaniem?

— Nie martw się, mama wszystko zorganizowała, łącznie z dozorem, możesz być spokojny. Na te kilka dni sprowadziła babcię. A ja powiedziałem jej — mówił niewyraźnie Leszek, pakując do ust połowę rurki z kremem — że idę do ciebie, że późno wrócę albo, być może, zostanę tu na noc.

— A co na to babcia?

264

- Babcia? Nic. Burknęła „najwyższy czas” i kazała mi włożyć czystą koszulę.

Przełknął resztę ciasta i roześmiał się dźwięcznie, wesoło...

Werner patrzył, słuchał i nie wierzył w to, co słyszał i widział. Skąd ta nagła zmiana? Co sprawiło, że zgorzkniały, zamknięty w sobie chłopiec, zamiast cedzić niechętnie słówka i

patrzeć na ojca z nie maskowaną wrogością, śmieje się, rozmawia swobodnie i przez wszystkie przypadki odmienia słowo „tatuś”?

Chciał zapytać, chciał wiedzieć, co zaszło, i jakoś nie miał odwagi, bał się, że spłoszy ten pogodny nastrój, że jakimś niezręcznym zwrotem pchnie syna na powrót w pkorupę milczenia i oziębłości. Zresztą po co pytać? Może Leszek sam powie...

Ale jego w tej chwili bardziej interesowała kwestia ewentualnego noclegu.

— Mógłbym spać na tej kanapce — usiadł z rozmachem, aż jęknęły sfatygowane sprężyny — masz

chyba jakiś koc? I musiałbyś mi pożyczyć szczotkę do zębów i piżamę.

— Tak, oczywiście — zakrzętała się Werner. Już szedł ku szafie, by wyjąć czyste prześcieradło, w popłochu usiłował sobie przypomnieć, która piżama zapina się na wszystkie guziki. Ale syn powiedział ze śmiechem:

— Przecież jeszcze wcześniej, wcale nie jestem śpiący.

Wyciągnął się na kanapie, zarzucił ręce nad głowę, przymknął oczy.

Nagle zerwał się i stanął przy ojcu.

— Powinieneś mnie sprać! — oświadczył porywczo. — Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, co cię gnębi, a mimo to... Przecież ja robiłem wszystko,
267

żeby podsycać twoje podejrzenia, twoje domysły! — krzyknął.

— Nie mówmy o tym — powiedział Werner łagodnie — to już minęło.

Leszek usiadł przy stole, zaczął obwodzić palcem kolorowy wzór serwety. Po dłuższej chwili uniósł głowę, spojrzał na ojca. — Nie wiesz, jak wyglądałeś, opowiadając mi o tym chłopcu

— powiedział — miałaś twarz człowieka... pierwszy raz zobaczyłem taką mękę. Wtedy coś się odkręciło we mnie, pomyślałem, że jeśli potrafisz się dręczyć do tego stopnia z powodu podobieństwa przypadków, jeśli tak bardzo poruszył cię los obcego przecież chłopca, to...

Nie dokończył, wstał, podszedł do ojca i nagle zupełnie dziecinnym ruchem objął obu rękami jego ramię, przytulił policzek do szorstkiej wełny swetra.

Werner poprzez oszalały łomot serca usłyszał westchnienie głębokiej ulgi. Nagle Leszek nie podnosząc głowy zaczął coś szeptać niewyraźnie, ojciec ledwo mógł odróżnić poszczególne słowa.

— Co mówisz, synku? — spytał.

— Chciałbym poznać tego chłopca — odparł Leszek unosząc głowę. — Przecież w gruncie rzeczy gdyby nie on...

Nie dokończył zdania, ktoś zapukał do drzwi; ostro, niecierpliwie.

— Proszę — powiedział nieco zdziwiony Werner. Drzwi otwarto z impetem. Na progu stanął chłopak

w wypłowiałym, zbyt obszernym swetrze.

— Czy pan doktor Werner? — spytał.

ZAKOŃCZENIE

Jestem w domu, leżę na tapczanie w moim pokoju, patrzę na znajome ściany, sprzęty, obrazki, książki. Już dawno minęła północ, wszyscy śpią.

Jestem w domu. Tylko dwadzieścia cztery godziny trwała moja nieobecność, wyszedłem wczoraj kilkanaście minut po dziesiątej, wróciłem dziś przed jedenastą.

Patrzę w ciemne okno, słucham zawodzenia wiatru, znów popsuła się pogoda, niebo zasnuwane chmurami, nie widać gwiazd, pewno będzie padać. Nie mogę zasnąć. Już kilka razy gasiłem małą, nocną lampkę, naciągałem kołdrę na głowę i czekałem na sen, który nie przychodził.

Teraz znów zapaliłem światło, leżę, patrzę 4 rozmyślam.

Dwadzieścia cztery godziny to dużo czy mało? Chwilami odnoszę wrażenie, że wcale nie opuszczałem mojego pokoju, to znów wydaje mi się, że nie byłem tu od lat.

Przymykam oczy i widzę korowód postaci. Zbliżają się, oddalają, coś mówią do mnie, śmieją się, grożą, przyzywają gestami i odpychają. Kosa i Klarnet, p[^]n Antoni, Klipa, Loniek, doktor Werner i jego syn, Jo[№]-na... Raz widzę ich wyraźnie, jakby stali tuż obok, to znów odchodzą, giną w smugach mgły czy dymu.

2S9

Głupie uczucie; przeżyłem coś podobnego podczas ciężkiej anginy, miałem wtedy blisko czterdzieści stopni gorączki. Ale teraz nie mam gorączki! Na pewno! Mama sprawdziła to prawie natychmiast!

Wszystkiego się spodziewałem, myśląc o powrocie do domu, jeszcze w samochodzie doktora Wenera wyobrażałem sobie, jak będzie wyglądało powitanie „syna marnotrawnego”, uciekiniera. Brałem pod uwagę wszystkie możliwości, wzruszenie, łzy, wyrzuty, pytania, wyjaśnienia... Tego jednak nie przewidziałem!

Doktor odwiózł mnie swoją syreną pod dom, wysiadł razem ze mną. Byłem pewny, że pójdzie aż na górę, do mieszkania, że zechce przypilnować, sprawdzić, czy w ostatniej chwili nie rozmyślę się, nie dam dęba sprzed drzwi. Nie zrobił tego. Poklepał mnie po ramieniu, powiedział „powodzenia”, wsiadł do samochodu i odjechał.

Byłem mu wdzięczny za zaufanie i za delikatność. Nie sądziłem, że domyśli się, że odczuje mój nastrój. Bo ja w tej ostatniej minucie chciałem być sam, nie potrzebowałem opiekuna, konwojenta. Przecież nie zamierzałem się wycofać.

Drzwi otwarto natychmiast, zaledwie dotknąłem dzwonnka, tak jakby oboje, i ojciec, i mama, czatowali w przedpokoju. Nie było żadnych okrzyków, łez, pytań. Poczulem tylko mocny uścisk ojca, usta mamy na policzku, jej ręce dotykające mego ciała, jakby sprawdzające, czy to rzeczywiście ja, prawdziwy, żywy, zdrowy... Usłyszałem głos: „Wszystko w porządku, synu, wszystko w porządku”, głos ochrypli, zmieniony wzruszeniem. I okrzyk mamy: „Jaki on rozpalona, Tomku, gdzie jest termometr, on ma na pewno gorączkę!”

Po chwili leżałem na swoim tapczanie z termometrem pod pachą, mama siedziała przy mnie, ojciec stał obok. Zachowywali się zwyczajnie, jakby nic nie zaszło, jak-

270

bym wrócił zziębnięty i przemoczony ze szkolnej wycieczki i jakby najważniejszą sprawą była moja ewentualna choroba.

Nie miałem gorączki, mama z ulgą strząsnęła słupek rtęci. Powiedziała:

— Idź do łazienki, przygotuję ci kąpiel. Tomku, pościel mu łóżko.

I to było wszystko.

Nie chcieli żadnych wyjaśnień, nie potrzebowali ich. Zrozumieli mnie, widziałem to po ich oczach. Mimo to próbowałem coś mówić, tłumaczyć.

Mama przerwała mi po paru słowach.

— Nie teraz — powiedziała — nie dziś. Musisz uspokoić się, zapomnieć o wszystkim.

Miałeś zły sen, trzeba się otrząsnąć, obudzić. Jesteś w domu, wróciłeś do nas — to jest najważniejsze.

Umilkłem. Może mama miała rację? 'Zresztą byłem zmęczony, tak zmęczony, że nawet nie chciało mi się otworzyć ust.

To była chyba jakaś nerwowa reakcja, gwałtowne odprężenie po godzinach napięcia, bo przecież jeszcze przed kwadransem czułem się rześki, silny, pełen energii. Teraz dopiero oklapłem jak balon przekłuty szpilką. Pewno dlatego nie mogę zasnąć, dlatego przewracam się z boku na bok, to gaszę, to zapalam światło. Duszą mnie te niewypowiedziane słowa, mam je na końcu języka, chciałbym się wygadać, wykrzyczeć. Rodzice uważali, że najpierw powinienem odpocząć, uspokoić się, na wyjaśnienia zawsze będzie czas.

— Jutro — oświadczył ojciec — jutro porozmawiamy o wszystkim.

— Kochanie — powiedziała mama, gdy umyty, w czystej piżamie, kładłem się do łóżka — spróbuj teraz zasnąć.

Uległem im, nie sprzeciwiałem się, ogarnęło mnie

271

dziwne uczucie ulgi czy zadowolenia. Nie muszę o niczym decydować sam, mogę poddać się cudzej woli, pozwolić, by ktoś za mnie myślał, rozstrzygał.

Jak małe dziecko pozwoliłem okryć się kołdrą, ułożyć, utulić. Gdy zamknąłem oczy, mama na palcach wyszła z pokoju. Nie zdobyłem się nawet na tak mały wysiłek, by sięgnąć do kieszeni i zwrócić ojcu odznaczenia. Gdyby spytał o nie, zrobiłbym to na pewno, ale oni o nic nie pytali, o niczym nie chcieli wiedzieć.

A może już wiedzieli? Może doktor Werner uprzedził

I ich telefonicznie? Wyszedł przecież, zostawił mnie na dłuższą chwilę z Leszkiem, właśnie wtedy mógł zadzwonić, nie zauważyłem w jego pokoju telefonu.

Doktor Werner... Nie miałem pojęcia, że to właśnie on pierwszy rozpoczął poszukiwania, że to on skontaktował się z rodzicami. Ułatwiłem mu zadanie, prawdę mówiąc, gdybym nie nazwał naszego trabanta mydel-niczką, chyba nie udałoby mu się ich odnaleźć.

Morowy gość! Gdy wpadłem jak bomba do jego pokoju, o nic nie pytał, niczemu się nie dziwił. Powiedział tylko:

— Byłem pewny, że spotkamy się prędzej czy później — i położył na stole zawiniątko z odznaczeniami. — Mam je od rana — dodał — właściwie mogłem je zwrócić twojemu ojcu, ale sądziłem, że zechcesz to sam zrobić... — spojrzął tak jakoś mądrze, głęboko.

Poczułem, że ten człowiek wszystko rozumie, że przejrzał mnie na wylot, że prawie czyta w moich myślach.

Bo tak przecież było. Gdy na cmentarzu przekonałem się, że odznaczenia zniknęły, że ktoś je wykopał i zabrał, poczułem żal i przerażenie. „Ojciec nie odzyska swoich pamiątek, nie będę mógł mu ich oddać!” Tak pomyślałem, choć wówczas wcale jeszcze nie byłem pewny, czy chcę wrócić do domu.

272

Sam nie wiem, kiedy powziąłem tę decyzję? Po rozmowie z Joanną, z Lońkiem, z doktorem Wernerem? A może od samego początku myślałem o tym i tylko nie zdawałem sobie sprawy ze swoich pragnień? Nie wiem, nie wiem!

Okazuje się, że znacznie łatwiej jest coś zrobić niż wyjaśnić motywy, wytłumaczyć komuś, dlaczego postąpiło się tak, a nie inaczej.

Zrozumiałem to podczas rozmowy z doktorem Wernerem, a ściślej z jego synem. To Leszek chciał koniecznie wiedzieć, dlaczego uciekłem, on pierwszy o to zapytał. Zresztą najpierw powiedział mi, że sam zrobił coś podobnego, ale miał w tym swoje wyrachowanie, wyraźny cel. Uśmiechał się jakby zawstydzony, mówiąc:

— Sądziłem, że w ten sposób uda mi się zmusić kogoś do zaniechania pewnych projektów, to był taki mały szantaż...

Nie bardzo rozumiałem, co miał na myśli, ale przypuszczam, że w tej ucieczce musiał ważną rolę odegrać jego ojciec, bo mówiąc o tym Leszek ukradkiem, pieszczotliwie pogładził ramię doktora.

Zacząłem coś mówić, usiłowałem wytłumaczyć swój postępek, używałem tych samych argumentów, którymi posłużyłem się w rozmowie z Romkiem, z Joasią.

I dziwna rzecz — im dłużej mówiłem, tym bardziej traciłem pewność siebie, wiarę, że postąpiłem słusznie. Powtarzałem: „Okłamali mnie, nie mieli prawa tego robić, powinni byli mi powiedzieć całą prawdę”, a równocześnie czułem, że wcale mi na tej prawdzie nie zależało, że prawda nie mogła nic zmienić i nie zmieniła, że nie chcę mieć innych rodziców i że to właśnie oni są mi bliscy, najbliżsi. Zacząłem się plątać, zacinać, brakowało mi słów, w końcu powiedziałem szczerze:

18 — Telefon zaufania

— Teraz już naprawdę nie wiem, dlaczego to zrobiłem.

Musiałem mieć bardzo głupią i nieszczęśliwą minę, bo doktor Werner odezwał się serdecznie:

— Przeżyłeś wielki szok, ta wiadomość mocno tobą wstrząsnęła. To rozumiałe, że straciłeś głowę, zachowałeś się po wariacku. I na pewne rzeczy zaczęłeś patrzeć inaczej niż dotychczas... Ale przecież kochasz rodziców teraz tak samo, jak i przedtem, gdy jeszcze nie wiedziałeś o adopcji, prawda? Możesz mieć do nich żal, pretensję, że ukrywali przed tobą takie ważne sprawy, ale ich kochasz. I teraz już chyba rozumiesz, dlaczego ci nie powiedzieli prawdy.

Skinąłem głową, spojrzałem na doktora z wdzięcznością.

Ale Leszek nie miał zamiaru tak szybko ustąpić, nie zadowolili go widać moje odpowiedzi.

Spytał:

— A co z pistoletem? Przecież chyba nie miałeś zamiaru strzelać do siebie? Dlaczego go zabrałeś?

— Nie! — zaprotestowałem gwałtownie. — Wcale nie! Zabrałem pistolet i to... — wskazałem na zawiniątko z odznaczeniami — bo ojciec... bo uważałem, że on...

Umilkłem, już sam nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Zawiodłeś się na ojcu? — spytał Leszek. — Zrobił jakieś świństwo? Jest może kanciarzem, kombinatorem?

— Leszku! — zawołał z oburzeniem doktor. — Jak możesz?!

— Spokojnie, tato, kuracja wstrząsowa, sam ją nieraz stosujesz z powodzeniem, prawda? Zerwałem się z krzesła, zatrzęsłem się z oburzenia.

— Nieprawda! — krzyknąłem. — Mój ojciec wcale nie jest kanciarzem ani kombinatorem! Nigdy w życiu nie zrobił żadnego świństwa! Jest dobry, jest uczciwy, jest... każdemu bym życzył takiego ojca!

— No więc? — Leszek spojrzał na mnie wyczekująco.

Załamane się, powiedziałem im wszystko. O Orkiszu, o moich planach na przyszłość, o starciach z ojcem, o tych wszystkich drobnych a dokuczliwych nieporozumieniach, które w końcu urosły do gigantycznych rozmiarów. Słuchali, nie przerywając. Gdy umilkłem, Leszek powiedział do ojca:

— A więc miałem rację. On przeżył swoje małe trzęsienie ziemi. Zobaczył porażkę idola. Nie rozumiałem, co miał na myśli, chciałem go spytać, ale doktor mnie uprzedził.

— Stawianie diagnoz jest w takim wypadku bardzo ryzykowne, Leszku. Stefan sam musi znaleźć właściwe rozpoznanie, nikt nie może, nie powinien mu w tym pomagać. Ja mogę powiedzieć tylko tyle: lepiej być nad miarę wymagającym wobec samego siebie niż wobec innych. To dobrze, że drażnią cię pewne sprawy, że je dostrzegasz, że o nich myślisz, to na pewno lepsze niż trwanie w obojętnej zgodzie na wszystko, co nam gotuje los. Powiedziałeś o ojcu, że zdradził swoje ideały, sprzeniewierzył się im... Może masz rację, a może nie, to sprawa skomplikowana, trudna i dyskusyjna. Człowiek nie może być spiszowym posągiem, podlega wpływom, zmienia się... Sam się kiedyś o tym przekonasz. Teraz chodzi o co innego, teraz ty musisz wybrać sobie ideał i starać się dochować mu wiary, aby kiedyś po latach z kolei twój syn nie zarzucił ci, że żyłeś wygodnie i obojętnie, o nic nie walcząc i w nic nie wierząc. Bo mimo wszystko ty o swoim ojcu nie mógłbyś tego powiedzieć, prawda?

Wyszedł, zostawiając nas samych w pokoju. Leszek nie wracał już do poprzednich tematów, milczał dłuższą chwilę, potem powiedział patrząc na mnie z powagą i smutkiem:

w»

— To dziwne, że jedna rzecz może być w skutkach równocześnie i dobra, i zła. Narobiłeś mnóstwo kłopotu swoim rodzicom, sam byłeś w niezłych opałach, a mnie pomogłeś! Ja dzięki

tobie zrozumiałem, jakim człowiekiem jest mój ojciec. Nie pytaj o nic — podniósł ostrzegawczo dłoń, choć wcale nie miałem zamiaru pytać — to wszystko jest jeszcze za świeże, nie potrafiłbym o tym mówić. Może kiedyś... chyba spotkamy się jeszcze? Skinąłem głową, ale prawdę mówiąc nie byłem teraz w stanie myśleć o niczym, co nie miało związku z moim powrotem do domu. Co powiedzą rodzice, ojciec? Jak mnie przyjmą? A ja, jak ja mam się zachować? Przeprosić ich, przyznać, że zrobiłem głupstwo? Jak wyjaśnić ojcu fakt zabrania i porzucenia pistoletu (wiedziałem już, że został znaleziony i oddany do komendy) i odznaczeń? Joanna miała jednak rację, chyba dlatego nie powiedziałem ojcu o moich pretensjach, bo nie chciałem go zranić, bo w gruncie rzeczy...

Wrócił doktor Werner, pożegnałem się z Leszkiem i po chwili już siedzieliśmy w syrence. Milczeliśmy podczas jazdy. Dopiero po dłuższej chwili spytałem:

— Kto to jest ten Loniek?

— Mój był pacjent — odparł Werner. — Leczył się w naszej klinice z różnych zaburzeń nerwowych. Próbowałem mu pomóc, to w gruncie rzeczy nieszczęśliwy człowiek, wykolejony, bez swojego miejsca na świecie. Dwa czy trzy razy znalazłem mu zajęcie, ale — doktor maehnął ręką — chyba za późno na zmianę, Loniek nie potrafi już żyć, jak żyją normalni ludzie. Coś jednak w nim pozostało, nawet nie sądziłem, że tak sobie weźmie do serca twoją sprawę...

— Czy on naprawdę był żołnierzem, kościuszkowcem?

— Podobno tak. Nie lubi mówić o tych czasach,

276

wstyd mu, że tak się wykoleił. To dobrze o nim świadczy, gdyby był łajdakiem, byłoby mu wszystko jedno.

Zamyśliłem się. Jak mało, jak prawie nic nie wiem o życiu, o ludziach. I ja chciałem być sędzią własnego ojca! Ocknąłem się z zadumy, gdy doktor zatrzymał syrenę przed naszym domem. Nawet nie pamiętam, czy pożegnałem go, czy mu podziękowałem? Chyba nie. Spieszyłem się, chciałem jak najprędzej być w domu. Zrobię to później, jutro, znam jego adres, numer telefonu. W ogóle mam mnóstwo spraw do załatwienia. Muszę zaraz rano zadzwonić do Romka, muszę odwiedzić pana Antoniego i oddać mu sweter, muszę odszukać Klipę i zwrócić mu trampki. No i Joanna...

Sięgnąłem po leżące na krześle dzinsy, wygrzebałem z kieszeni karteczkę z jej adresem i telefonem. Zadzwonię tam zaraz jutro, z samego rana, ona wychodzi do szkoły kilka minut przed ósmą. Ucieszy się, że dzwonię z domu.

Gdy odkładałem dzinsy na miejsce, coś zabręczało cichutko. Prawda, odznaczenia! Wyjąłem 'zawiniątko, rozłożyłem je na kołdrze. Wodziłem palcem po biało-amarantowej wstążeczce Krzyża Walecznych, wpatrywałem się w drobne litery napisu — „Na polu chwały”. Potem wzięłem do ręki skromny, prosty Krzyż Partyzancki...

Co powiem ojcu, jak wytłumaczę swój postępek? Przecież on chyba nie zrozumiał moich intencji, był skłonny przypisywać winę wyłącznie sobie. Czy nie powiedział: „Wszystko w porządku, synu”? Więc może lepiej nic nie mówić? Może lepiej, żeby wierzył w moją ucieczkę spowodowaną tylko wiadomością o adopcji? Żeby sądził, że gdy zważyło się na mnie coś strasznego, coś zbyt trudnego, z czym nie umiałem sobie poradzić — wybrałem dezercję? Przecież wróciłem i teraz wszystko będzie w porządku, jak dawniej, jak zawsze.

277

Tylko czy na pewno będzie? Czy znów nie odżyją moje pretensje, żale, podejrzenia? I czy oni nie będą żyli w ciągłym lęku, że znowu?...

Doktor Werner powiedział, że gorzej jest żyć obojętnie, milcząco godzić się na wszystko, dobre czy złe.

Na pewno gorzej, ale o ile wygodniej! Większość kolegów nie rozumiałaby moich problemów, popukaliby się w czoło, w najlepszym razie wruszyliby ramionami, pytając: „O

co mu chodzi?". Przecież nawet Romek nie bardzo pojmował, co mnie gnębiło najwięcej. Chyba tylko Leszek zrozumiał i... Joanna.

A może to mama miała rację mówiąc: „Jesteś w domu, wróciłeś, to jest najważniejsze”? Siedzę na tapczanie trochę bokiem, oparty o ścianę i patrzę w ciemne okno. Na dworze wieje porywisty wiatr, pada deszcz. Gdyby nie ci wszyscy wczoraj jeszcze obcy ludzie, gdyby nie Joanna, Loniek, doktor Werner, doktor Rajewski — byłbym tam teraz, w tych lodowatych podmuchach, w zimnych strugach deszczu.

Więc może najważniejsze — to ta więź między ludźmi, solidarność, jakaś wspólnota, która łączy wszystkich, ten „telefon zaufania”?

Nie umiem dać odpowiedzi, na razie stawiam tylko pytania, może kiedyś zrozumiem, znajde wyjaśnienie?

Teraz wiem jedno — jestem w domu, wróciłem i to jest chyba najważniejsze. Reszta zależy ode mnie.

© Copyright by I. W. „Nasza Księgarnia”

Warszawa 1973

Redaktor:

Danuta Stepniewska

Redaktor techniczny:

Janina Seiechowska

Korktorzy:

Hanna Dyszkiewicz, Krystyna Jegier

I3

PRINTED IN POLAND

Institut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”. Warszawa 1979. Wydanie drugie. Nakład 29 720 + 280 egzemplarzy. Ark. wyd. 11,5. Ark. druk. A-1 14,17. Papier ilustracyjny ki. III, 80 g, 82X104/32. Oddano do składania 1S czerwca 1978 r. Podpisano do druku w lutym 1979 r. Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. nr 2780. N-3

BIBLIOTEKA KLUBU 7 PRZYGÓD

Ostatnio ukazały się następujące książki:

i. Broszkiewicz

MISTER DI

A. Minkowski

ZĄB NAPOLEONA

A. Moszkowski

PRZYŁĄDEK DELFINÓW

F. Mowat

ZAGUBIENI W TUNDRZE KANADYJSKIEJ

Z. Nienacki

PAN SAMOCHODZIK I ZŁOTA RĘKAWICA

M. Ziółkowska

TY PÓJDZIESZ OORA...